





J. I. KRASZEWSKI



KRAKÓW  
LOKTA



IBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW  
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE  
10 TOMÓW KWARTALNIE

## KRAKÓW ZA ŁOKTKA

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE





JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXIV

---

J. I. KRASZEWSKI

# KRAKÓW ZA ŁOKTKA

CZĘŚĆ I



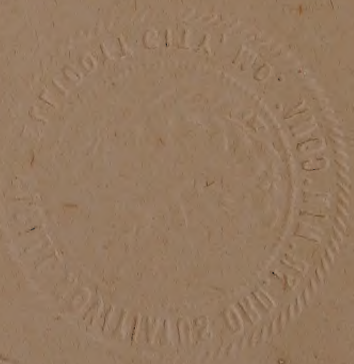
1 9 2 9

---

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE  
PRINTED IN POLAND



DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE  
CZERNIAKOWSKA 225



## I.

Pod Krakowem około Balic, które naówczas do rozległych majątności Toporczyków z Tęczyna należały, stał w lesie dwór, zwany Łowczą, gdyż w nim dawniej na łowy zbierano się i po łowach odpoczywano.

Zbudował go był przed laty wielu Jaśko z Tęczyna, ale później dwór zaniedbany opustoszał, kołem go podparto i pastusi się leśni tylko tulili w słoty pod strzechę — gdy zubożały ziemianin, który ojcowizny się pozbył, a w jakimś stopniu dalekim z rodem Starżów był spowinowacony, wyprosił sobie za czynsz małą chatę z kawałkiem lasu i pola.

Warowali tylko panowie z Tęczyna, aby w lasach nie polował, zwierza im nie płoszył, a potrosze od szkody pilnował.

Stary wojak niegdyś, teraz już niedołęga, ubożuchno żyjący, podjął się wszystkiego, czego od niego chciano, byle zyskać kął spokojny i dworek na Łowczej oblepiwszy, podparłszy, od lat kilku w nim z żoną i synem przemieszkiwał.

Nie szlachecka to była, nie rycerska rzecz w takiej zagrodzie, cudzej jeszcze, biedę klepać, ale wolał już to Zbyszek Suła, niż w Krakowie wśród mieszczan i Niemców pospołu żyć, bo ci ziemianina nie szanowali, zuchwałemu wójtowi i lada wiertelnikowi ulegać było trzeba.

Na Łowczej, jeśli przyszło się komu pokłonić, to równemu sobie ziemianinowi, nie Szwabowi lub Sasowi — zresztą swobody mógł zażywać jak największej.

Dostatku wielkiego u Suły nie było, ale i nędzy nie doznawali.

Syn Zbyszka, którego Marcikiem zwano, bo mu na imię Marcin było, a matka go tak pieściła, nie młodzienaszkiem już był, ale też i nie starym; miał lat ze trzydzieści. Jak ojciec służywał rycersko, ale się przerzucił od jednego do drugiego pana, skarżąc się, że mu wszędzie nie po myśli było, że go krzywdzono. Przeto też często do ojca powracał, wyczekując jakich lepszych czasów i ludzi lepszych, a w Łowczej przesiedując.

O półtorej milki od Krakowa, który podówczas już rósł bardzo, mógł stąd zawsze, gdy chciał (a zachciewało mu się tego prawie codziennie) dojeżdżać do miasta, spędzać tam dzionek z dobrymi przyjaciółmi, dużo się nasłuchać, dobrze napić, nie płacąc, i z wesołą myślą a plotkami wieczorem do rodziców powrócić.

Zbyszek Suła niekoniecznie był rad temu, że syn tak miejsca nigdzie nie zagrzewał. Chciałby go był widzieć przy możliwym panu jakim, zapracowującym się sobie na łaskę i opiekę, ale z drugiej strony, on i matka Zbity cieszyli się, iż go przy sobie miewali, bo z nim im w pustym dworze raźniej i weselej było.

Krom starego Zbyszka, matki Zbity, starej baby, co im jeść gotowała, parobka do posług i wyrostka sieroty, z Krakowa przybłąkanego, pary koni na stajni, krowy i psa podwórzowego, nie było w Łowczej więcej nikogo.

Wśród głuchego lasu niebardzoby bezpiecznie było tak siedzieć, dla włóczęgów i zbójów, których zawsze dokoła miasta dużo bywa, ale o Zbyszku łotrzykowie wiedzieli, że się u niego pożywić nie było tak dalece czem, a guza złapać łatwo. Stary żołnierz w potrzebie jeszcze rażno obuchem wywijał.

On i syn jego, Marcik, ludzie byli nie płochliwi, do korda i do topora szparcy.

Zbliżał się wieczór jesienny, niebo było pochmurne dnia tego, więc i ciemno się zawczasu robić poczęło. Wiatr szumiał w borze, liście już poschłe z drzew opę-

dzając. W izbie około ognia siedział Zbyszek, dalej nieco drzemała Zbita, która już wieczorami prąść nie mogła, bo jej nie służyły oczy, a i ręce się trzęsły. Na ławie w kącie z kądzielą siedziała gospodyni Marucha; w drugim parobek Chaber, nie mając co robić, skałki łupał. Przy ognisku w garnkach się coś gotowało. Dym, któremu wiatr nie dawał przez dymnik wychodzić, często się do izby wracając, rozwlekał po niej — ale do niego przywykli byli wszyscy.

Wieczór był smutny. Marcik, który swym zwyczajem powlókł się był do Krakowa, jakoś nie wracał. Czekano nań z wieczerzą, Zbita niespokojna coraz to się wiatrowi przysłuchiwała czy jej tętentu konia nie przyniesie, któryby powrót syna zwiastował.

Miała się o co troskać, bo Marcik czasem z Krakowa pokrwawiony i potłuczony powracał.

Różnie się trafiało, jak zwyczajnie człowiekowi rycerskiego rzemiosła, co się rad mieszać, gdzie gorąco.

Wiatr, który jesienią dziwnymi odzywa się głosy, dnia tego strachem przejmował, tak zawodził przeraźliwie. Słyszać w nim było wycie ludzkie, jęki dziecięce, niby okrzyki tłumów i wrzawę swarliwą, to śmiechy szatańskie, to zbójeckie gwizdania, to urągające się śpiewy jakichś ptaków niebywałych.

Głosy te oddalały się, przybliżały, uciekały kędyś i jakby gnane powracały śpiesznie, dając się słyszeć z różnych stron domu, od jednego to od drugiego węgła.

Zeskakiwały od komina, szeleściły w strzesze. Jakaś siła szatańska łomotała drzwiami, trzepotała w słomianem pokryciu, dobijała się do okiennic, pełzała po ścianach.

Zbita, która pobożną była, żegnała się, słysząc to i żegnała krzyżem świętym wszystkie cztery strony świata. Nie pomagało to nic, wietrzysko dokazywało, a wiadomo, że jest w nim siła nieczysta — i djabelskie tańce i wesela innej nad tę gędźby nie znają.

Drzewa bliskie, miotane tą złą mocą, trzeszczały i skrzypiały, gałęzie ich upadały na strzechę, słyszać było liście, szeleszczące po ścianach. Czasem z wia-

trem sypnął deszcz gęsty, ale wprędce rozbity wichrem ustawał.

Mieszkańcy lasu oswojeni byli z temi głosami, które czasem po całych nocach spać im nie dawały, a jednak tego dnia strach ich jakiś przejmował. — Nastawiali uszu, czekali, aby się skończył ten taniec djabelski i burza poszła na dalsze bory. Lecz wietrzysko jakby sobie upodobało wyrąbaną nieco około Łowczej polankę, szumiało w niej, a im wieczór był późniejszy, tem siły i ochoty większej nabierało do szaleństwa.

Teraz już i Marcika przybywającego zdala posłyszeć było trudno, z taką wściekłością burza około dworu wyła. Ogień, choć od wichru zakryty, zasłaniał się i przypadał do ziemi, ściany dygotały a drzwi trzęsły się ciągle i wiązanie na dachu trzaskało.

Stary Zbyszek ze wszystkich we dworku zebranych najmniej był czułym na to. Wojak, obyty z życiem, nawykły pod gołym niebem obozować, doznawał niemal jakiegoś błęgiego uczucia, czując się pod dachem w taką porę. Przypominał sobie jak nieraz burze jesienne namioty im z nad głów i szalasy precz roznosiły, a ognisk nie dawały rozpaścić.

Stary pamiętał przygód niemało i sam ich doznał wiele. Przed dwudziestu kilku laty zaciągnął się był do wojka księcia kujawskiego, Władysława, służył u niego długo i dzielił z nim różne losy. Wkońcu, lat temu już było ze sześć, zaniemógłszy, musiał powrócić do żony i osiedlić się w Łowczej.

Książę Władysław, którego Łoktkiem zwano, mały ale dziarski mąż, żelazny człęk, wojował długo, aż go wreszcie zazdrośni i nieprzyjaźni książęta, a w ostatku Czechy, co Polskę opanowali — wygnali gdzieś z kraju.

Słysząc już o nim od lat kilku nie było.

Jedni twierdzili, że kędyś został zabity, drudzy, że się błąkał po obcych krajach, od czasu jak Wacław czeski objął panowanie nad całą niemal Polską, miano Łoktka i sprawę jego za zgubioną.

Książę już i niemłody był, bo lat czterdzieści kilka liczył, znużony też, gdyż lat dwadzieścia przeszło ciągle



wojował. Dobit się był panowania, niemał korony po Przemyśławie, aż nareszcie naposiedli nań Wielkopolanie, duchowni zaczęli go wyklinać za to, że im ich ziemie pustoszył i klasztorom nie przepuszczał. Czecha wezwano w pomoc, a waleczny księżę zniknął i jakby zapadł się w ziemię.

Zbyszek właśnie o nim sobie myślał, bo go kochał bardzo. Lepszego pana dla swoich żołnierzy nie było nad niego; żył tak samo, jak i oni, z jednego kociołka jadał z nimi, śmiał się i dawał śmiać ochotnie, pyszny nie był, ludzki bardzo. Prawda, że żołnierz u niego rzadko grosz zobaczył, bo on sam nigdy go nie miał, ale po wsiach i dobrach duchownych żywili się i rwali, jak chcieli, a i na plebanje zaglądali.

Dobry ten pan, wprowadzie, gdy mu się kto sprzeciwiał, wieszał bez sądu, ścinał bez miłosierdzia, a jednak ludzie miłowali go, bo gdy kazał wieszać, albo ścinać, pewnie było za co, a dla dobrych był ojcem rodzonym.

W tych ziemiach, których był panem, osobliwszym sposobem miał najzjadlejszych wrogów i najlepszych przyjaciół, co zań gotowi byli dać życie. Miłowano go bez miary i nienawidzono srodze.

Takim był, że i sam nic pomiernie czynić nie umiał i w ludziach też budził albo niechęć wściekłą, lub miłość ogromną.

Zbyszek myślał o tym dawnym swym wodzu, z którym się dużo po Śląsku, Wielkopolsce, po sandomierskiej i krakowskiej ziemi nawłóczył, gdy pomimo wichru dał się słyszeć tętent konia pod oknem. Pies, leżący w progu (wabił się on Kruczkiem), czekać począł, zerwawszy się, parobek skałki łupać przestał, a Zbita zawołała, z drzemki się budząc:

— Ot i Marcik.

Szedł Chaber do drzwi, bo te na wszelki wypadek wieczorem drągiem zakładano, aby posłuchawszy w sionce, młodemu panu otworzyć. Ten się już, w znany wszystkim sposób kułakiem tłukąc, do drzwi dobijał.

On ci to był sam. Ruszyło się wszystko w chacie, stara Marucha do garnków, Zbita na przyjęcie syna, nawet Zbyszek głowę podniósł i zwrócił się ku wnijściu.

Marcik, oddawszy konia, wchodził właśnie.

Chłop był dorodny, silny, szerokoramienny, co się zowie, tęgi, twarzy okrągłej i rumianej cale nie brzydkiej, a gdy była wesoła, piękniejącej.

Z całej postawy i ruchu znać było, że się rodził na wojaka, ale nie takiego, coby nogami wrósłszy w jedno miejsce, trwał w niem, ale na ruchawego i potrzebującego codzień nowej strawy.

Okryty szeroką opończą dość wyszarzaną, miał pod nią kawałek zbroi i mieczyk, na głowie czapkę z obręczmi żelaznemi i śpiczastym wierzchem okutym, bo onego czasu z domu się wybierać bez zbroi i oręża niebezpieczno było. Każdej godziny mogło coś niespodziewanego spotkać:

Marcik dobrze wiedział o tem i w rękę też trzymał od siodła odjęty koszturek z siekierką i obuszkim, który w jego dłoni mógł się dobrze dać we znaki.

Pokłonił się rodzicom, zdejmując zwolna opończę i na ścianę ją wieszając, gdzie miejsce dla niej na kołku było.

— Psi czas! — zawołał. — Żeby Marucha nie miała lepszych nóg a ja dobrych rąk, wicherby ją obalił, tak szaleje. Drzewa ogromne kłaniają się jak kłosa. — Psi czas!

— A trzeba ci było siedzieć tak do późna? — zamruczał ojciec.

— Nie mogłem bo się wyrwać z gospody od Szeluty, tyle tam dziś było ludu i gadania!

— Ho, ho! — odparł ojciec, a matka stanęła, gotując się już słuchać opowiadania i ręce na piersi zakładając.

— Co tam ludzie pletli, aż strach! — rozśmiał się Marcik. — Żebyście to wy byli mogli posłuchać, ojcuzłu, dopierobyście się radowali. Mnie się zda, że to wierutne baśnie.

— Cóż to? co? — przerwał ojciec ciekawie.

— No! — rzekł Marcik, wyciągając się, jakby go siedzenie na koniu zmęczyło — plotą ludzie, że się kędyś znowu Łoktek pokazał!

To rzekłszy, śmiać się począł, a Zbyszek, choć stary, choć w nogach niemocen, porwał się piorunem i przyskoczył do syna.

— Łokietek! mój pan! — zawołał radośnie. — Widzisz a otom ja ci mówił zawsze, przysięgałem się, że pan ten zginać nie mógł, że on się zabić nie dał, i wypłynie jeszcze i panować musi.

— Ho! ho! — śmiał się syn, siadając na ławie i nogi ku ogniewi wyciągając. — Ojczulu, ojczulu, już mu tu nie bywać! z czeskich mocnych rąk już my się nie wydobędziemy!

Wacław się królem koronował, ma za sobą pół świata, potęgę ogromną. Cesarze i króle z nim, a ten twój biedota, książę Łoktek, goły, co nigdy denara przy duszy nie miał, gdyby ci wypłynął gdzie — co on zrobi przeciw takiemu mocarzowi, jak król czeski?

Stary zasmucił się mocno. Nie mógł synowi prawdy nie przyznać, a serce inaczej pragnęło i czuło.

Pomimo wszystkiego miał jakąś nadzieję.

— E! e! — rzekł cicho — niechajno się on tylko pokaże! Zobaczysz Marcik, da on sobie rady i z tym mocarzem! Ty go nie znasz! Ja u niego służyłem, ja na niego patrzałem! Mały człeczek, niema spojrzeć na co — a jak bije! jaką ma siłę! i jaką moc daje swoim, gdyby czary miał! Ludzie już się słaniają i padają, niech on krzyknie na nich tylko, wnet nowa dusza w nich wstępuje. Miecz jego dobry, ale serce jeszcze lepsze.

Przerwał wkońcu Zbyszek pochwały i przystąpiwszy do syna, naglił nań.

— No, gadaż ty mi, gadaż, skąd ludzie wzięli, że on się znowu pokazał. Widział go kto? Blisko lat czterzy nie było ani słuchu, jak w wodę wpadł, mówiono, że zabili go, że na Węgrzech zginął, że do klasztoru

wstąpił na pokutę, że go Czechy czy Niemcy zamordowali. A jam temu nigdy nie wierzył, bo ja go znam!

— Kto tu teraz prawdy dojdzie? — odezwał się Marcik obojętnie, wcale zapału ojca nie biorąc do serca. — At! prawią ludzie, jakby się zjawił! — Toby nie znaczyło nic, bo czego nie prawią? Ale Czechy czegoś niespokojne.

Mówią, że pan Ulrych (Boskowicz), co na zamku siedzi, dał pilne rozkazy, aby Łoktka szukano, trzęsiono po kątach — łapano, a za głowę jego naznaczył moc grzywien, czy wielkich tych groszy praskich.

Stary ręce załamał.

— Uchowaj, Panie Boże, nieszczęścia, gotów się ja ki łotr ułakomić, — zawołał — i zdradzić go! Miłosierny Panie!

— A coby w tem dziwnego było? — rzekł Marcik. — Nie każdego dnia trafi się taka zwierzyna!

Zbyszek aż się wstrząsnął ze zgrozy.

— Milczałbyś! — krzyknął. — Jabym swoje życie za tego pana dał. Och! och! gdyby się on zjawił, a poszczęściłoby się mu, ty i ja nie siedzielibyśmy w tej mizernej chacie na Łowczej, ale na krakowskim zamku, albo na własnej ziemi kawałku.

Marcik ręką zamachnął, jakby tę przepowiednię lekko sobie ważył.

— Takby było! tak! — ciągnął stary dalej. — Pan to jest taki, że żadnego ze swoich starych żołnierzy, gdyby go raz widział, nie zapomni. — Spojrzawszy jeno na mnie, powiedziałby ci zaraz, gdzieśmy razem bywali i co robili. Choćby miał tysiąc ludzi, gdy im raz popatrzał w oczy, każdego pozna, bodaj po dziesięciu latach. Każdemu wdzięczen był.

— A co dziś ta jego wdzięczność warta, kiedy on sam kąta i przytułku nie ma i mieć nie będzie — rzekł Marcik, spluwając. — Jeżeli prawda, że żyw włóczy się kędyś, a Czechy za nim w tropy, kto do niego dziś przystanie? Ani łomu, ani domu, ani grosza w kalecie. Co po takim panu?

— Co ty wiesz? co ty znasz? — gorąco ofuknął go

stary. — Widziałem ja go już w dziesięć koni jeżdżącego po dworach, w lichej zbroiczce, powiązanej sznurkami, z kaletą pustą, a w miesiąc, we dwa, ludzi już miał, grody brał, i bił się i zwyciężał.

— Tak ci to może bywało — odparł Marcik — póki u nas małe książątka trzymały ziemię. — Rwać od nich było łatwo, ale nie od Czech! to siłacz wielki!

— A ja ci mówię — przerwał Zbyszek, — że tym Czechom u nas długo nie gościć! Już się ziemianie skrobią po głowach, już po miastach Niemcy, choć się im kłaniają — stękają. Dłużej nikt nie strzyma.

— A co ziemianie dziś znaczą? — rozśmiał się Marcik — albo to oni ci, co byli? Niegdyś oni rej wodzili, teraz miasta górą, Niemcy górą, grody poobsadzone najemnikiem, żołnierza cudzego dosyć!

Zbyszek głową potrząsał.

— Gadaj ty mi lepiej, co w mieście słyhać? Tego od ciebie chcę.

— Mówiłem już — odparł syn. — Plotą, jakby się znowu skądś wyrwał wasz Łoktek, dodają, że najwyższy biskup rzymski o jego prawa się upomina, że on w Rzymie u niego był i stamtąd wraca.

— Widzisz, — zatriumfował ojciec — widzisz! Ho! niedarmo on w świat szedł! Rozumny pan! Wiedział, gdzie uderzyć. Był tego czasu właśnie w Rzymie wielki odpust na świat cały, kędy i zbójom wszelakim odpuszczano. Ty myślisz, że biskup rzymski to mała rzecz, taki prosty biskup, jak nasz? On ci przecie koronę nosi i korony rozdaje. A jak on się upomni? jak zaklnie?

Marcik głową kręcił.

— To co? — rzekł. — Wszystko babskie gadanie, aby ludzie mieli co językami mleć. Czechów ktoś chciał nastraszyć — bajkę im puścił, a na nich czapka gore, popłoszyli się. Skądby on po trzech leciech wziął się tu znowu, kiedy już wracać nie ma do czego! Kujawy, nie Kujawy zabrali mu wszystko, pędzi ziemi nie ma. Prawią ci, co dobrze wiedzą, że księżnę, żonę jego, mieszczanin do domu przez miłosierdzie wziął i żywi ją, przytułek jej daje. Nie czekałby on tyle lat, gdyby



o czem myślał. Czechy tymczasem gospodarują. Na granicy od Węgier w Kamienicy nad Dunajem twierdzą, słyszę, budują, że aż strach!

— W Kamienicy? nad Dunajem? — spytał stary. — Toć ona biskupia była?

— Biskupowi dali za nią Biecz — rzekł Marcik. — Tam gród chcą mocny i wielkie miasto zakładać. Cóż wasz Łoktek z rękami gołymi robi przeciw nim?

Zbyszek nie dał się pożyć, zwiesił trochę głowę i mruknął uparcie:

— Gadaaj, gdzie go widzieli? kto o nim mówił?

Marcik, uśmiechając się miłosiernie, w głowę się poskrobał.

— Jam ci to myślał sobie, — rzekł — jak się ta-tulo dowiedzą o tym swym zmartwychwstałym Łoktku, spokoju mi o niego nie dadzą. Dlatego u Szeluty od jednego do drugiego chodził, nastawując uszy, — ale bredzą, każdy co innego.

— A prawże mi, co gadają?

— Każdy swoim smakiem — śmiał się Marcik. — Jedni, jak ja, drwią i wiary nie dają, drudzy gotowiby iść tropić, aby Czechom wydać za pieniądze.

— To łajdaki są i zbóje, — krzyknął głośno oburzony Zbyszek — psy niepocziwe, dałbym ich wywie-szać!

— Niektórzy pomrukiwali, że go widziano w oko-licy kędyś niedaleko — ciągnął Marcik. — Mówią, że po dworach do ziemian zaglądał około Ojcowa, do tych, co mu dawniej sprzyjali i chadzali z nim. Ci go pono przyjmują ni źle, ni dobrze — goszczą, karmią, przez zęby coś cedzą, a z pomocą — nie radzi.

— Tacy oni wszyscy, tacy! — westchnął Suła. — Im i Czech dobry i Niemiec dobry, a gdyby Tatar przy-szedł panować, i temuby się kłaniali. — Co im!

— A ja tobie mówię — słyszysz Marcik — ten ma-ły był dla nas na pana stworzony! Z nim ksiądz, zie-mianin, chłop, najlichsza gadzina rozmówić się mogła, zrozumiał każdego, nie przegnał precz nikogo! To był pan — nasz!

On tej biedy podczas zażywał co i my wszyscy! Czarny chleb jadał, na ziemi legał, po lasach się tułał, w siermiedze chodził, głowy gdzie przytulić nie miał — a jak było potrzeba — panem potrafił on być i łeb uciąć i krwi utoczyć gorącej. Gdy dobry bywał — choć do rany, gdy się namarszczył, stój zdala, albo nogi za pas. Żartu z nim niema!

To był pan dla nas! Trzymał twardo, gdy potrzeba było, a wiedział gdzie i kogo głaskać — i dać dobre słowo!

Zbyszek westchnął.

— Co ty wiesz? — dodał do syna. — Tyś nic nie widział, a mało co słyszał ode mnie — ale gdybyś patrzył na to, co ja!

Syn uśmiechał się potrosze, stary rozgadywał tak, że już utrzymać się nie mógł i choć pewnie raz nie pierwszy, puścił się w opowiadanie, gdy tymczasem wieczerzę im przygotowywano.

— Ja — jam go z maleńka znał — mówił. — Nie miał wówczas może nad lat piętnaście, a rwał się już wojować i panować. Jam naówczas służył przy medyku Mikołaju, co go pilnował, żeby nie chorzał. Ale gdzie on kiedy chory mógł być! Bywało zdaje się, że słabuje, niechno mu powiedzą, że trzeba w pole, zerwie się na równe nogi — zdrów jak ryba!

Wówczas na swą rękę jeszcze nie mógł wojować, to się czepiał, gdzie co szcękneło. Chodził z nieboszczykiem kaliskim Pobożnym — i przy innych, byle się wojny uczyć. — Z Przemkiem, co na Poznaniu siedział, choć niebardzo byli zgodni, a i temu pomagał.

Lat kilkanaście, jak się Czarnemu Leszkowi zmarło, co też żołnierz był dobry, a potomstwa po nim nie zostało, choć żaby i węże na to jedli oboje, i nic im nie pomogło, ziemianie sobie na Kraków wzięli mazowieckiego Bolka, a mieszczańie krakowscy Ślązaka z Wrocławia.

Wówczas Mazurów sobie ściągnął i Wielkopolan i Pomorzan, i jam tam był, gdy Henryka napadł pod Siewierzem, w parę niedziel po Gromnicach! Tośmy

się kłuli, to siekli, to gnali! Przemko, młodziuchne chłopię, padł zabity, Bolko opolski ranny dostał się nam w niewolę.

W drugiej bitwie pod Skałą, w trzeciej pod Świątanicą — biliśmy się a bili. Ten mały tak sam dokazywał, że stał za dużych dziesięciu. On ci nie będzie patrzył zdala, ręce założywszy, jak się ludzie rąbią za niego; żeby go przywiązano na łańcuchach, urwie się, leci w samą gąszcz, w upał a siecze! Trzeba na to patrzeć!

Po Świątnicy szliśmy prosto do Krakowa. Tu nam wrota otwierają szeroko, Niemcy się do ziemi kłaniają, ks. biskup Paweł, co to wiecznie wichrzył a szkodził — z krzyżem i święconą wodą wychodzi naprzeciw: — Witajże, gospodynie!

Przyszliśmy jak swoi wziąć gród; ano prędko jednak, kto w mieście stał u tych Niemców paskudnych — zwąchał, że oni ze strachu, nie z miłości się poddali.

W mieście było nieswojo. Patrzali na nas, jak na wrogów, po kątach się już zmawiano. Pan, wiedząc o tem, lekce to sobie ważył. Jednak strażę około wałów i wrót miejskich obchodził sam, aby być pewnym, że się nie stanie nic.

Niemcy prawili ciągle: — Ja! Ja! — Kłaniali się, a djabła za kołnierzem mieli. Posłali cichaczem po swoich na Śląsk.

My tymczasem w Krakowie siedzieli, jak w uchu. Pamiętam tę noc, bom na straży był, a właśnie Łoktek sam obszedł i opatrzył czaty.

Naraz, kiedy już był blisko zamku, pod świętym Franciszkiem, zrobił się hałas... Niemcy wrota otworzyli — puścili wewnątrz Ślązaków! Ci wprost na nas, bij, zabij! Ledwieśmy z życiem uszli.

Jam popędził za panem, dognałem go przy klasztorze. Nie więcej nas z nim było, jak sześciu. Wpadliśmy do franciszkanów. Mnichy za nami drzwi za-warli.

Co tu począć? Ino patrzeć, jak nas tu Niemcy pobiorą, gdyby w gnieździe piskłęta.

Myślicie, że się uląkł, albo serce stracił? Wziął na się mniszy habit, co mu go od jakiegoś wyrostka do-brali, obciąwszy od dołu i na mur, który do klasztoru przytykał! Dawaj drabinę, podawaj sznury! Spuścili-śmy się tak szczęśliwie i uszli, koni dostawszy.

W tej to zawierusze zgłosił się Czech, że jemu się należy Polska, bo kleryk Gryfiny wdowy coś tam na skórze fałszywie napisał. Przemko wielkopolski przez zazdrość dla naszego — wołał oddać Kraków Czechowi.

Myślisz, że nasz mały się poddał i uszy stulił? Szli Czechy na Sandomierz — a my przeciw nim.

Znowuśmy się tłukli a gnali — bo nie były to Czechy te same, co dziś są. Jednak my im z Łoktkiem po-dolali.

Poszliśmy do Winnicy — i wzięli. Podstąpiliśmy pod Kraków, zajęli przedmieścia, siedzieliśmy im pod nosem — nie dali się!

Nie mógł naówczas żaden Czech na krok się za wał ważyć, bośmy na nich czatowali i rwali ich wszędzie. Przyciągnął z Pragi biskup z wojskiem, bo oni sobie z biskupa wojewodę zrobili — i ten nam rady nie dał.

Łoktek krył się z nami po lasach, po górach i po-lował na nich. Wówczas nierazemy się obłowili do-brze... tak, że już oni sami się prosili, aby zgodę zrobić.

— A dobrze — rzekł — idźcież precz, będzie zgoda! I rwaliśmy ich po kawałku.

Dopiero jak sam król przyciągnął z pomocą wielką, a jeszcze sobie Sasów z Brandenburga dobrał, co się to nim opiekowali — musieliśmy odstąpić, aleśmy poszli do Sieradza i do Sandomierza.

Przeciw takiej sile co było robić? Rozumny pan był! Rozumny!

Bitwy się im chciało, prosili o nią — nie dał im jej. Staliśmy znowu po lasach i na czatach. Wymkną się Czechy, z głodu mrąć, na picownika — puszczamy. Gdy się ubezpieczą i zapuszczą głębiej — dopiero my na nich i ztyłu i zprzodu! Mało który nam uchodził.

Snu tam nie było ani spoczynku. A i on też nie

zasypiał, dworu sobie ani dachu nie szukał: wszędzie sam był z nami. Musieli Sieradz oblegać, a i tego nie wzięli, tylko miasto same.

Cały następny rok nie dawaliśmy im spokoju. Boże miłosierny! gdyby człowiek chciał powiedzieć, co przez te czasy przecierpiał i robił — niktby nie wierzył.

Biliśmy się, gdzie im było potrzeba — aż do samego końca, póki nas taka garść była, żeśmy w pole wyciągnąć mogli. Aż obrali sobie w Poznaniu króla; — dopiero my spoczęli.

Mały nasz przycupnął, wiedział, że chyba król długo tam nie posiedzi, bo się na niego odgrażali dawno. I zabili go w Rogoźnie.

W Poznaniu na św. Wojciech, wiosną naszego pana okrzyknęli księciem i tylko co mu korony nie dali — królem go chcieli mieć.

Dopiero Ślązaki sobie drwić z łokciowego pana, że mały, że znosek... a odgrażać się.

Zasłyszał, że Ślązacy go tak i owak przezywają, a lekce sobie ważą.

— Pójdziemy na Śląsko — rzekł.

Poszliśmy i spustoszyli je, aby znali, co łokciowy pan może.

Stary westchnął ciszej.

— Wróciwszy z tego Śląska do Polski — niema co się zapierać — prawda, że nasi ludzie srogo poczynali w domu... ale nie było sposobu, płaca nie dochodziła, pieniędzy nie było, żyć musieli. Więc się nie patrzyło, czyja wieś, czy księża, czy kościelna. Za to Pan Bóg pokarać musiał, bo tam na swawolę dużo dziewcząt pobrali.

Jam precz szedł, na sumieniu nic nie mam. Ślązacy się zaraz z biskupem poznańskim zwachali, więc choćby z tego nie było nic — począł biskup kląć, nie tyle za mniszki, co za snopy i grosze. Ślązakowie chcieli się poddać. Połatało się, przyszła zgoda, gdy licho Czechów nadało.

Zamilkł Zbyszek nagle, podparłszy się smutnie na rękę.



— Tamtych to lat go widzieć było potrzeba — dodał — gdyśmy w polu ciągle byli. Wszyscy, jako jeden człek, pułkownicy i ciury o głodzie i chłodzie — a gdy wróg się pokazał — jak wściekli! W zlej, czy dobrej doli, nigdy on się nie zmieniał, zawsze ten sam, noc i dzień we zbroi, miecza nie odpasując. Namiotu sobie rozbić nie dał, na gołej ziemi spał. Ledwie się ozwało hasło, pierwszy na nogach. Konie pod nim padały, on się tylko przesiadał, i — dalej! Nam siły ustawały — jemu nigdy!

— I jakim był, takim będzie, gdy powróci! — zakończył stary Zbyszek.

## II.

Po chwili Suła dodał:

— Gdyby on z nieba spadł, czy z pod ziemi wyszedł, wojowałby i zawojowywał, jak wprzódy!

Marcik słuchał z uwagą, oczy mu czasem pobłyskiwały. Wierzył czy nie w opowiadanie, brało go ono za serce, rozgrzewał się, zajmował, uśmiechał. Stary mówił coraz żywiej, a gdy skończył i zadumał się, Marcik rzekł cicho:

— Któż ich wie? Choć mnie wierzyć się nie chce, — aby się zjawił znowu — któż wie? Czechy się niepokoją i ruchają — coś to znaczy. Biegają po okolicy, porozsyłali ludzi, trzęsą po dworach.

W ciągu rozmowy wiatr ucichł nieco, tylko wdali szumiały lasy poważnie, głucho, niby sobie rozpowiadając o tem, co zaszło.

O tej godzinie nigdy prawie nikt się do Łowczej nie zjawiał, nie spodziewano się też nikogo, gdy naprzód pies okrutnie ujadać zaczął, do drzwi przyskakując, co wszystkich nastraszyło, bo Kruczek słynał z roztropności i nigdy darmo nie napędził popłochu, chyba albo się wilcy zbliżali, których czuł zdala, albo człek przywłókł obcy.

Chaber pobiegł nasłuchiwać, gdy naraz we drzwi i okiennice bić zaczęto.

O tej porze nocnej z otwieraniem dobrze się trzeba było namyślać. Wyprawiono więc Marcika do sieni, aby przez otwór w ścianie rozpatrzył się, co było. U progu już rozlegały się krzyki jakieś pół niemieckie, pół niby polskie. Domyślano się Czechów Boskowicza.

Byli to podówczas straszni panowie, którym posłuch dawać musiano, bo nie folgowali nikomu. Stary Zbyszek wołał już, aby im otwierano, nie czekając, gdy Marcik jeszcze rozpytywał.

Naostatek po krótkim targu drzwi otwarto, bo je już łamać chcieli i wparł się w nie mąż uzbrojony, wzrostu słusznego, z mieczem w rękę, który z czeska łąjał, że śmiano go trzymać u progu, opowiadając, że był posłany od wielkorządcy Boskowicza, aby po okolicy tropił włóczęgów.

Zbyszek zpodelba koso nań spojrział.

Tuż za nim ciągnęło dwu pachołków z toporami i mieczami.

Weisnęli się do chaty, a drugich dwu na straży przy drzwiach zostało. Wysoki mąż w sieni zaraz począł się pilno rozglądać, zawołał ognia. Zobaczywszy drabinę, wiodącą na wyżki, jednemu ze skałką kazali wleźć zobaczyć, czy się tam nie ukrywa kto.

Sam dowódca wszedł do izby, niespokojnie badając wszystkie kąty.

— Nie masz kogo obcego u ciebie? — zapytał gospodarza, który ramionami tylko poruszył. — Łotrzyńska się po okolicy błąkają.

— Cóż to wy macie dworek ziemianina za łotrowską gospodę? — odbąknął Suła.

Czech dumnie i opryskliwie odwrócił się ku niemu, wołając:

— Alboż to u was po dworach, po ziemianach nie było rozbójniczych szajek? Czyśmy to nie musieli tych gniazd wywracać? Nie łupiło wasze rycerstwo po gościńcach?

Zbyszek odpowiedział mu tylko gniewnem spojrzeniem i uszedł na bok. Nie mówiąc więcej, Czech powlókł się po izbie, a drzwi od komory zobaczywszy,

zajrzał i tam. Wrócił, mrucząc i siadł na ławie zdala od ognia.

— Nie macie co pić? — spytał po chwili.

— U mnie tu nie szynk, ni gospoda — rzekł stary. — Wody, kiedy chcecie, dam, piwo pono wyszło, miodu ja nie sycę, ni piję, a na wino mnie nie stać.

Czech pod nosem łajał.

Tymczasem pachółkowie, co na strychu byli, nic nie znalazłszy, weszli do izby i stanęli w progu. Reszta ich w sieni i podwórku czekała. Kruczek, który się nieco uspokoił, znowu począł na obcych naszczekiwać.

Dowódca siedział kwaśny.

— Myśmy tu o żadnych nowych rozbojach i łotrzykach w okolicy nie słyszeli — odezwał się, przysuwając ku niemu, ciekawy Suła. — Cóż to was tak pilno po nocy pędzi?

Czech zrazu nie chciał odpowiedzieć i mruczał tylko coś pocichu sam do siebie. Potem zagadnął o drogi w okolicy, o dwory w sąsiedztwie, przesmyki ku Ojcowu, o przejezdnych takich, czy ich tu za dnia nie widziano.

Suła uspokajał, zapewniając, że po lasach nie słychać nie było od czasu jak mieszczanina Stroke, jadącego z Wrocławia, ubito, a zabójców połapano i powieszano.

Czech słuchał obojętnie i milczał. Przyszło wreszcie na myśl Zbyszkowi, że łącniejby co może z niego wyciągnął, gdyby przyjął gościnniej. Więc choć mu resztek piwa świdnickiego, z Krakowa przywiezionego, żal było okrutnie, choć wprzód powiedział, że mu ono wyszło, zamruczał coś do ucha Zbicie, która z komory wyniosła garnek prosty, pełen piwa i podała kubek Czechowi.

Ten, nie spodziewając się już poczęstowania, wzbraśniał się trochę, potem napój przyjął i wasy po nim otarłszy, trochę czoło rozchmurzył.

Ze szczęśliwego usposobienia korzystając, gospodarz coraz śmielej się ku niemu przysuwał.

— Mówcie sobie, co chcecie — rzekł; — musi coś

pilnego być, kiedy was na noc w burzę rozsyłają po drogach i lasach. Ludzie jakieś brednie plotą, a wy, im wierząc, i sami pokoju nie macie, i drugim go nie dajecie. U nas tu o niczem nie słychać.

— Ludzie plotą bajki, albo i nie bajki — odmruknął Czech. — Kto to wie? Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Na zamku coś wiedzieć muszą, kiedy nas na wszystkie strony, pod Sącz, pod Wiślicę i ku Ojcowu rozpedzono.

— No? a kogóż się boicie? — pytał Suła.

— My? — nie boimy się nikogo — rzekł dowódca — ale poco warchoły ludzi mają niepokoić?

— Jakie warchoły? — nalegał stary.

Czech się obejrzał.

— Co? Niceście nie słyszeli?

— W kacie siedząc, skąd ja co mam słyszeć? Nie wiem nic.

— At, plotą — dodał Czech pogardliwie, — że to małe książątko, co to było przepadło, Władek Łokieć, z mysiej jamy się znowu dobył.

Ramionami dźwignął, uśmiechając się.

— U was — mówił — człowiek nowy czy stary, byle się ruszył a huknął, — głowy się zawracają! Nowe sitka lubicie.

— Skądby się ten wziąć miał? — rzekł Suła z udaną obojętnością.

Podał Czechowi kubek drugi, który ten wypił ochotczo i stał się jeszcze otwartszym.

— Wczorajszego dnia — zaczął, pochylając się ku niemu — przybył na zamek do pana Ulrycha ziemianin Poręba, co ma nieopodal w górach dwór. Ten oznajmił, że u niego nocował z kilku ludźmi mały panek, Łoktek. Zamiast go tam zaraz pochwycić i na zamek odstawić, za coby nagrodę dobrą wziął — puścił go wolno, nakarmiwszy i napoiwszy, a potem się dopiero namyślił i ze strachu dał o nim znać Ulrychowi.

Począł go Boskowicz łajać, dlaczego nie wziął wywołanego w niewolę, kiedy go w rękę miał; tłumaczył się, iż starego prawa gościnności łamać mu się nie go-

dziło. Naklął go i nałajał nasz dobrze i zaraz po drodze rozesłał, aby Łokcia tropiono.

Suła słuchał z uwagą wielką i głową pokręcał.

— E! — rzekł, udając niedowiarka. — Ten Poręba przylizać się chciał i lada co wam naplótł. Wy się darmo po okolicy tułać będziecie. Tu go niema. Skądby się wziął, po tylu latach? i to jeszcze pod bokiem waszym? pod Krakowem? Naprzódby o nim na Kujawach słyhać było.

— I ja tak myślę — rzekł Czech, wstając z ławy. — Dosyć się już po lesie i wąwozach natłukliśmy, powrócimy do Krakowa.

— Najrozumniej zrobicie — potwierdził Suła, dając mu trzeci kubek na drogę.

Czeladź, którą też poczęstowano, aby ją udobruchać, ogrzawszy się, zaczęła się do odjazdu sposobić. Marcik, który czasu rozmowy trzymał się zdala, wywiódł ich za próg i poświeciwszy do wsiadania, gdy w las ruszyli, rad, że się ich zbył, drzwi drągiem założył.

Gdy, wróciwszy do izby, na ojca spojrzał, zdumiał się mocno, takiej starowina nabrał buty i tak poweselał. Czapczynę na jedno ucho wykręcił, ręce w boki za pas pozakładał, i tylko że po izbie nie skakał, ale nogami podtupywał.

— Słuchajno, Marcik, ho! Teraz jam pewien, że Łoktek żyw! A jak on żyw, to im sadła za skórę zaleje gorącego!! Jeśli nie on, — nikt stąd Czechów nie wyżenie. To go Pan Bóg zesłał!

Zbyszek dziwnym głosem ostatnie słowa wymówił, a syn się uśmiechnął.

— Śmiej się, nie śmiej — począł stary. — Czechy dobre nosy mają, wietrzą oni sławnie. Porębaby nie skłamał, choć urwis! Zaraz z gębą na zamek, z długim jęzorem do Czecha. Jabym go za to powiesił... Dał jeść, pić, a potem puścił nań ogary — dobra mi gościnność! Jak się Łoktka doczekamy, warto mu za to krwawą łaźnię sprawić!

— Ojczulu kochany mój! — patrząc nań i w pół go obejmując, zawołał Marcik — ażeście odmłodnieli!

— Co myślisz! Gdybym pana mego zobaczył, — krzyknął Zbyszek, ręce składając — naprawdęby mi może młodość wróciła. Ten człowiek to cudotwórca!

Gwarzyli tak, śmiejąc się, gdy Zbita, która z wieczerzą dla Czechów się strzymała, poczęła kaszę ze słoniną na misę wykladać, aż zapach od niej rozległ się po izbie.

Syn i ojciec, poczuwszy ją, zwrócili się oba ku stolowi.

— Idźcie jeść, aby darmo nie stygła! — powoływała Zbita.

Pobiegli do misy, na którą czeladź się też oglądała; stary Zbyszek miał ręce umywać, gdy do okiennicy słyszeć się dało stukanie nieśmiałe i powolne.

Z początku przeżegnali się tylko, sądząc, że zły duch jaki się im przekomarza, ale gdy pukanie się powtórzyło, Marcik śmielszy ku oknu się zbliżył.

Z podwórca dochodziło jakby szeptanie i mruczenie.

— Albo Czechy powróciły, — rzekł Zbyszek — albo... lichu już wie, co o tej godzinie może być? Zbóje?

— Nie otwierajcie po nocy lada komu — dodała Zbita; — djabeł nie śpi, kto wie, jaką zły duch może przybrać postać? Ktoby pocziwy ważył się po nocy na taką burzę?

Zbyszek niespokojny, rozgorączkowany, łyżkę za pas wetknąwszy, sam pobiegł słuchać do okna, a Marcik do sieni, aby wyjrzeć otworem. Zamieszało się w chacie, a stukanie do okiennicy nie ustawało.

Gdy po długich szeptach i naradach Marcik, wzięwszy w rękę obuszek, odważył się drzwi odemknąć, aby z małą gromadką ludzi, spokojnie w podwórku stojącą, rozmówić się — gdyż proszący o przytułek zbójecko i napastliwie nie wyglądali — spotkał się naprzód z dość słusznego wzrostu mężczyzną, otulonym opończą, który dla zabłąkanych podróżnych, od Śląska jadących, o godzinę spoczynku w chacie upraszał.

— A gdzież tu u mnie wygodą dla was w takiej



biednej chiżynie? — odparł Zbyszek od progu — ani miejsca dosyć, ani strawy.

Przybyli poczęli się naradzać między sobą.

— Myśmy się tu tylko co Czechów Ulrychowych z Krakowa zbyli — mówił gospodarz — i tych musielśmy częstować a zapasów nie mamy.

— Czechów? jakich? — zapytano z gromadki.

Głos, który Zbyszek posłyszał, tak go tknął, że za-drżał.

— Boskowiczowych ciurów — odparł, — którzy włóczą się po okolicy i sami nie wiedzą, kogo szukają...

— Powiadają — dodał Marcik, — że Łoktek się, kędyś z martwych powstawszy, zjawił i za nim się puścili. Radziby go mieć!

Gdy to rzekł, pomiędzy przybyłymi gwar się wszczął wielki, rozumieć nie było można, co mówili. Spierali się o coś. Jeden mimo wszystkich pode drzwiami podjeżdżał i chciał do chaty.

Marcik rozeznał tylko, że ktoś rzekł:

— A no, to dobrze; kiedy raz byli, rychło tu nie powrócą.

Człeczek mały, krępy, natychmiast z konia się zsunął i rozpychając drugich, szedł do dworku. Za nim pośpieszyło trzech jeszcze i Zbyszek.

Właśnie Marucha świeżo dorzuciła skałek na ognisko, które zapalało mocno, a światło padło na wchodzących, którym się z wielką przyglądano ciekawością.

Państwo to było jakieś, ale niewielkie; ludzie nędznie poodziewani, w opończach grubych, po których znać było, że na gołej ziemi często legiwały. Twarze zbiedzone i pomęczzone, odzież obmokła, obuwie wychodzone.

Pomiędzy nimi Zbyszka najwięcej zajął ten, co był najniepozorniejszy; mały, średnich lat mężczyzna, krępy, zdrów, czarno zarosły. Patrzył nań, przyglądał się, oczy mu nawierzch wychodziły, ręce począł łamać, usta się otwały i nagle na kolana przed nim padłszy twarzą do ziemi, krzyknął:

— Pan mój! pan mój!

Słowa te jakby zarzewiem na gości rzuciły. Ci, co małemu towarzyszyli, obstąpili go i już z nim do drzwi chcieli, gdy on śmiało naprzód wystąpił i do Zbyszka się zbliżywszy, rękę mu kładąc na ramieniu, rażno zawołał:

— Pokażno twarz, coś za jeden?

Gdy światło padło na nią, podumał kęs i rzekł:

— A toć—Zbyszek Suła? he? Ty, coś ze mną długo wojował, — i na Śląsku, i pod Krakowem, i w Krakowie onej nocy, cośmy się zniszczyli! Pamiętasz? tyś to jest?

Śmiał się, a oczy mu błyszczały.

— Dobra wróżba starego spotkać wojaka — dodał. — He? Znowu na wojnę pójdziemy!

Mówił, a inni się rozstępowali; można mu się było lepiej przypatrzyć.

Mały był bardzo, ale jak z jednej bryły wyciosany; na twarzy, w oczach, w uśmiechu, na czole męstwo, rześkość jakaś okrutna i wiara w siebie napiętnowane były. Każdy je musiał przeczytać, nikt omylić się nie mógł. Nie piękny był z twarzy, w której surowości i dumy wiele było, ale powaga jej i energja poszanowanie wrażały.

Człek był z rodzaju tych, co ich, chcąc nie chcąc, drudzy słuchać muszą — umiejący rozkazywać, czując w sobie do tego prawo. Mały, gdy stał wśród takich, co go nie głową, ale dwoma i trzema przerośli, zdawał się nad wszystkich większy.

W ustach, na czole śmiały mu się wspomnienia tych wypraw na Śląsko w roku 1297, gdy mszcząc się urąganiu książąt wrocławskich z wyboru jego na króla i przezwiskom pogardliwym, jakie mu nadawali, sztyderstwom ich niepocziwym — wpadł na ich ziemie i spustoszył je okrutnie.

Lecz jakże innym się teraz wydał ów Łoktek w oczach starego żołnierza! Pod te czasy miał jeszcze błyszczące zbroje, orszak książęcy, purpurowe płaszcze i hełm złożony — choć wszystko to pono za pożyczony grosz kupione było. Pamiętał Zbyszek ową kite,

którą do hełmu przypinał, aby się trochę słuszniejszym okazać. Naówczas książęco występował — a teraz!

Z pod opończy starej i zabłoconej przeglądała zbroja dawno nie czyszczona, piersi jego okrywająca; miecz u pasa wisiał w prostych pochwach czarnych, hełm miał liche i pogięty. Towarzystwo jego nie lepiej też było poodziewane i zbrojne.

Zbyszek, patrząc nań, z radości tak drżał, iż przemówić mu było trudno, przyciągnął tylko syna przed księcia, kazał mu na kolana paść i w rękę go całować.

— Syn mój — rzekł.

— A żołnierz taki dobry, jak ty? — spytał Łoktek.

— Posłużywszy u miłości waszej — zawołał stary, — będzie on lepszy nade mnie. Weźcie go ino z sobą! Poszedłbym i ja za wami, ale nie zdążę już. Zaniemógłbym kędy na drodze.

Łoktek wpatrywał się w Marcika.

— A no — rzekł, — zdałby się. Teraz czy później, nie wiem... Ludzi mi trzeba dużo.

Otaczający księcia, widząc go bezpiecznym, poszli postawić strażę dokoła chaty. Łoktek zbliżył się do ognia, ręce grzejąc, a miał je duże i silne, jak u najdoroślejszego chłopca, żyłaste i namulone.

— Cóżście to mówili! — zwrócił się do Zbyszka. — Czechy tu was nawiedzili, szukając mnie i tropiąc? Jużci to wiedzą o mnie?

— Na biedę — rzekł Suła, który z radością niezmierną usługiwał staremu panu, prawie oszalały szczęściem, że go oglądał. — Opowiadali, że Poręba stary, co miłość waszą przyjmował u siebie onegdaj, wczoraj do Ulrycha przybył i dał mu znać o tem.

— Poręba! — powtórzył Łoktek, smutnie podnosząc głowę. — Któżby się po nim spodziewał? Kłaniał mi się do stóp, płakał wrzekomo z radości. Tacy oni dziś prawie że nie wszyscy. W oczy mi nic rzec nie śmieją, a boją się i radziłyby siedzieć w spokoju choć pod obcym i...

Nie dokończył. Potem napół głośno, jakby do siebie, mówił: —

— Nie na tym jednym dworze drząc mnie uga-  
szczali, oglądając się, niby ciesząc, a w rzeczy samej  
trwożąc i przeklinając, żem się żyw ostał. Na nikogo  
tu nie liczyć pono, aż się siła zbierze.

Wtem Zbyszek przyszedł z pokłonem.

— Liczcie na starych, co wam służyli — zawołał  
ze łzami, — rachujcie na pewno! Mybyśmy się za was  
ubić dali.

Klepiąc go po ramieniu, smutnie rozśmiał się Łok-  
tek.

Milczenie jego jakby mówiło:

— A co mi z was, biedacy?

W tejże chwili posępna twarz jego się rozjaśniła.  
Nie był to człowiek, coby smutkom a trosce dał się  
gryźć, jak rdzy, i zjadać. Rozpatrzył się po izbie ubo-  
giej, po ludziach biednych. Towarzysze jego właśnie  
wracali do chaty. Na stole woniała misa z kaszą.

Zbyszek kłopotał się, skrobiąc w głowę.

— Czem my tu waszą miłość w tej nędzy przy-  
miemy, czem ugościmy — mruczał. — U nas strawa  
licha!

— Jakbyś zgadł, żeśmy głodni — odpowiedział  
Łoktek, — a kto głodny, nie przebiera... Pamiętasz  
stary, żeśmy nieraz o suchym chlebie, o wodzie z ka-  
łuży nie jeden dzień trwać musieli? Ja też z wami!

Mówił to wesoło, poglądając ku swoim, których  
twarze blade wydawały głód i znużenie.

— Jak dziki zwierz jużem się po pieczarach i jaski-  
niach chronić musiał — mówił dalej, — i pod drzewy  
w błocie legiwać. Żołnierska rzecz żyć, jak się zdarzy.

I zwolna zaczął się zbliżać ku misie.

— Słuchaj Zbyszek — rzekł. — Nie objemy my  
was? Macie więcej tej kaszy, byście przez nas nie byli  
głodni?

Zbita żywo porwała się z kąta.

— Jedzcie zdrowi! — zawołała. — Choćby na pół  
kopy kaszy i słoniny wystarczy, a i wędliny kawał się  
znajdzie.

— I piwo świdnickie, tylko go już niedużo — rzekł Zbyszek. — Aby tylko nie z drożdżami, bo już u spodu.

Książe śmiał się i już na ławie siadał do stołu, drewnianej lipowej łyżki szukając. Ci, co z nim byli, siadać się nie wazyli razem — czekali zdala. Nie patrząc na nich, książę się wziął do misy. Jadł, ale widać było, że o jadle nie myślał.

Marcikowi przypatrywał się z uwagą. Chłop miał w oczach bystrość wielką; dał mu znak, aby bliżej przystąpił.

— Poczciwy być musisz, jak twój ojciec — odezwał się. — Nie zdradzisz?

Marcik rękę na piersiach położył. Mały ten pan już i jego rozgrzewał, już rad był mu się przysłużyć.

— Pół mili stąd do Balic — zapytał Łoktek, — już ci nie więcej?

— Prawie i tyle nawprost niema — ozwał się Zbyszek.

— Tem lepiej — dodał książę. — Nie ulękniecie się dojechać tam po nocy?

Marcik się rozśmiał, białe zęby pokazując. Nie lękał się on niczego w świecie, nie było to ani w jego naturze, ani w obyczaju. W Krakowie najteższe zbóje się go obawiały. We trzech nań nieraźnie było.

— W Balicach — mówił pan, jedząc ciągle, — musi być pod ten czas Topór, co go to Mieczykiem zowią?

Toć od niego tę chatę trzymamy — dodał Zbyszek.

— Ten dawniej bywał ze mną — rzekł Łoktek.

— Prawda! — zamruczał Zbyszek, trąc głowę. — Ale postarzał się bardzo i zbabiał trochę, młodą żonę sobie wziąwszy.

— Ja tam do niego, do Balic, sam nie chcę — mówił książę, — abym, dobrego człowieka szukając, na złych nie trafił. Jedźże ty, na ucho jemu samemu szepnij, kto cię przysłał. Zechce-li do mnie, przyprowadź go, a zawaha się, to rzuć go, nie mówiąc, gdzie jestem. Rozumiesz?

Zbyszek głową potakiwał, ręką, że syn się sprawi

dobrze. Marcik też ochoczo, oponćzę z kołka zdjawszy, do szopy po konia skoczył.

Loktek tymczasem jadł, piwa postawionego napił się trochę, chleb czarny krajał nożem, u pasa na rzemyku zawieszonym, a potem wesoło towarzyszków wezwał do kaszy i wędliny, sam na drugą ustępując ławę.

— Zbyszek — zawołał po chwili, ziewnąwszy. — Jam to pono nocy dwie tak dobrze, jak nie spał, a trzeciej mało co i na chłódzie. Daj ty mi gdzie legnąć. Zbroi nie będę zdejmował, przywykłem do niej, nie zacieży mi — kto wie, co się przydarzyć może... A no legnę.

Nie mając nic lepszego nad własne posłanie, powiódł go ku niemu Zbyszek. Ledwie na nie spojrzawszy, mały pan zaraz legł, a płaszczem krzyne oczy sobie przysłoniwszy, wnet chrapać zaczął.

Towarzysze jego, szepcąc cicho, dali znać, aby i drudzy też to samo zrobili, a sami na ławach posiadali, raz jeszcze wyjrzawszy na strażę.

Na dworze cicho już było, księżyc świecił z chmur porozrywanych, które się po niebiosach tułały, to zasłaniając go, to odkrywając. Las spoczywał i ledwie słyhać było jego szum.

W chacie też stała się cisza; tylko mały ogieniek, który, na palcach chodząc, utrzymywano, potrzaskiwał niekiedy, miotając iskrami dokoła.

Noc tedy nastała, każdy, gdzie kto mógł, przyległ na ziemi. Pospali się wszyscy, ale gotowi się zbudzić za najmniejszym szelestem, coraz to głowy podnosząc i nasłuchując, a usypiając znowu.

Widać było niekiedy otwierające się niespokojnie oczy nawpół uśpionych i wysiłkiem znużonych, którzy od twardego snu bronili się jak mogli. Wstawał czasem który z towarzyszków księcia, na palcach do drzwi podchodził, wysuwał się do sieni, zaglądał na podwórze do straży i wracał nazad odpocząć na ławie.

Choć do Balic było tylko pół mili, ale nocą się do nich dostać, do śpiącego pana dostać, poselstwo takie



sprawić, ze dwora go wziąć, do Łowczej przywieźć — dużo czasu забраło.

Już prawie na dzień się miało, gdy posłyszano konie u drzwi, wszyscy pobudzili się i zerwali, krom Łoktka, który spał snem twardym, kamiennym człowieka spokojnego, niedbającego wcale, że za głowę jego nagrodę wyznaczono.

### III.

Z Marcikiem wchodził do izby mąż poważny w ry-sim kożuchu, w kołpaku z soboli, blady, twarzy pięknej, lecz jakby wylekłej, pańskiego oblicza i postawy.

Nieznający go nawet, pierwszy raz widząc — mógł się w nim domysleć jednego z tych, których ród zdawna nawykł był rej wieść, pierwszy głos zabierać, na przed-niem miejscu zasiadać.

Wchodząc, ciekawie się rozglądał po izbie, szuka-jąc oczyma tego, dla którego przybywał.

Ujrawszy go, jeden z towarzyszków Łoktka, z sukni do duchownego podobny, poszedł obudzić pana.

Choć księżę twardo spał, zaledwie go dotknął, ze-rwał się na nogi, tak przytomny i pamiętny, gdzie był, iż ani chwili nie potrzebował do opamiętania się po śnie głębokim.

Mieczyk nie wiedział jeszcze, co poczynąć, gdzie go szukać, gdy księżę wyszedł naprzeciw i pozdrowił go.

— Mieczyk! Bóg zapłać!

Dał mu rękę silną, którą ten pocałował, ale choć poszanowanie mu okazywał, więcej w nim widać było obawy, niż innego uczucia. Mały pan zdawał się to rozumieć. Ręką dał znak swoim, aby się oddalili. Mieczyka poprowadził ku ławie, na której usiadł.

— Spodziewaliście się wy ujrzeć mnie kiedy? — zapytał księżę zdumiałego i przypatrującego mu się Toporczyka.

— Pragnęliśmy was nieraz — odezwał się z powa-gą chłodną pan z Tęczyna, — ale jakbyśmy mogli spo-dziewać się, kiedy oto czwarty już rok słuchu o was nie

było, krom, żeście wasza miłość pono w Rzymie pobożni byli. Wszyscy ludzie mówili, że już was nie ujrzymy. Tymczasem u nas wiele rzeczy srodze się przemieniło.

— I gdyby Bogu się nie podobało uczynić cudu — począł Łoktek, — nie powstałbym już ja na tej ziemi, anibyśmy kiedy ujrzeli żonę, ni mógł pomyśleć o tem, co mi wydarto! Ale Bóg raczył sprawić cud, wierzę, iż go dokona. Tak, chodziłem do Rzymu pokutę sprawiać za grzechy i widziały tam oczy moje to, czego za żywota naszego nie ujrzy już nikt; troje drzwi Kościoła Bożego narozcież ludziom otwartych, wielką uroczystość przebaczenia i łaski, na którą krocie tysiące biednych codzień do grobu apostołów śpieszyło.

Tam padłem i ja na kolana przed Bonifacym papieżem, skarżąc mu się na Czecha najeźdźnika, co sobie mają przywłaszczył koronę. Biskup najwyższy rzymski wziął mnie w opiekę, a mocen jest ten, przed którym, jako przed cesarzem i papieżem, noszą podwójne znamię krzyża i miecza. Ufam, że potężną dłonią strąci z głowy Wacława przywłaszczoną koronę. Nie komu ona, tylko mnie należy, bom ja do niej był wybrany!

Gdy to mówił, patrzył na Toporczyka, który słuchał z poszanowaniem, ale małą wiarą. Nie zważając na ten chłód jego, Łoktek coraz goręcej ciągnął dalej.

— Tak! Mam za sobą i niosę potęgę Rzymu. Was wzywam, — pomóżcie mi! Niewoli sromotnej ludzi obcych pozbadźcie się, a kto mi teraz rękę poda, najwyżej go postawię, stokroć odpłacę! Dziś mi jeden droższy, niż bywało dziesięciu.

Topór milczał długo, nim się na odpowiedź zebrał.

— Pomóc waszej miłości — rzekł po namyśle, — któżby z duszy nierad był? Swojemu panu! A no — żelazną ręką trzymają nas Czechy z Brandenburgami. Na nich iść — potrzeba sił daleko większych, niż nasze. Mieli czas się usadowić, uszańcować, ludzi sobie jednać i nastraszyć.

Łoktek głową strząsnął.

— Gdy wszyscy tak mówić będziecie — rzekł, —

a ręce wam opadną, pewnie, że im nie podaliśmy. Małe siły gdy się skupią, wielkimi się staną — kraj to nasz, my w domu, a oni gospodą.

Wielkich sił nam nie trzeba. Czechów policzcie. Gdy się ziemianie wszyscy poruszają, zmożemy ich i przegnamy. Walnej bitwy dawać im nie będziemy, ja na jedną kość nie postawię wszystkiego. Rwać ich i kasać musimy to tam, to sam, aż im tu życie obrzydnie. Byłem jeden, drugi gródek zdobył — pójdą za nim inne.

Oczy mu się paliły; Topór słuchał.

— Miły panie — rzekł. — Chwila nie potemu: Czech nie sam, będzie miał z sobą Niemców zastępy. Brandenburczyk z nim jedna ręka. Siła ich straszna, cały kraj dzierżą od morza. Co tu począć? jak nam nawet pomyśleć o tem? czekać trzeba, znajdzie się, dali Bóg, sposobniejszy czas.

— Mnie każecie czekać? — oburzył się Łoktek. — Przecież wiecie, iż nigdy nie umiałem czekać, a i czasu na to nie mam. Czterdzieści kilka ciężkich lat mam już na głowie! Kto wie, ile mi ich zostaje? Dla mnie i doba droga. Najlepsza pora, gdy się nie spodziewają.

Wyciągnął rękę do Mieczyka.

— Chodźcie ze mną! Zbierzcie się potajemnie! Nie już to wam Waclaw tak zasmakował?

— Nie, miłościwy panie. Czech nam cięży strasznie — odparł Topór, — ale zębami kamienia nie ugryźć. Ślężacy pójdą z nim, Ottony Brandenburskie, król rzymski też pewnie. Kto wie, ile i jakich Niemców. A z nami kto? — żywej duszy! Kraj się zaburzy, krew się poleje, mścić się będą, plondrować — my jeszcześmy po Tatarach nie wytchnęli.

— Miły panie! posłuchajcie lepszej rady! Ponowiłoby z Waclawem układy, niech papież Ojciec święty, lub biskupi z ramienia jego pośredniczą. Oddadzą wam Kujawy i Sieradz, weźmiecie lennem od niego — spoczniecie po tylu utrapieniach.

Usłyszawszy to, Łoktek skoczył z ławy, cały rozogniony i gniewny.

— Wy mi to mówicie? wy? — zakrzyknął. — Ja z rozbójnikami się układać! Ja ich prosić, aby mi ochłap mój rzucili? Ja lennikiem tego, któremum równy, albo od niego lepszy? Raczej zginąć marnie w boju! Sromotybym tej nie przeniósł! Ja nie o pół, nie o ćwierć tej ziemi wojuję, ani o trzy ćwierci, ani o szmat jakiś, na którymbym jadł chleb polewany łzami; — ale o koronę moją, o jedność państwa tego, co Chrobrowe było!

Jabym miał rękę podać do ćwiartowania tego, co się ledwo zrastać zaczęło? Ja? Mieczyku mój! Zabyliście mnie, alboście nigdy nie znali. Wolę się tulać, jak wygnaniec, niż prosić łaski, gdy mam prawo! — wołał Łoktek namiętnie, z oburzeniem takim, że Topór spuścił głowę, zawstydził się, ale go ta gorącość nie objęła, nie przekonała. Schylił się, jakby do ręki księcia, który mu ją usunął.

— Wielką żalność waszą — rzekł powolnie — każde serce czuje. Swojego pana ze krwi własnej mieć każdyby rad, choćby zdrowiem przypłacić; ale tu i życie dać darmo nie pomoże! Spójrzycież na ziemie te — zajęli wszystko! Załogi ich siedzą wszędzie, wielkorządcy po wszech ziemiach. W Kamienicy, w biskupiej, nową twierdzę wznoszą, Kraków w ich rękach, Poznań, Sandomierz, Sieradz, Płock; rycerstwo mają doskonałe, zbroje dobre, ludu dosyć!

— A my serca mamy małe! — zawołał Łoktek gniewnie. — Cóż rzec? Omyliłem się na was, Mieczyku! Zestarzeliście się u ognia w domu, serce wam wyschło, strach z ciepłego kąta wyjść w pole. Darmo! Ufałem w was i zawołanie wasze. Starża niegdyś przy panach swych stała, a dziś?

Nie dokończył. Topór to rumienił się, to bladł.

— Panie miłościwy — odezwał się urażony. — Żądajcie od nas, czembyśmy wam miłości naszej dowiedli, damy wszystko, ale wojnę poczynąć bez nadziei, na ślepo...

— Ja mam i oczy, i nadzieję — przerwał mu Łoktek porywczo. — Nie chcecie wy? — pocznę ja sam

z garścią, z kupką najemnika. Od was zaś już nie żądam nic, bo albo do wszystkiego prawo mam, lub skoro królem uznajecie najeżdżcę tego, przywłaszczyiciela, świętokradcę, tom ja dla was niczem. Żebrakiem nie będę.

Topór stał z rękami zwieszonemi jak winowajca.

— Najeżdźca ten — ciągnął dalej Łoktek — ma tylko takie prawo, jakie mu wasza małoduszność daje. Powołuje się na dar Gryfiny, a stara, szalona baba nie mogła mu tego dać, czego nie miała — ani Leszek jej darować kraju, który nie był jego. Testament fałszywy jest i kłamany.

Papież Bonifacy pisał doń i w liście mu zarzucił zuchwałe przywłaszczenie — pozwał go przed sąd swój, nie uznaje królem. Korona to wydartą mnie, — i ją z pomocą Bożą odzyszczę!

Ostatnie słowo wyrzekłszy gwałtownie, uspokoił się i pohamował.

Topór stał, słuchał, lecz zimny był, jak skała.

— Zaprawdę — rzekł zmieszany, usiłując złagodzić Łoktka, — chybabyście u książąt jakich znaleźli poparcie, ale — gdzie?

— Wiecie polskie przysłowie, że książęta powinowatych nie mają, a tem mniej przyjaciół — odparł Mały. — Nie odezwę się nawet do żadnego. Na ziemian rachowałem; chybią mi oni, jak ty, Mieczyku, pójdę, na srom wam, szukać posiłków u obcych i znajdę je. Przyjdziecie mi się dopiero kłaniać, gdy siłę poczujecie, ale naówczas ja was znać nie będę, jakieście wy mnie teraz znać nie chcieli.

Topór poruszony krok się cofnął.

— U jakich obcych chcecie szukać posiłków? — zawołał. — Miłościwy książę, nie uwodźcie się. Pomocy wam nie da nikt, a łącno traficie na zgubę. Czekaćcie lepiej, może przyjsć chwila, do której na Kujawach spokojnie dosiedzieć możecie.

Łoktek odwrócił się od niego i nic mu już nie odpowiedział.

— Żal mi — rzekł spokojniej, pomilczawszy, — żal



mi, żem was nadaremnie z ciepłego małżeńskiego łóża wyrwał. Niewiasta się za wami niepokoić będzie; wracajcież rychło, aby nie połajała. Mnie też dłuższy się spoczynek należy, bo długo jeszcze przyjdzie mi się tułać od bramy do bramy, nim znajdę ludzi męznego serca. Na teraz choćby garść, bym z nią na jakie gniazdo mógł uderzyć!

To mówiąc, nie patrząc już na Toporczyka, poszedł ku ognisku i znowu ręce zagrzewał.

Mieczyk postępował za nim zwolna, rozmyślając nachmurzony. Wstyd mu było, ale i strach także.

— Miłościwy ksiązę — odezwał się, — nie odprawiajcie mnie z gniewem. Omyliłem się może. Żal mi was. Wieleż ludzi masz ksiązę?

Łoktek odwrócił się, śmiejąc, ku niemu.

— Dotąd — rzekł, — nie mam ani pół setki, ale więcej, niż ludzi — bo wolę mam ogromną i ufność w Bogu niezachwianą. Ksiądz Stach, kapelan mój, powiedział niegdyś, że wiara góry dźwiga i przenosi, a moja taka jest, że grody wywracać będzie!

— Tak — dodał. — Powiem wam więcej. Dziesięciu grzywien przy nas wszystkich, gdybyś strząśł cały orszak mój, pewnie nie znajdziesz. Ubogi jestem, sam jak palec, żonę moją z miłosierdzia karmi mieszczanin ubogi, a wy, których ojcowie chodzili razem z moimi, wy, stary ród rycerski, wy — opuszczacie mnie! Wiecie co? Nie znajdę u ziemian posłuchu... do chłopów pójdę, do chat. Ci się ruszą i skoczą do mnie<sup>1)</sup>. Ci wam srom uczynią.

Namarszczył się Topór, gorzko mu się stało, zaciął usta; miał jednak tak mocne przekonanie, iż nic nie można było dokazać przeciwko czeskiej potędze, że i to go nie nawróciło.

— Daj Boże, miłościwy panie, abyście okazali cudu — rzekł zimno. — Nam się widzi, że z ziemiany.

---

<sup>1)</sup> Długosz pisze, że później Łoktek więcej z chłopami, niż z ziemiany Sandomierskie zawojował. Fakt to wielkiego znaczenia. P. A.

czy z chłopami porwiecie się na dziesięćkroć liczniejszego wroga... krew tylko przelejecie na próżno.

Książę stał, w ogień patrząc.

— Michał — odezwał się do jednego ze swoich, — niech szkapy będą gotowe. Na dzień tu czekać niebezpieczno; ten dla nas zdrajcą, jak i ludzie. Musimy dalej w las, aby nas Boskowicze nie pochwycili.

To rzekłszy, zwrócił się do Topora z szyderskim uśmiechem.

— Do smaku więc wam pan Ulrych? — zapytał. — Słyszę, że człek gładki i powolny? Ziemian przyjmuje poufale na pościeli leżąc, a innych bez sądu zamyka do izbic na wałach? No i grosz z was ssie lepiej, niż ja, choć na mnie też krzyczeliście, żem go dużo brał; alem ja żądał na to, bym państwa przysporzył, bo dla siebie nie potrzebowałem nic i rzadko lepszą miewałem opończę, niż dziś.

Potrząsnął, uśmiechając się, szarą swoją sukmaną. Topór słuchał, serce mu się krajało.

— Dokąd myślicie stąd? — zapytał pocichu.

— Trudno mi na to odpowiedzieć, Mieczyku — rzekł Łoktek smutno. — Gdzie oczy poniosą. Prosiłem Szreniawów, kłaniałem się Jaksom, stukałem do Toporów, zajeżdżałem do Róźyców, wszędzie mnie zbyt to, co wy. Miłujem, żałujem, — nie możemy! Słowami nikt nie tyje. Muszę innego szczęścia próbować.

— Byle nie wpaść w nieszczęście inne... Boże ucho-  
waj! — przerwał Topór. — Około Krakowa Czechy się nieustannie włóczą.

— Wiem o tem — odparł Łoktek; — ale gromadki ich niewielkie; gdybyśmy się z którą spotkali, zniesiemy ich.

Spojrzał butno na swoich, a ci mu rażno głowami znak dali, że się nie lękają.

Poczekawszy nieco, Topór jeszcze spróbował.

— Miłościwy książę — rzekł, zniżając głos tak, aby inni go nie słyszeli. — Od lat tylu wojujecie, nie mogliście zwyciężyć, nic uczynić — widoczna rzecz, iż to, czego pragniecie — niemożliwe... Poco się kusić?

— Mylisz się, Mieczyku — zawołał Łoktek. — Gdy się co dziesięć razy nie uda, właśnie spodziewać się trzeba, że na przyszły raz lepiej się powiedzie. Co myślisz? Ja wojować będę do śmierci! Bóg nade mną. Prawowity król wasz musi do praw swych powrócić. Ten niewieściuch Waclaw, co się czasu burzy do kaplicy pod relikwie chowa, a od kota ucieka — miałby mi być straszny?

— Nie on, ale lud jego i sprzymierzeńcy! — westchnął Topór.

Tego ksiązę już nawet zdawał się nie słuchać. Postrzegł stojącego opodał Zbyszka i skinął nań poufale.

— Stary — rzekł doń, — zagrzejcie mi co ciepłego, bo w pole potrzeba. Gdy Bóg da, siadę w Krakowie, na zamku, zapłacę ci za gościnę. Kury pieją, nie wiem drugie czy trzecie, jechać czas, ranek chłodny — co ciepłego — żywo! Dobrze, że wichur przycichł. Z gorącą strawą nierychło się spotkamy.

— Panie miłościwy — zamruczał Topór, — dopóki mrok jeszcze, do Balic bezpiecznie dostać się możecie. Sam poprowadzę was. Spoczniecie u mnie. Nikt was tam szukać nie będzie i nie zdradzi.

— Bóg zapłać — odparł Łoktek zimno. — Spocząłem już, to dosyć; na dłuższe odpoczywanie czasu nie mam. Jechać trzeba.

Spojrzał na swoich.

— Konie nie głodne?

Jeden z ludzi skinął głową. U ognia grzało się w garnuszku. Zbita i Zbyszek pośpieszali. Mały pan opończę potrzasał, poprawiał ją, ociągał, na Topora zasmuconego ani już patrząc.

Ten stał upokorzony odprawą, ale mówić już nie miał co, wyczerpał wszystko.

Ksiązę, jakby na przekorę, jeszcze mu rzucił:

— Przy zdarzonej zręczności, Mieczyku, dajcie Boskowiczowi dobrą radę, powiedzcie mu, by darmo ludzi nie męczył, posyłając w pogoń za mną — żyw się schwycić nie dam! Raz mnie zdradziecko niepoczciwe Czechy porwały i do sromotnego odprzysiężenia się

i podpisania zmusiły, drugi raz niedoczekanie. Jeszcze dotąd tego kawałka skóry, przy którym pieczęć moja zawisła, strawić nie mogę. Krwiąbym moją zmazał to kanclerskie pisanie, w którym się im do Pragi stawić obiecałem!

— Al! szedłbym ja, szedł do tej Pragi — westchnął, — ale inaczej!

W kubku przyniesiono mu napój ciepły, a tuż przystąpił dworzanin z hełmem i rękawicami, przypominając podróż pilną.

Łoktek pił, wdziawał zbroję, a oczyma Zbyszka szukał.

— Stary, — odezwał się, — chciałeś mi syna dać? Niech na koń siada ze mną, — nie zatracę ci go!

— On i koń gotowy — odparł, do kolan się chyląc, Zbyszek, — bierzcie go, miłościwy panie, bierzcie. W rękę siłę ma, ale i język w gębie niedarmo.

Usłyszawszy to, książę zukosa spojrzał na Topora.

— No, mam już choć jednego wojaka! — zaśmiał się, — dobre i to na dzisiejsze czasy... Bóg łaskaw.

Starego uderzył po głowie.

— Jakem żyw, syn twój nie zmarnieje — dodał.

Ruszył się i szedł ku drzwiom; tymczasem Marcik pośpiesznie się żegnał z matką, ojcu błogosławiącemu do kolan się kłaniał, rad bardzo, że sobie znalazł służbę tak niebezpieczną a szaloną, która mu najlepiej do serca przypadała.

Szeptał mu coś na ucho ojciec, wszyscy odprowadzali do progu. Topór szedł za nimi, do księcia się zbliżyć nie śmiejąc.

Na dworze ledwie szarzyć zaczynało i maleńki wiaterek się zrywał, jak to bywa nad rankiem, poruszając górne drzew gałęzie.

Maleńka kupka ludzi, otaczających Łoktka, razem z nim pod przewodnictwem Marcika, najlepiej znającego okolice, puściła się ścieżyną w lasy i wprędce znikła z oczów patrzącym od proga dworu.

Przez drzwi otwarte, które Zbyszek zamknąć zapomniał, wiało chłodem w izbę pustą i ogniem miotano.

Topór, zawróciwszy od proga, padł na ławę zadumany.

Zbyszek, który tu na łasce jego siedział, teraz dopiero ochłonawszy i rozmyśliwszy się, pomyślał, że należało go przyjąć i ugościć, aby z gniewem nie odjechał. Miarkował, że i wyprawę Marcika za złe wziąć może, jakby daną sobie naukę. Zachodził doń z boku ostrożnie, czekając, aby nań spojrzeć, lub sam przemówił; lecz Mieczyk długo siedział, jak wryty, na ogień tylko patrząc. Z twarzy namarszczonej widać było gorycz, co serce zalała.

Dopiero dzień jaśniejszy, który przez błony rybie w oknie przeglądać zaczął, zbudził starego pana z tej zadumy głębokiej. Popatrzał na Zbyszka i wskazał na drzwi.

— Pilno ci było — rzekł — syna dać na stracenie! Ciężył ci w domu? Coś uczynił?

Zbyszek ręce rozpostarł, spojrział ku niebu — węs-  
tchnął.

— Panie mój! — zamruczał — trudno! za serce nas wziął! Chodziłem z nim dawniej! Syn i tak tu próżnował. Gorzej mu nie będzie z nim, jak bywało w Krakowie, skąd często pokrwawiony przez Czechów powracał.

— Niepoprawny, uparty, nieszczęśliwy człowiek! — dodał Topór gniewnie. — Nie dosyć mu było lat kilkadziesiąt męczyć się, wojować darmo, nas targać, kraj niszczyć, jeszcze na zgubę leci! Hej! hej! nie ze Ślązakami to pod Wrocławiem się parać, ani z drugimi małemi książętami!

Zbyszek milczał.

— Pożegnaj się z Marcikiem — dorzucił Topór. — Oczy go twe nie zobaczą. On ani siebie, ani ludzi swych nie pożałuje... Poprowadzi kędyś, wpadną w paszczę...

Słowa te trafiły do przekonania matki, która zaczęła płakać po synu.

— Prawdę mówicie, miłościwy panie — odezwała się z kąta. — Stary mój zawsze za tym panem szalał.



Gdyby zdłużał, poszedłby sam — nie mógł, to choć syna oddał. I posłał go, ot tak, na stracone imię!

Obwiniony Zbyszek cofnął się do kąta, nie śmiejąc odpowiadać żonie, którą Topór popierał.

Siedział jeszcze Mieczyk na ławie. Dzień się robił coraz jaśniejszy, Marucha w milczeniu garnki do ognia przystawiała, gdy znowu zawieruszyło się przed chatą. Z krzykiem i wołaniem wpadli na podwórko Czechy, w znaczniejszej liczbie, niż pierwsi, pomęczeni, zziabajni. Topór podniósł się z ławy.

U drzwi stawiono straż, obiegali dokoła budynki. Ogromny drab wpadł z mieczem do izby, za nim tuż dwu zbrojnych, dalej kupa ich cała.

Spodziewali się tu pochwycić kogoś na pewno; ten, co prowadził, przyskoczył zuchwale do Topora, choć z ubioru widział, iż ze znacznym człkiem miał do czynienia.

Mieczyk do korda się miał, oczyma ich mierząc.

Drudzy, obalając wszystko i wywracając, do komory pędzili, drzwi wywaliwszy, beczki i nasypki tłukli.

Mieczyka otoczyła starszyczna.

— Jest ptak w gnieździe! — krzyknął dowódca. — Nie kłamali ci, co donieśli. Wyście tu z Balic na zmowę do małego księcia zjechali! On tu był! Wiemy wszystko. Gdzie on?

Topór namyślał się z odpowiedzią. Zbyszek, strwożony, oczy sobie przysłaniał.

— Ja się przed tobą, żołdaku jakiś — zawołał Mieczyk, — tłumaczyć nie będę. Wiedź mnie do Krakowa, do Boskowicza, rozmówię się z nim, pocom tu przybył. Tobie wara ode mnie!

Śmiałe to odparcie niewiele pomogło... żołdactwo zuchwale niewiele na ziemianina godność zważało.

Dowódca krzyknął już był, rozkazując wiązać staro, gdy ten, miecza dobywszy, zagroził, że pierwszemu, co doń przystąpi, łeb utnie.

Czesi, klnąc, trochę się wstrzymali, popatrzywszy na siebie.

— Pojadę z wami do Krakowa dobrowolnie — dodał Topór, — ale niech się mnie nikt tykać nie waży.

Napastnicy rozmyślali, nienawykli pobłażać nikomu.

Nastała chwila ciężkiego jakiegoś milczenia. Topór, który nie chciał być zmuszony mierzyć się z lada-jakimi ciurami, dobył z pod kożucha kaletkę i rzucił im ją na ziemię.

Sam dowódca, opasły, czerwony drab, szybko się po nią pochylił i pod oponczę schował.

— Do Krakowa musicie wszyscy z nami, buntownicy! — zawołał.

Odwrócił się do bezbronnego Zbyszka i skinął na ludzi.

— Wiązać go!

Zbita przyskoczyła, jakby go bronić chciała, lecz stary dał jej znak, a stara, zawodząc z płaczu, odeszła do kąta. Sułę tymczasem postronkami, zdjętymi z kołka, skrepowano. Nie mówił nic, ani się opierał.

— Syn twój gdzie? — zapytał Czech.

— Nie wiem — rzekł Zbyszek. — Toć nie dzieciak, ja go na pasku nie wodzę.

Topór spokojnie usiadł na ławie, otoczony strzegącym go żołnierstwem. Drudzy, pod pozorem szukania Łoktka, trzęśli cały dworek, zabierając, co pod rękę wpadło.

Widząc to, Zbita łamała ręce, mąż jej stał z rezygnacją starego żołnierza, dla którego to nie było nowiną. Wiedział, iż w podobnych razach opierać się, żołnierza jątrzyć niebezpiecznie. Jak w pożarze, musiano ogniewi temu poświęcić, czego uratować nie było można.

Padli zgłodniali na chleb, na wędlinę, na reszty piwa, cokolwiek gdzie do zjedzenia było, resztę polcia słoniny tnąc w kawały i rozdzielając między siebie.

Marucha i Chaber, wyrostek, tulili się do kątów wylekli, aby razów uniknąć.

Gdy wreszcie przebrało się jadła i napoju, dowodzący krzyknął na Topora, aby na koń siadał. Musiał

on, wielki pan, ziemianin stary a poważny, słuchać ciurów i iść rad, że się od wiązania wykupił.

Gdy konia swego dosiadł, otoczyli go ciasnem kołem, aby się im wymknąć nie mógł. Zbyszka na sznurze popędzili pieszo i klnąc a wykrzykując, zwrócili się z Łowczej wprost na Kraków.

Dworek stał ze drzwiami narozcież otwartemi, pusty, jakby go zbójcy nawiedzili, a czeladź nierychło ważyła się z kątów wydobyć, aby ze Zbitą razem rozpatrzyć się w stratach, jakie ponieśli.

Gdy gospodyni z ławy się ruszyła, aby do komory zajrzeć, nim do niej doszła, kilkakroć ją siły opuściły. Wlokła się biedaczka i cofała, tak ją serce bolało; wiedziała, że z tego, co nagromadziła z taką troskliwością, mało co, albo nic, nie pozostało.

Z progu dostrzegła całe spustoszenie: rozerwano jej płótna, pochwyciono przedzę, siatki stały opróżnione.

Ciury obładowały się, ile podźwignąć mogły, aby mieć co na targu sprzedać w Krakowie. Czego nie dopili, nie dojedli, a pochwycić z sobą nie mogli, to stratowali, powylewali i zniszczyli. Zbita i Marucha jęczały, coraz na nowo wykrzykując boleśnie, zbierając okruchy garnków, łamiąc ręce nad kałużami porozlewanego piwa i miodu.

Gospodyni kłać zaczęła dzień i godzinę, które tu tego nieszczęsnego księcia przyniosły, bo on był przyczyną wszystkiego.

Wkrótce potem Chaber z Maruchą poczęli zwolna ład w chacie przywracać, umiatać i zbierać, co gdzie pozostało.

Zbita gorzko płakała — jeść co nie było! Szcęściem odrobina groszy gdzieś się uchowała, z tą więc musiała dla dowiedzenia się o losie męża i kupienia choćby chleba na ławkach, iść pieszo do Krakowa.

W tydzień dopiero zbiedzony i chory Zbyszek wyprosił się z zamkowego więzienia i przywłókł do dworku. Zamiast mu się uradować, Zbita wpadła nań z wymówkami za syna, za to, co ucierpiała, co stracili — przeklinała księcia.

Siebie dawał jej bezcześcić Zbyszek, lecz gdy Łoktka dotknęła, nasrożył się i najeżył.

— Słuchaj, babo długojęzyczna — zawołał. — Na mnie sobie psy wieszaj, jako chcesz... ale na mojego pana... wara! Jeszcze ty mnie będziesz w ręce całować i błogosławić tę godzinę, co go tu do nas przyniosła!

Taką w niego wiarę miał stary żołnierz naówczas, gdy inni mu się urągali!

Znalazł się w szopce stary garnuszek zakopany, z którego Zbyszek groszy dobył i milcząc, znowu małe swe gospodarstwo i zapasy na zimę opatrywać zaczął.

O Marciku, gdy raz stąd wyszedł, słuchu wcale nie było. Po okolicach napróżno szukano i uganiano się za Łoktkiem, który miał się w różnych miejscach ukrywać, ale go nigdzie nie znaleziono.

#### IV.

Dwa lata spokojnie upłynęły w Łowczej. Zbyszek stary, zeschły człek, nie zmienił się nic, ani w lata posunął. Owszem, od wyprawienia syna, na co matka tak narzekała, bolejąc nad straconym, życia Zbyszkowi, ochoty do niego i sił przybyło. Weselszy się stał, rozmowniejszy, a że do Łowczej mało kto zawitał, ledwie mógł stary wytrzymać dzień jaki, żeby się do Krakowa nie puścić na słuchy i zwiady.

Rad się był coś o synu dowiedzieć, lecz nikt się o niego nie troszczył — wpadł, jak w wodę.

Zato o Łoktku, którego za zgubionego miano, urągano się z niego i szydzono, coraz dziwniejsze dochodziły słuchy.

W rok jakoś opowiadano, że się na Węgry udał i tam z pomocą jakiegoś Amadaja, przyjaciela swego, u którego był gościem, ściągnawszy ludzi, garść najemnika, z nią do Polski powrócił.

Ziemianie ramionami ruszali, gdy w Krakowie rozpowiadać zaczęto, że księżę opanował Pełczyska nad Wiślicą, a wkrótce potem Czechów i z samej Wiślicy

precz wygnał. Ludzie temu wierzyć nie chcieli, a w Krakowie nowy wielkorządca, Frycek Szachowic, wściekał się i odgrażał, wołając o posiłki do Pragi. Król Wacław stał podówczas na Węgrzech i o ludzi trudno mu było.

Potem jakoś gruchnęło, że Łoktek po Wiślicy Lełów opanował. Ci, co biednemu dziedzicowi korony smutną przyszłość wróżyli, poczęli kręcić głowami. Ten i ów się odzywał:

— Kto go wie? Uparty i mężny pan — gotów i Czechów poprzeganiać!

Ziemianie, którzy chronili się od niego i chowali, zwolna co śmielsi pocichu przystawać zaczęli, ale tak ostrożnie, aby, broń Boże, gdy mu się noga powinie, mogli nie przyznać się do niczego.

Siły Łoktka rosły, z secin poczęły się robić tysiące. I rzecz niesłychana! gdy mu rycerstwa prawego i ziemian brakło, prostych ludzi po chatach brał; lud silny odziewał się we zbroje i uczył się bić.

Niewolników brać się nie wzdragał, włosy u niego zapuszczali, siadali na cudze konie, bo nie zważano, czyj się pod ręką znalazł, i w pole szli.

Ziemiom kwaśno było. Myśleli, — a nuż z nich porobi takich, jak my? A to czern!

Słyszając o tem wszystkim w Krakowie, w szynku u Szeluty, Zbyszek, który, nie zdradzając się najmniejszym słowem, w kacie siadywał i z głową spuszczoną drzemać się zdawał, gdy do dworku powrócił, opowiadał Zbicie to wszystko z taką gorącością, że się zawsze pokłócili.

Ona niecierpiała tego pana, który jej zabrał dziecko jedyne, on w niego wierzył i pewien był, że Marcik na wielkiego człowieka przy nim urośnie. Czasem się tak daleko posunął Zbyszek, że babie milczeć nakazywał.

\* \* \*

\*

Drugiego roku przyleciał raz Zbyszek z wiadomością do żony, że król Wacław zmarł i że Łoktek teraz



na pewno zawojuje kraj cały i że nie żartem ziemianie się doń garną.

Jedyny syn Wacława chłopaczek był niedorosły, swawolny bardzo, hulaka, pieszczoszek, więc z nim łatwiej poczynać było.

Raz opóźniwszy się do dworku, Zbyszek zbudził babę swą triumfujący, wołając, że Marcika tylko co nie widać było, bo już w samym Krakowie mówiono, iż wojewoda, kasztelan i dużo innych znacznych ludzi do Łoktka się mieli.

Czechy, coraz groźniejsi, swarliwsi, ledwie się już na zamku trzymać mieli, a w mieście Niemcy głowy tracili, nie wiedząc, komu się oddać i z kim trzymać.

Zbita, nawpół już pokonana, milczała, odpowiadając tylko mężowi, gdy chciał nad nią przewodzić.

— A Marcika przecież niema?

Był znowu prawie taki sam wieczór jesienny, jak owego pamiętnego dnia, którego wspomnienie jeszcze Zbicie łyzy wyciskało. Wiatr tylko jesienny, szumiący po lasach daleko, tak silnym nie był i nie tak dzikiemi odzywał się głosami. Na ognisku płonęły drewna suche i garnki stały dokoła. Marucha siedziała z kądzielą, Zbita z założonemi rękami, Chaber strugał coś roz-targniony, Kruczek, zwinięty w kłębek, przy ognisku spoczywał po trudach dnia, przez sen wzdychając.

Zbyszek, który się teraz niedorzecznym oddawał marzeniom i często siadywał całemi dniami, snując z nich jakieś pasma złote, patrzył w ogień, dumał, uśmiechał się sam do siebie.

Patrząc nań, Zbita ramionami poruszała, litując się temu, co za nierozum brała.

Nadchodził już czas wieczery, gdy Kruczek, który przez cały wieczór nie drgnął, zerwał się nagle i uszy do góry postawiwszy — nie czekając i nie burcząc, podbiegł do drzwi samych. Oczy wszystkich ścigały go, bo psisko było zmyślne bardzo i nigdy nadaremnie się nie poruszało.

Wtem i koń zarżał w podwórku, a po głosie tym Zbyszek, Zbita, Chaber, wszyscy w piekleby poznali

byli konia, na którym przed dwoma laty wyjechał Marcik.

Zerwali się z krzykiem, jakgdyby głos młodego chłopca posłyszeli. Zbyszek o mało nie upadł na drodze, tak prędko do drzwi się chciał dostać. Chaber i Zbita cisnęli się za nim.

Pod progiem ozwała się półgłosem nucona piosenka, którą tysiąc razy z ust Marcika słyszeli, gdy podchmielony wracał z Krakowa:

Borem, lasem, goło, bosu  
Idę, gdzie mnie oczy niosą.

Zbyszkowi, który sam porwał się drag od sieni odwalać, ręce się tak trzęsły, iż ciężką tę kłodę na nogi sobie puścił i ledwie mógł wczas uskoczyć, aby mu ich nie przygniotła.

W progu stał, konia za uzdę trzymając — on, on sam — Marcik!

Nie widać było twarzy po nocy, ale ojciec poczuł go i ręce rozpostarł.

Zbita stała tuż, nie mówiąc nic, bo słowo z ust jej wyjść nie zdołało, tylko jakieś łkanie radosne.

Wiedli go do izby, chwytając za suknie, do ognia, żeby zobaczyć.

Zbyszek, spojrzawszy, o mało nie krzyknął. On ci to był, ale co się z niego przez te dwa lata w dobrej szkole zrobiło!

To już nie ten człek ocieężały, obojętny, co z Krakowa bywało po piwsku powracał, aby się na ławie wyciągnąć, ale rycerz prawy, — jakby urosły jeszcze, wyprostowany, słuszny, silny; na twarzy ogorzeliźna zdrowa, w oku żar i wesele. Na nim zbroja, choć się w niej przeglądać, świecąca — i opończa bramowana, pas mosiądzem nabijany, jak złoty, miecz takiż, nóż jeszcze piękniejszy u paśa, hełm, koszula siatkowa na szyi, na rękach — wszystko nowe, piękne, jak ulał na nim leżące. Piękny był, a stał sobą się pyszniąc, jakby mówić chciał:

— A co? widzicie? Czasu nie zmarnowałem!

Śmiał się, otworzywszy usta, z których białe zęby wyglądały.

— Marcik! Marcik! — powtarzano dokoła.

Zbyszek się do żony odwracał zwycięski. Spełniło się jego marzenie. Takim się go widzieć spodziewał.

Kruczek, do nóg mu przypadłszy, skomlił radośnie, wachał, a cieszyło się biedne psisko, jakby ludzką duszę miało.

Dopieroż ścisnąć go, a sadowić, a pytać poczęto. Zbyszek napierał gorąco, ale przybyły Marcik, jakby mu czem usta zamalował — nie prawie z niego dobyć nie było można. Minę miał figlarną, trochę szyderską, coś w sobie chował. Mało co przez zęby cedził.

Najpilniej było ojcu dowiedzieć się o to, skąd się tu wziął i poco, a na to właśnie on jasno odpowiadać czy nie chciał, czy nie umiał.

— Wojowało się, wojowało z naszym panem — rzekł, — biedy i głodu długo zaznało. Musieliśmy uciekać, kryć się, ba i z kraju iść do Amadaja, któremu niech Bóg płaci. Ten nas dopiero na nogi postawił.

Wprzód nim swoich, dostaliśmy najemnych Węgrów. Gdy nas już była kupka, poczęli się i ziemianie niektórzy rozmyślać. Ten i ów się przybłakał, zwłaszcza tacy, co o łeb swój nie stali wiele. No — i poszło. Wzięliśmy naprzód Pełczyska, poddała się wprędce Wiślica, Czechy z niej uciekły. Zabraliśmy Lelów.

Rozśmiał się ochoczo.

— Ho! ho! teraz już my druhów mamy i żołnierzy wojewodów i kasztelanów, gdy starego Wacława nie stało. No — dodał, schylając się do ojca pocichu — mało co tylko nie widać, jak i Kraków będzie nasz.

Zbyszek złożone ręce podniósł do góry, a potem jął ścisnąć syna.

— Toś się ty pewnie wyrwał, aby nas starych pocieszyć, ale długo tu popasać nie będziesz?

Spojrzeli sobie w oczy.

— Hm! — rzekł zagadkowo Marcik. — Kto to tam wie? Mnie pan odpuścił, abym sobie trochę odpoczął.

Zbyszek odął usta, — nie podobało mu się to.

— Kłamiesz — odrzekł rzeško — alboś ty mi wstyd zrobił! Gdybyś ty dobrym był, książęby się ciebie nie pozbył tak łatwo, bo mu teraz właśnie najlepszych ludzi potrzeba! Chybaś co zbroił?

Marcik się roześmiał głośno i raźnie.

— Ojczulku! niechta Bóg broni! Pan ze mnie taki rad, że mi złote góry obiecuje! Ja u niego pierwszy, najwierniejszy sługa... a no...

Nagle urwał, jakby nożem ciął i na ławę padł.

— No... bo widzicie — dodał zmienionym głosem — mnie się po dwóch leciech trochę wytechnienia należało.

Zbyszek, niedowierzając, głową kręcił.

— Jakiby z ciebie wojak był, — zawołał — żeby ci się wylegiwać chciało, kiedy drudzy się biją? Gdy kto w tem życiu zasmakuje, potem w chacie dusznej siedzieć — śmierci się równa.

Marcik, na wymówki ojca nie zważając, wesół był, jak na przekorę. Starego ścisnął, Kruczka głaskał, do matki się uśmiechał, z Maruchy drwił, że zamaż nie poszła, Chabra prześladował jakąś dziewczką z sąsiedztwa, ale o sobie mówić nie chciał, ani się myślał tłumaczyć.

— Jakiś czas muszę tu sobie posiedzieć — mówił do ojca. — Zateśniło mi się do Krakowa i do świdnickiego piwa u Szeluty, albo i w ratuszowej piwnicy. Rad bym sobie trochę dawny żywot przypomnieć.

Ojcu to widocznie markotnem było, — krzywił się; ale matka, ciesząc się z tego, zdala synowi głowę potakiwała, że dobrze czynił. Spodziewała się nim nacieszyć.

W smutny, cichy dworek nowe wstąpiło życie, przybyła z nim wesołość, — odżyli wszyscy, Kruczek nawet, opanowany radością jakąś, wiekowi jego nieprzyzwoitą, drzazki w zęby chwycił i bawił się niemi. Nie wiele brakło, żeby począł własny ogon, jak szczenię, zaczepiać.

Widząc, że z syna poniewoli nic nie dobędzie, Zbyszek dał pokój terażniejszości i począł rozpytywać o to, co było i o swego pana najmilszego.

Marcik teraz całem sercem dzielił ojcowskie dla niego bałwochwalstwo.

— To mi pan! — wołał. — Takiego drugiego na świecie niema! Z nim bodaj na kraj świata! Żeby do piekła szedł, człek z nim bezpieczny, że się i z niego wyrąbie. Żebyście go to widzieli, gdy w bitwie pot poczuje, kiedy wodze w zęby chwyciwszy, oburącz walić zacznie! Gdzie potknie, wszystko przed nim ustępować musi.

— Jam przecie z nim bywał, i dłużej niż ty — przerwał Zbyszek. — Znam ja go. Na starość mu sił nie przybyło!

— Chyba tak! — zawołał syn. — Straszny ten człek maleńki... Przez mury widzi... nieprzyjaciela tropi, jakby nań patrzył, wie, dokąd pójść musiał, skąd mu zachodzić, gdzie go złapać. A jak powie: tak ma być! — stanie się wedle słów jego. Prawda! z nim nie żartować! Zły u niego miru nie ma. Co rozkaże, sprawić musisz, albo łeb dać; nie pożałuje nikogo, — a jak dobry, choć do rany.

— A com ja ci o nim mawiał? — zawołał triumfująco Zbyszek. — Takim był i takim jest!

Oprócz tych pochwał i uniesień, starzy nic już nie mogli z niego dobyć tego wieczora. Powtórzył im tylko, że z nimi musi czas jakiś pozostać, a zaraz jutro do Krakowa jedzie na cały dzień.

Zbyszkowi i to nie w smak było.

— Poco do Krakowa? — zamruczał. — Biedy pytać? Czechy się teraz lada czego boją, ludzi wszystkich na oku mają. Nie bez tego, żeby nie wiedzieli, gdzie i z kim bywałeś? Zobaczą, zwąchają, gotowi pochwycić i uwięzić...

Marcik głową trząsł.

— Nie wezmą mnie — rzekł. — Jam też nie głupi w oczy im leżć. Kraków znam, jak własną kieszeń, ludzi tam przyjaznych znajdę, wiem, kędy chodzić, a pójść tam muszę. Gdyby mnie ujrzeli a spytali, powiem, że na Śląsku bywał i służył tam. Nic mi nie uczynią. Popoję ciurów i wyłgam się.



I powtórzył z naciskiem:

— Bo do Krakowa — muszę... muszę!

Wieczora tego i nocy późnej do snu się im ułożyć trudno było. Co się już zaczęli zbierać do spoczynku, rozpoczął jeden, zagadnął drugi, ozwała się matka i przerwane już gadanie na nowo się zawiązywało.

Nad rankiem dopiero, znużeni legli, piwa dużo grzane wypiwszy.

Dzień był około połowy, gdy ciężko śpiący Marcik się przebudził. Starzy obiad bez niego zjedli, bo znużonego i kamiennym snem odpoczywającego budzić nie śmieli.

Gdy oczy przetarłszy, Marcik wstał, a zobaczył, że tak późno było, markotno mu się stało; począł Chabra łąać, że go zawczasu nie zbudził, bo mu się dzień miał zmarnować.

Co było robić? Do misy usiadł i zanim się pożywił, konia osiodłał, sam się przyodział, był już wieczór prawie. Przecież do miasta nagwałt się wyrwał, choć ojciec odradzał, bo czas był nie po temu.

— Późno jest, — ale muszę — powtarzał Marcik uparty.

— Chyba dziś nie wrócisz? — pytał ojciec.

— Wrócę, albo nie, nie wiem, a zajrzeć mi tam potrzeba.

Matka dopiero, grożąc mu, bąknęła, że już chyba zobaczyć chciał tak pilno ową Gretę, Niemkinię, o której dawniej często prawił, że się w niej srodze miłował.

Rozśmiał się Marcik.

— Czemu nie? — zawołał. — Choć z nią przez dwa lata dużo się stać mogło; dziewczka była wesola, niecierpliwa, piękna, ojciec bogaty, dawali za nią pół domu i jatkę, poczekawszy i więcej! Swatali się do niej Czechy, Niemcy i gawiedź różna, a jam jej zawsze mówił, że ja bo ją muszę mieć. I tak się stanie! Jeśli ją zamaż wydali, męża gotowem ubić!

Mówił, śmiejąc się, ale widać było, że mu ta Greta na sercu leżała.

— Srodze mi się za nią tęskniło! Żeby choć w te ślepie jasne zajrzeć, co mi się czasem śmiały!

— A co ci po Niemce? — ofuknął ojciec. — Żeby najpiękniejsza była, tak samo, jak Żydówka — inne plemię, sprośna rzecz o tem myśleć.

Marcik śmiechem na dobre wybuchnął.

— Co zaś! — wykrzyknął. — Niewiasta, gdyby poganką była, chrzci się pocałunkiem, gdy hoża a miła; ja z niej zrobię, pokochawszy, co zechcę! A tę Gretę — muszę mieć.

Zbita przeżegnała się i poczęła syna strofować, ale to nie przystawało do niego. Marcik, żołnierz, który już nieraz miast dobywał, a w zdobytych grodach pochwycawszy dziewczynę, byle hożą, nie pytał, jakiej krwi była, lekce sobie ważył, co rodzice mówili. Znać w nim było jednego z tych zapamiętałców, za których niegdyś w Poznaniu pokutował Łoktek i potem chodzić musiał do Rzymu, tak srodze w klasztorach żeńskich dokazywali.

Z tej strony znał Zbyszek syna, ale miał też może co na sumieniu i na starość nie chwalił się z tem i pierwszy zamilczał.

Pomimo rady rodziców, Marcik pod wieczór wybrał się do miasta. Ci, dopiero go odzyskawszy, gdy im znikł z oczów, posmutnieli bardzo. Nie tał przed żoną Sułą, że się o syna obawiał. Czechy były złe, podejrzliwe, okrutne, Niemcom też nic wierzyć nie można było, a kto wie, czy i swoim, których się tam wielu i różnych znajdowało.

Rodzice długo na Marcika czekali; kury piałły jedne i drugie, — dopiero nade dniem powrócił. A choć w drodze piwo miał czas wydychać, jeszcze znać było, że u Szeluty gościł długo.

Dopiero, gdy zobaczyli, że z dobrą myślą powracał, śmiejący się, a podśpiewujący, odetchnęli starzy.

Marcik się zaraz obrócił do matki.

— Matusiu — rzekł — a tom ci moją Gretę widział, choć daleko pono do tego, aby moją była, ale musi być. Nic nie pomoże! Miała już pono męża, którego jej,

chwalić Boga, ubito na Okolu w browarze przy zwadzie. Ojciec jej zmarł, owdowiała, wypiekniała, pani sobie! Jeszcze śliczniejsza, niż była — ale bo też nie wiem, czy ma lat dwadzieścia!

— Co ci po niej — odparła matka. — Nie pójdzie za ciebie bogata mieszcza, ani ty się z jej ławką ożenisz!

— Eh! ożenię się, nie ożenię, tego ja nie wiem — rzekł rażno Marcik — przynajmniej z nią wczasu zażyję. Uśmieję się, żartować z sobą daje, a choćby człek i pozwolił sobie, nie pokąsa. Nic mi po niej, prawda, a przecież na upór ją miłuję, i musi być moja!

Ojcu się to płoche gadanie przykrzyło, zagadał, że dobrze, iż go tam Czechy nie pochwycili, na co Marcik ręką pogardliwie machnął.

— Czechy! — rzekł. — Niedługo oni patrzeć będą, aby się sami stąd cało dobyli. Zacznie im wprędce być ciasno!

Marcik, wygłodniawszy przez drogę, prosił, aby mu się pożywić dano, nimby się spać położył. Dopytywali go rodzice ostrożnie, co porabiał w Krakowie.

— Jeszczem nic nie poczyniał, bo się trzeba rozpatrzyć — rzekł przybyły. — Mało kogo widziałem, z niewieloma mówiłem, bom trochę u tej wdowy zagrzązł i zasiedział.

— A no, pokójbyś dał tej przeklętej Niemce — burknął Zbyszek. — Jakby mało innych było! Rozpusta to i nic więcej, a u niej Niemcy lub Czechy, przydybawszy cię, potłuką jeszcze.

Marcik lekce to sobie ważył.

— Nie mają zaco rwać się do mnie — rzekł. — Każdemu przecież z hożą niewiastą pocziwie się rozmówić wolno. Ta wdową jest, nikt do niej nie ma nic — pani sobie. Spotkałem u niej Niemców dosyć i różnych ludzi — radzi mi byli!

Rodzicom się to dziwnem wydawało, lecz Marcik teraz u nich coraz więcej na powadze zyskiwał; pomysłili więc, że wie on, co robi.

Nazajutrz, choć późno spać poszedł, Marcik wstał

dodnia, kazawszy się obudzić Chabrowi. Konia osiodłał i zaraz jakby mu pilno bardzo było, ledwie się posiliwszy, znowu ruszył do miasta.

Ojciec z tego pośpiechu i milczenia dorozumiewał się, że musiał mieć coś ważniejszego do czynienia, niżeli dawną znajomą, Grete, nawiedzać.

Pytać zaś go nie śmieli, gdy mówić nie chciał, zatem nie mógł. Znali go z tego, iż rad się wypaplał z tego, co miał w sobie, gdy mu było wolno, więc gdy usta miał zawarte uparcie, nie musiało to być bez przyczyny.

Zbyszek zmianę wielką upatrywał w synu po dwóch latach niewidzenia. Stateczniejszy był, bystrzejszy, doświadczenia nabrał, a nawet z powierzchowności już na jakiego ciurę nie wyglądał. Odzieży pięknej z sobą w sakwach przywiózł dosyć, choć nie wszystka była do jego miary, i na wojnie musiała być gdzieś poodzierana. Naówczas nikt tych zdobyczy za złe nie miał, bo żołnierz, zwłaszcza niepłatny, łupem żył, brał go, gdzie mógł i chlubił się tem, nie wstydził. Kaletę też miał Marcik nabitą dobrze, którą ojcu do schowania dał, szerokich groszów praskich z niej rodzicom coś zaofirowawszy. Matce dostał się też łańcuszek złocisty niczego i kolce, gdzieś na wojnie zdobyte. Rodzice dumni byli tym synem, który powiadał ciągle, jak wielkie miał łaski u księcia.

Zbyszek odgadywał, że może przez niego do Krakowa na zwiady był wysłany. Zdało się to i tem potwierdzać, że jakkolwiek chciałby był doma spocząć, powracał późno i nazajutrz rano nazad do Krakowa spieszył.

Trwało to z tydzień może, rodzice się uspokoili, że w Krakowie mu nic nie grozi, kiedy sobie tak śmiało poczyną, gdy jednego dnia nocą powróciwszy, Marcik wziął ojca na rozmowę do kąta.

— Słuchajcieno — rzekł. — Może się tak złożyć, że do mnie tu kto z Krakowa dla pogadania przybędzie. Prawda, nie mamy ani gdzie, ani czem przyjmować tak bardzo, ale się na to nie patrzy, byleśmy sami, swobodnie mogli rozhówr prowadzić. Ja z rana wy-

ruszę jeszcze stąd, z południa jeszcze z kim wrócę. Niemców kilku z Krakowa nadciągnie. Niechby się matka postarała choć o kołacz, ser i piwo, abyśmy wstydu nie mieli, głodnych odprawiwszy.

Zbyszek się trochę w głowę poskrobał, mając na pamięci, jak go Boskowiczowi ludzie razem z Toporem chwycili i pędzili, jak go potem więziono. Obawiał się, aby coś podobnego nie przytrafiło się znowu. Domyślał się spisku jakiegoś.

Marcik, dorozumiawszy się tego, wesoło ojcu zaręczył, że strachu żadnego mieć nie powinien. Zbita, choć niechętnie, poczęła myśleć o tych gościach zapowiedzianych, lamentując tylko, że ją przy ubóstwie na srom narażano. Z Marcikiem się jednak nie sprzeczała, trzeba go było słuchać; czuli, że przez niego sam pan im rozkazywał.

Jak tylko zaświtało, Marcik już był na koniu i zniknął.

Wymieciono chatę, nakryto stół, z miasta Zbyszek przywiózł, co mógł dostać, gotowano się z piwem i miodem, z kołaczami białymi i z mięsem dla gości.

Z południa zarżał koń Marcika i z nim razem wszedł do izby człek chuderlawy, więcej do klechy, niż do rycerza podobny, nieosobliwie zbrojny, przygarbiony, z oczkami małemi, które przymrużał, gdy chciał co zobaczyć. Niemłody już był, nieprzystępny jakiś, niezręczny i nienawykły pewnie ni do podróży, ni do ludzi nowych, jakby się zasiedział gdzie i niewiele ruszał.

Choć odzież na nim zamożnego bardzo nie oznaaczała, Marcik go z takim uszanowaniem wiódł i sadził, a on też miejsce pierwsze tak sobie za należne przyjmował, iż Zbyszek się w nim kogoś znacznego domyślał.

Posadzono go na ławie. Gość wcale jakoś do rozmowy ochoty nie okazywał, oczki przymrużał, chrząkał, paska poprawiał i czekał.

Zbyszek byłby przysiągł, że to kawał klechy, gdyż u nóg mu ostróg brakło, a miecz przy nim wisiał, jakby nie wiedział, co z nim robić.

Częstowano go piwem — odmówił, maleńki tylko



kubek miodu i chleba białego kawałek przyjął, a i z temi się pieścił, do jedzenia i picia nie okazując wielkiej ochoty.

Kilkakroć na Marcika niespokojnie wejrzał; ten go za każdym razem uspokajał szeptaniem i za drzwi chaty wysuwał się nasłuchiwać i wyglądać.

Doczekano się wreszcie gości z Krakowa, którzy wozem przybyli. Chociaż odzież ich była skromna, Zbyszek, który często około ratusza i po rynku się przechadzał, a ludzi ważniejszych w mieście znał, bo mu ich nieraz palcami pokazywano, poznał w nich bogatszych mieszczan, kupców i rajców miejskich — Pawła z Brzega i Żurdmana z Pisar.

Pookrywali się byli na drogę staremi płaszczami, czapki pobrali wyszarzane, lecz gdy ich do izby wprowadzono, z pod wierzchnich szat ukazały się dostatnie i czyste, jakie ludziom zamożnym przystały. Przyodziani byli niemieckim obyczajem, broni nie mieli, tylko obuszki w rękach, a noże u pasa.

Paweł z Brzega, Ślązak, dawno osiadły w Krakowie, tuszy był okazałej, twarzy okrągłej, świecącej, oczu wypukłych, Żurdman więcej Szwaba przypominał płaską a wyrosłą postawą, nogami szerokimi i jak pleśty kacze rozpostartemi. Oba z pewną obawą wszedłszy do dworku za Marcikiem, pociągnęli ku ławie, u której już ich czekał pierwszej przybyły człeczek z oczyma przymrużonemi.

Wnet syn, niewiele myśląc, wszystkim, ojcu i matce nawet z chaty wynosić się kazał, aby ich samych zostawiono — co też spełniono. Zamknięto drzwi i Marcik sam stanął ich pilnować.

Pawłowi z Brzega i Żurdmanowi Marcik ukazał człeka milczącego, jako sędziego Smiłę.

Jak czasem w lesie psy i zwierz, gdy się zetkną z sobą niespodzianie, długo na się patrzą, zęby sobie pokazując i siłę swą starając się zmierzyć, tak chwilę pewną krakowscy goście i sędzia Smił przypatrywali się sobie milczący. Dopiero Marcik niecierpliwy zagaił:

— A co, panowie rajcy! Możeby się co o przyszłych losach miasta pogadało?

Ostrożny, otyły Paweł przebaknął:

— Czy tylko czas o mieście mówić, kiedy nad niem w zamku, choć wygorzałym, Czechy siedzą jeszcze i trzymać się myślą.

— Tak jest — dodał Żurdman — miasto samo nie da sobie rady, póki sprawa króla Wacława się nie rozwiąże. Czech jeszcze mocny jest.

Sędzia Smił okazał się też ostrożnym ze słowami, nim je z ust puścił. Żuł je wprzód długo, nim rzekł półgłosem:

— Miasto przecie nie będzie samo, gdy ten pan, co już Czechów ze znacznej części kraju wygnał, stanie u bram a sprawę miejską za swoją weźmie.

Rajcy milczeli, oglądając się. Rozmowa, jak bryła lodu, potrzebowała czasu, aby powoli roztajać mogła i płonąć; patrzano na się z niedowierzaniem.

Paweł wybąknął, iż miastu należały przywileje Leszka Czarnego; trzeba, aby je potwierdzono, że ono musiało mieć swój rząd, sąd, własne prawa, bez których oni się ostać nie mogli.

Smił temu nie przeczył, lecz szeroko o tem mówić nie chciał. Wtedy Żurdman dodał, iż oni pierwszymi być nie mogą, ale ostatnimi nie będą; że nagwałt przy Czechu trzymać się nie chcą, ale pierwsi go nie zdradzą, bo jeszczeby miał czas mścić się, a był silny.

Paweł syknął, ośmielając się przeciw Czechom, że oni zbyt wielkich opłat od miasta wymagali, nakładali nań ciężary i surowymi się okazywali, że na Okolu zakładali miasto nowe, powoli je łącząc z zamkiem, co groziło miastu staremu, które samo sobą być chciało. Z zamkiem ono nie wspólnego mieć sobie nie życzyło, oprócz wierności księciu, czy królowi. Mówił to z takim naciskiem, jakby chciał dać poznać, że do Czecha się nie przywiązali, bo ich uciskał, a i do innego się nie przywiążą, gdyby im też chciał odejmować swobody.

Smił słuchał z uwagą.

Rajcy twardo przy tem stali, że gdy Czechy osłabną,

oni się opierać nie będą, ale dla Łokietka pierwsi poczynać nie mogą.

Dopiero sędzia, zabrawszy głos, począł im zapowiadać wielkie łaski i nowe nadania. Na to Żurdman rzekł, iż radzi je przyjmą z wdzięcznością, byle tylko zbyt drogo ich opłacać nie przyszło.

Pierwsze to zetknięcie się wysłańca książęcego z miastem Krakowem nie przyniosło żadnego skutku. krom, że się wzajem wybadano. Sędzia Smił chwalił pana swojego, Władysława, obiecywał wiele; tamci przebąkiwali coś, nie przyrzekli nic, chcieli za drugimi pójść, ale naprzód wyrywać się nie przyrzekali.

Rozmowa, ostrożnie prowadzona, trwała bardzo długo. Marcik niecierpliwy — to jedną, to drugą stronę coraz jakim słowem popychał, aby do końca poprowadzić umowę. Smił i rajcy, udając, że nie słyszą, półgębkiem pomrukiwali.

W ostatku otyły Paweł i płaski Żurdman, spojrzawszy na się raz i drugi, wstali z ławy i dosyć uprzejmie pozdrowiwszy sędziego, ku drzwiom się mieli.

Smił ich nie zatrzymywał, a Marcik dopiero za progiem, gdy na wóz włązili, począł im żywo wymawiać, iż nie chcieli nic sprawić i darmo go zwiedli.

— Ależ niema nic pilnego — odparł Żurdman. — Przecie tyleśmy zyskali, że wiemy z jednej strony i z drugiej, czego chcemy i czego się spodziewać możemy.

Wnet woźnicy kazali nazad do miasta.

Smił milczący siedział za stołem.

Marcik, do izby powróciwszy, choć z uszanowaniem do sędziego się zbliżył, zapytał go kwaśno, czemu Niemców większymi obietnicami nie starał się pozyskać.

Klecha potrząsł głową.

— Lepiej, żeby Niemcy wielkich się od nas rzeczy nie spodziewali — rzekł sucho. — Pan nasz około siebie drugiego pana nie ścierpi.

Marcikowi po żołniersku zdawało się, że można było obiecywać, aby za łeb wziąć, a wzięwszy za łeb,

niekoniecznie dotrzymać. Smił inaczej myślał i za daleko iść nie chciał.

— Gdy ziemian i ziemię mieć będziemy — dokończyl — przyjdą oni sami prosić się do nas, a płacić drogiemi przywilejami za to, co bez nich wziąć można — nie warto.

## V.

Noc była, a choć niebo wypogodzone iskrzyło się gwiazdami i księżyc, pełni bliski, sypał na ziemię światłem srebrzystem, w mieście wśród ścian, płotów, dachów, murów, gdziekolwiek nie padały białe jego promienie — tem głębsze panowały ciemności. Światło księżycowe na to przeznaczone się zdało, aby zwiększało mroki. Ostro odcinały się kawałki ścian, gliną lepionych, na które padał blask od pograżonych w zimnych i czarnych cieniach nocy.

O wczesnej naówczas godzinie wiertelnicy i ich stróże wywoływali gaszenie ogni i zamykanie domostw, a razem z mrokiem poczynaly w mieście krążyć piesze warty zbrojnych pachołków, nasłuchując pod niektórymi domostwy, czy wrzawy nie usłyszą, bójki jakiej nie wypatrzą.

Oprócz nich mało już kto ważył się wyjść w ulicę; bramy miejskie były zamknięte. Przesuwali się tylko pod ścianami złodzieje i nocni łotrzykowie, lub opóźnieni w szynkach i browarach, do domu powracający opoje.

Główne ulice miasta przedstawiały widok malowniczy i dziwaczny. Gdzie niegdzie stały domy z wysokimi dachami, a obok nich niezabudowane dworzyszczka, wśród których za parkanami leżały przygotowane kupy kamieni i drzewa. Dalej były niskie chatki, poprzdzielane ogródkami, a drzewa podnosiły się nad parkany z obleciałemi już z liści gałęzmi.

Wśród domostw drewnianych tu i owdzie wyrastały i mury poczętych kościołów lub klasztorów, w większej części jeszcze rusztowaniami pootaczane;

wyżej podnosiła się kwadratowa wieżyca ciężka — kamienica biała, kawał muru i drewniane ściany.

Ulica, niby równo wytknięta, wyginała się jednak w miejscach wielu, to zwężając się, to rozszerzając, a wśród niej widać było, gdzie padały promienie księżyca, powybijane głęboko koleje, kałuże, pozarzućcane chróstem, ładajako doły, kamienie i ślady kół ciężkich wozów.

Na jednej połaci ulicy, oświeconej księżycem, rysowały się wyraziście ganki wyższych domostw z założeniami głębokimi i wystającymi rzeźbami, słupy podsieni, pozapierane szczelnie okna jatek i mieszkań, i owe stolnice do ścian przyparte, które we dnie do sprzedaży służyły.

W innych dworkach, gdzie od szerokiego okapu padał cień, okiennice nie szczelne przepuszczały złotymi paskami nie pogaszone światła wewnętrzne. Od strony przyciemnionej światło to czerwone kładło się aż na ziemi i pogarbione na gruncie nierównym, jak wstęgami przerzynało mroki.

W półcieniach zlewało się wszystko w jedną masę szarą, wśród której wychodziły ledwie wyraziściej po bielone kawałki murów.

Wśród ciszy głębokiej, panującej w ulicach, po drogach i placach wyludnionych — z domostw niektórych zalatywały okrzyki i głosy stłumione. Lecz, jakby się lękały zdradzić, wnet przycichały.

Szmery tylko różne rozeznąć było można wśród głuchego milczenia nocy. Błędne psy bezpańskie z nosami powieszanymi wietrzyły po śmietnikach kości, których kupy zalegały kąty, bo gospodarze niebardzo się troszczyli o ich uprzątnięcie.

Stuknięcie drzwi, skrzypnięcie wrót ciężkich, pisk wietrznika na dachu i szczekanie podwórzowych stróżów zdradzało, że nie wszystko spało jeszcze.

W rynku ciszej było, niż gdzie indziej, krom piwnicy ratuszowej, która choć już niby zamknięta, pełną była jeszcze przypóźnionych w niej poufałych gości.

Około długo wyciągniętych kramów i kupieckiej



gospody nocne straże snuły się nieustannie, grzechotkami dając znać o sobie.

Na niebie zarysowały się ciemno mury rozpoczętego kościoła Panny Marji, przy których, jak w większej części innych budowli, stały ciężkie rusztowania — ściany ratusza i kilka innych kamienic.

Miasto napozór śpiące, w istocie jak żółw w skorupie z życiem swem we wnętrzu się kryło. Straże, co się snuły po kwaterach, przystając niekiedy, nasłuchując i przypatrując się, najlepiej wiedziały o tem. Nie lędziło je to milczenie przymusowe; znali oni mieszkańców każdego domu i wiedzieli, gdzie się co ukrywać mogło. Około niektórych budowli zakradali się ciszej, przysuwali do ścian, przykładali ucho do okiennic i czekali, czy podejrzanego nie posłyszają głosu.

Czuje ich uszy czyhały tylko na okrzyk jaki, wołanie o ratunek, jęk stłumiony lub stukot gwałtowny, aby wpaść do domu i pochwycić winowajców. Połów każdy był im pożądanym.

Szczególniej, gdzie stały łaźnie, gdzie były szynki, gdzie przy licznych browarach sprzedawano piwo — nasłuchiwali miejscy pachołkowie i dowódca, który ich prowadził.

Gdzie powolne a ciężkie kroki ich i chrzęst żelastwa, którym byli okryci, dały się słyszeć zdala, widać było wśród mroków przemykających się ludzi nocnych, co się im w ręce wpaść lękali. Kryli się oni w najciaśniejsze zaułki, zwane kątami, przytulali do parkanów, a niekiedy szukali bezpieczniejszego schronienia po cmentarzach, otaczających kościoły.

Wielka rozmaitość budowli czyniła miasto, po księżycu widziane, obrazem, wśród którego połamanymi linij i zagłębieniami gubiło się oko i błakało, nie mogąc dojrzeć nic, oprócz pstrej szachownicy światła i cienia!

Obcy przybysz niełatwoby tu znalazł drogę. Miejscami ulice zdawały się urywać, miasto kończyć, wieś rozpoczynać, wtem nagle wyrastała, jak wyspa, czarna kupa budowli i murów, lub kościół, murem opasa-

ny. Domostwa nawet przedzielały sznury pól i zagónów. Ściśnięte w środku miasta domy, im bardziej odbiegały od tego ogniska, tem rzadsze siedziały i bardziej osamotnione.

Około Mikołajskiej bramy szczególnie uderzało domostwo jedno, które o lepsze nawet z ratuszem iść mogło. Stało ono, podnosząc się dosyć wysoko; znaczniejsza część jego z grubego muru zdała się, jakby w skale wykutą. Po rogach półbaszty nadawały mu podobieństwo do zamczyska. Ze wgłębień, w których poumieszczane były małe okienka — rozeznawało się łatwo, jak potężne rozmiary miały ściany. Od ulicy pod domostwem całem biegła ogromna ława kamienna, której wyslizganą powierzchnię księżyc, jak śniegiem, obsypał swym blaskiem. Jedyne drzwi, wiodące do wnętrza, całe opancerzone żelazem, nabite gwoździami, z zamkiem, floresami misternemi okolonym, obronne były, jak wrota twierdzy. Przy nich dwa kamienie wgłębione do gaszenia pochodni służyły.

Dom u dołu pod ławą miał okna, tak gęstemi kratami obwarowane, że światło dzienne przez nie mało się do wnętrza wdzierać musiało. U góry wąskie okienka, pozaokrągłane w górze, były poprząsłane także okiennicami z wewnątrz.

W jednym rogu gmachu tego podnosiło się na dach coś, jak poczęta wieżyca kwadratowa, ale zdawała się nieskończona, i płasko tylko przykrywały ją deski i rusztowania.

Od domostwa głównego, panującego nad miastem dumnie, snuły się mury grube i wysokie, opasując podwórca. Do nich przypierały szopy i drewniane klecie. Dworzysko to wyniosłe, mocno stojąc nad grodem, w istocie nad nim panowało. Było to mieszkanie wójta miasta Krakowa, który tu dzierżył władzę najwyższą, pobierał dochody, rzady i sądy miał w rękę, a był jakby udzielnym księciem niemiecko-polskiego mieszczaństwa stolicy nie bez wpływu na inne grody.

Albert, teraźniejszy wójt krakowski, a można było powiedzieć pan Krakowa, po ojcu już odziedziczył tę

władzę, a sprawiał ją, nie mając ponad sobą nikogo, oprócz prawa niemieckiego, którego był sam tłumaczem. U boku jego stali rajcy miejscy i ławnicy, na których wybory miał wpływ stanowczy.

Rodem był Niemiec, jak najznacniejsza część nowych osadników odradzającego się po tatarskiem zniszczeniu miasta — stolicy.

Musieli się z nim rachować panujący, ujmując go sobie, bo w mieście miał i siłę zbrojną na zawołanie i bogactwo wielkimi miejskimi i własnymi rozporządzał, a znaczenie miał równe wielkorządcy na zamku. Na zamku siedział książę lub namiestnik jego, w ogrodzie tak samo — wójt.

Był to pan możny i mocen; czuł się też tak silnym, że stawał narówni z najdostojniejszymi, a nie ustępował nikomu.

Domostwo wójtowe mogło i książąt przyjmować, gdyż na owe czasy wspaniałe było, jak książęcy zamek. Z kupieckiego wyszedłszy stanu, handel mając na wsze strony otwarty i ułatwiony, wójt Albert miał sposobność we wszystko się zaopatrzyć, czego w owe czasy dostarczyć mogły do wygod i wytwornego życia. Dostatki dozwalały mu, a urząd nakazywał żyć po pańsku.

Rodzaj dworu, dość liczny, otaczał tego królika miasta, który miał swego kanclerza, notarjuszów, podkomorzych, komorników, czeladź mnogą i straż.

O późnej godzinie dnia tego płaszczem okryty mężczyzna otyły, okrągły, toczący się jak baryłka, podszedł do małej furty bocznej domostwa wójtowego — i uderzył w nie kilka razy.

Wrotny, który miał izdebkę u wnijscia, otworzył zaraz, niosąc ogarek w rękę i rozpoznawszy przybyśszą, a powitawszy go dosyć uniżenie, choć z pewną poufałością, powiódł go, świecąc, na małe wschodki ciasne, kamienne, które w grubej ścianie jakby wykute były.

U góry znalazły się drzwi drugie, do których też zapukać było potrzeba; te otworzył wyrostek jak paż ubrany, chłopak strojny o pięknej twarzy.

Zobaczywszy przybywającego, powitał go po niemiecku z rozjaśnioną uśmiechem twarzą. W małej izdebce, do której wchodzili, z pułapem, grubemi, rzeźbionemi belkami, na kwadraty podzielonym, nie było nikogo. — Pacholę wiodło gościa dalej.

Przeszedłszy parę wschodów w dół i ciasną sionkę, znaleźli się u drzwi, któremi wpuszczono przybywającego do komnaty obszernej, z pułapem ozdobnie belkowanym.

Ogień się palił i światło jasne odbijało się na bogatych jej sprzętach. W środku stał właśnie, jakby oczekując na przybywającego, mężczyzna w czarnej, długiej sukni zwierzchniej, w krótszej pod spodem, łańcuchem przepasanej, z pańską postawą dumną, z twarzą surową i brwiami rozrosłemi najeżoną.

Był to wójt dziedziczny miasta Krakowa — Albert. Znać było w nim, że się tu czuł panem, nawet z powitania gościa, który mu się nisko pokłonił, a ledwie skinieniem głowy i półuśmiechem był wynagrodzony.

Twarz pana wójta, mimo tej powagi i dumy, miała w sobie coś niespokojnego, czego pokryć obojętnością nie umiała. W tej chwili może nie czuł się tak silnym, jak się okazać pragnął. Puszył się też tem mocniej.

Rysy twarzy, dosyć regularne, już wiek dojrzały i życie znacznie poszczerbiło. Około oczów gromadziły się zmarszczki i fałdy, przy ustach policzki pozapadały, na czole występowały naprężone żyły. Ognia jednak i żywości było jeszcze dosyć na tem obliczu namiętne, energją wielką napiętnowanem.

Patrzył bystro tak, jakby chciał z samego wnijscia i twarzy gościa wyczytać, co przynosił.

Izba, w której się znajdowali, była razem sypialnią wójta i jego ulubioną komorą. W rogu stało łóże rzeźbione, ze słupkami i zasłonami jedwabnemi, a na niem leżała pościel miękka i wygodna, już do spoczynku przygotowana. Na stoliczku u wezgłowia złocisty dzban i takiż kubek zawierał napój do poduszki (Schlaftrunk).

Na drugim większym stole stał krzyż, leżało ksiąg

parę, kilka zwitków pergaminowych z przywiesistemi pieczęciami i różnorodny sprzęt drobny.

Szafa rzeźbiona, także police ozdobne, ławy poduszkami powyściełane, świecznik u pułapu mosiężny, opony na ścianach wzorzyste, — wszystko to opowiadało o panu bogatym, który sobie niczego odmawiać nie potrzebował.

Zdjęty przed chwilą ciężki łańcuch złoty leżał na skraju stoła.

Przez wąskie drzwiczki, otwarte w głąb domu, widać było ciemne przejście do dalszych izb, słabo oświetlonych. Cisza panowała w mieszkaniu, ogień tylko pryskał. Dwaj Niemcy spojrzeli po sobie. Wzrok Alberta pytał.

Otyły przybysz z okrągłą twarzą lśniącą, Paweł z Brzega, przybliżył się zwolna ku niemu.

— Cóż dobrego przynosicie mi? — zapytał wójt, krok także naprzód występując.

Paweł zlekka poruszył ramionami.

— Dobrego nic i złego nic — rzekł zwolna. — Jeździliśmy z Żurdmanem na zwiady. Chcieliby miasta dostać, nie potrzebując go zdobywać.

— Mybyśmy też radzi szturmu uniknąć — odparł wójt. — W żadnym razie nie godzi się go wystawiać na zdobycie i rabunek. Łoktkowych ludzi znamy!

— Ale Czesi na zamku jeszcze — mówił Paweł, głową kręcąc. — Chcąc się od szturmu Władysława ratować, moglibyśmy na łupieską wycieczkę Czechów się wystawić; to też powiedzieliśmy mu.

— Któż był? — spytał Albert.

— Sędzia Smił.

Wójt skrzywił się nieznacznie.

— Obiecuje on wprowadzić uroczyście, że wszystkie prawa nasze potwierdzone zostaną — mówił Paweł — lecz nie ochotnie, jakby z'musu. A patrzy koso.

Wójt przeszedł się po izbie parę razy.

— Waclaw i Czesi ciężyc nam zaczynają — rzekł powoli. — Z tego, co na zamku słyhać, co z kraju wieje — być może, iż oni się tu nie utrzymają. Waclaw

ma zanadto wiele spraw na młodej głowie. Ziemian sobie naraził. Łoktek szalony jest i śmiały — może wziąć górę!

— Ha! — dodał — nie cieszyć się nam z tego, ale z musu znieść trzeba. Wolelibyśmy książąt śląskich widzieć na Krakowie, niż tego małego włóczęgę, który w swe żelazo wierzy i nie poszanuje nic. Z nim gorzej nam być może, niż z Czechem. Nie ma pieniędzy, wiecznie ich potrzebuje, nienasycony, a obcych i Niemców niecierpi.

— Tak, pewnie; Ślązak każdy byłby od niego lepszym — ale ci się ważyć nie zechcą, a Władysław ziemian już sobie zjednał.

— Poszli więcej ze strachu, niż z miłości dlań — szepnął Albert. — Jego jedno chyba rycerstwo miłuje, bo u niego żołnierz pierwszy. Księża się go boją. Biskup nasz bardzo się nań krzywi. Ten tak myśli, jako i my, i z nami trzymać będzie.

— Tak — powtórzył Paweł. — Ślązakby lepszy był — ale Władysław męstwem i rzutnością ubieży innych. Co robić!

— Dobrze ważyć trzeba, jak postąpić — rzekł Albert. — Poddamy się, jak będziemy zmuszeni, radzi nieradzi. Miasto ocalić potrzeba.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, czasu której Paweł z nogi na nogę przestępował, a Albert chodził i w ogień patrzył.

— Umowy nie było żadnej?

— Na tem skończyliśmy, — rzekł Paweł z Brzeża — iż pierwsi nie chcemy być, ale i ostatni nie będziemy.

— Dobrze! Powtórzyliście im słowa moje — przewał wójt. — Wkrótce rozwiązać się muszą te wątpliwości, szala się przechyli.

I znowu po przestanku i dumaniu począł:

— Na zamku złe jakieś wieści mieć muszą — ale tają się z niemi. Czytam to im z twarzy, kłamią przede mną. — Głosili wprzód, że młody Wacław idzie już z wojskiem potężnem, umilkło coś o tem. Twarze za-



sepię i chmurne. Wiem, że z Ołomuńca przybiegł go-  
niec jakiś, ale go zamknęli. Ten pewno nie musiał im  
przynieść nic dobrego.

— Tajemnica ta, jeśli jaka jest, nie uchowa się dłu-  
go — dodał Paweł. — Nie poczekamy na to.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze i przeszła na miej-  
skie sprawy. Paweł wkońcu pożegnał wójta, który,  
jak ksiązę udzielny urzędnikowi, tylko skinieniem gło-  
wy na pokłon odpowiedział.

Za drzwiami pacholę znowu czekało na gościa, któ-  
ry tąż samą drogą, jak wszedł, wrócił do izdebki  
odźwiernego i na ulicę.

Wolniej oddychając po zdaniu sprawy z poselstwa,  
krokiem mierzonym posuwał się Paweł ku domowi.  
Zamyślał się jednak, stawał, ważył, przypominał i nie-  
zupełnie zdawał się uspokojony.

Ten sam stan wyczekiwania trwożliwego dawał się  
postrzegać w całym mieście. Na spalonym zamku, któ-  
ry Czechy zaledwie odbudowywać, a raczej klecić po-  
czynali, nawet nocą ruch widać było niezwykły. Dola-  
tywała stamtąd dziwna wrzawa jakaś i krzatanie w go-  
dzinach spoczynku.

Nieopodal od dworca wójtowego w Rzeźniczej uli-  
cy zastukał Paweł z Brzega do własnego, skromniej-  
szego, ale dostatnio i czysto wyglądającego domostwa.  
Świeciło się tu jeszcze, bo w jatkach, które do niego na-  
leżały, mięso świeżo zabitego wołu na jutrzejszą sprze-  
daż przygotowywano.

Paweł sam tylko dozorem zwierzchnim swego rze-  
miosła się zajmował, a przy robocie zastępował go mło-  
dy czeladnik, Hans, który naprzeciw niego wyszedł  
w fartuchu, z wiszącym, zakrwawionym nożem u pasa  
i rękawami zakasanemi.

Chciał go pytaniem jakimś zatrzymać, ale Paweł  
ręką rzucił i śpieszył odpocząć w izbie, w której widać  
było ogień.

Hans popatrzył za odchodzącym z ciekawością pew-  
ną i zawrócił do szlachtuza, w którym słychać było  
wesołe głosy chłopców, ćwiartujących mięso, i śmiechy.

Dom Pawła z Brzega wcale do wójtowej kamienicy nie był podobnym. Drewniany, obszerny, wygodny, nie kusił się o żadne pozory państwa. Jedna duża izba na dole, w której właśnie ogień płonął jasny, służyła za stołową i gościnną, a nawet i za kuchnię. Bliżej ogniska pozawieszane były sprzęty kuchenne; — patelnie, misy i garnki stały na policach.

Dnia tego wszystko już było ukończone, naczynia poustawiane, a niemłoda jejmość w sukni czarnej, opiętej, z rękami założonemi spokojnie — siedziała na ławie. Sługa z kądzielą drzemała w kącie.

Gdy Paweł wszedł do izby, stara, po chodzie go poznając, wstała milcząca i przypomniawszy sobie obowiązek przygotowania mu nocnego napoju do poduszki, zabrała się do płókania szklanicy.

Pora była gasić ogień i iść do łóża. Paweł jednak nie śpieszył do sypialni otwartej, w której światła jeszcze nie było; — przeszedł się zadumany po izbie, po-grzał u ognia i jakby teraz dopiero zobaczywszy starą, zapytał cicho:

— Nie było Grety?

Pytanie to zdało się na niej nieprzyjemne czynić wrażenie; pomarszczona jej twarz wykrzywiła się niesmacznie, spojrzała na gospodarza i odrzekła:

— Nacóż wam ta Greta potrzebna?

— Ach! — odparł swobodnie Paweł — moja stara Anchen! Greta nietylko mnie, opiekunowi i powinowatemu, ale wielu ludziom potrzebna jest na świecie. Zda się ona każdemu!

— Tak! tak! — mruknęła stara Anchen, wycierając kubek i nie patrząc mu w oczy. — Greta się zda wielu na utrapienie. Wszyscy wy, nie wyjmując ciebie starego, coś jej stryjem i opiekunem, odkąd ojca i męża straciła — wszyscy wy dajecie się jej bałamucić, a ona o żadnego z was nie dba!

Paweł rozśmiał się.

— Anchen moja! — odparł. — Jest-li też kto, oprócz ciebie, coby popatrzwszy na mnie, powiedzieć śmiało, iż niewiasta bałamucić może taką starą baryłę.

— A przecież tak jest! tak jest! — rzekła, upierając się przy swoim, stara Anchen. — Tyś taki zaślepiiony, jak i drudzy — aż mi wstyd!

Paweł, któremu wyrzuty te pochlebiać się zdawały, śmiał się, a oczy mu połyskiwały.

— Oj, Greta wasza! — poczęła szydersko, gniewnie szepleniąc, stara Anchen. — Greta ma głowę do tego, żeby świat cały durzyła. Rozmiłowują się w niej Czechy, Polacy, nasze Niemcy — kto żyw! Nawet ten głupi Hans!

— O! i ten? — przerwał, śmiejąc się, Paweł. — Dobrego mu się zachciewał!

— A wy jej wszyscy nie w głowie — mówiła Anchen. — Co u niej w głowie, jeden Bóg wie! Bawi się wami, jak dziecko lalkami. Kogo chce, sobie zyszcze, byleby rzuciła okiem, mrugnęła, uśmiechnęła się. Każdy głupi szaleje.

Ruszyła ramionami.

— Gdyby nieboszczyk mąż jej żył — dodała — tenby ją był może utrzymał, bo zazdrosny był. Na jego szczęście zabito go — bo płochą jest. Teraz wdowa, swobodna! oho! Powinnibyście wydać ją za mąż, aby się to raz skończyło.

— Anchen moja — odezwał się Paweł, zawsze wesoły. — Tej Greta ani ja, ani nikt nie wyda, póki ona sama wyjść nie zechce. Na dziś lepiej tak, jak jest.

— Dla was lepiej! — umhu! — mruknęła stara, złośliwym okiem rzucając na okrągłego Pawła, i zamilkła.

Poczuła pewnie kogoś nadchodzącego, bo wzrok jej padł na drzwi, które właśnie otwierał mały człeczek, rodzaj karła garbatego, z twarzą dużą, ubrany pociesźnie w karmazynowy kubrak z rękawami długimi i strzępkami przy nich, w czapce śpiczastej z uszami na piersi zwieszonymi. Szedł on, trzymając w ręku rogową latareczkę z ogarkiem i opierając się na kiju większym od siebie, zakończonym gałką białą, ozdobionym kutasami. Na dużych jego nogach trzewiki, z nosami, wysoko zadartymi, miały u góry mosiężne skówki, które łańcuszki łączyły z cholewą.

Karzeł-garbus poprzedał niewiastę wchodzącą żywo. Była to synowica Pawła, tylko co wspomniana Greta.

Na widok jej stara Anchen cofnęła się zaraz z zasepioną twarzą na swoje miejsce ciemne na ławce przy kominie, jakby z nią nie chciała mieć nic wspólnego. Paweł z twarzą uradowaną patrzył na przybywającą.

Mieszczanka była, mimo późnej dnia godziny, strojną, ale ubiór piękności jej nie przyczyniał, bo i bez niego ślicznąby się w lada sukience wydała. Nie miała w sobie nic niemieckiego i można było posądzić, że przy częstych dawniej stosunkach Niemiec z Włochami, zabłąkała się w jej żyły gorąca krew południa.

Miernego wzrostu, zręczna, form pełnych, biała, uderzała Greta naprzód dwojgiem oczu, które patrzyły nakazująco, śmiało, wesoło, figlarnie, pańsko, a razem miały w sobie coś tęsknego i zagadkowego. Oczy te stałyby za nią całą, bo mówiły więcej, niż małe usta koralowe, z których przezierały ząbki perłowe, — niż czoło jasne, niż twarzyczka, życiem drgająca. Na głowie jej piętrzyły się zbyt bujne, krucze włosy, pozwijane, podzielone, pokręcone, posplatane a ciężące.

Z ruchów, wejrzenia, uśmiechu biła odwaga zachwała, wyzywająca — nie wierząca w to, aby się jej kto śmiał opierać.

Miała na sobie suknię ciemną, szytą i wyszywaną dokoła, pas z torebką u boku, na ramionach płaszczyk, na głowie zasłonę czarną. Ten ubiór napół wdowi był jej bardzo do twarzy. Karzeł-garbus, który z laską panią swą poprzedał, stanął, jak herold, idący przed królową, i odezwał się głosem ochryplym:

— Greta!

Spełniwszy ten obowiązek urzędowy, zniżył laskę, zmienił butną postawę i poszedł wprost spocząć na ławie, chociaż garb mu o ścianę oprzeć się nie dawał.

Greta przypatrywała się stryjowi, stanawszy opodał; — czekała, aby ją powitał. Paweł nie bez spojrzenia zukosa na starą swą gospodynię, uczynił krok naprzód.

— Dobry wieczór pięknej Grecie! A co? Przynosisz mi co nowego? Mów!

— Właśnie ja przyszedłam do was z tem samem pytaniem — odpowiedziała, śmiejąc się, wdowa. — Skądże ja mam wiedzieć co nowego?

— Łatwiej, niż ja! — odparł Paweł. — U ciebie przez cały dzień pełno ludzi ze wszystkich stron świata, a każdy ci się ze śmiertelnego grzechu wypowiada, gdy do niego wyszczerzysz ząbki.

Anchen w kącie rzuciła się niecierpliwie i splunęła, spozierając na swego pana.

Greta śmiała się z obojętnością prawie dziecinną.

— Dobyłaś co z Czechów — zapytał, głos zniżając, Paweł. — U nich, słyszę, niepokój na zamku? Co to jest? Domyślają się ludzie czegoś niedobrego. Prawa ręka wielkorządcy Fryca, Mikosz, jest w twojej mocy; czy się przed tobą z czem nie wygadał?

Greta składała usta żartobliwie, dumnie, patrząc ciągle na Pawła.

— No? — jak się wam zda? — szepnęła.

— Jam prosty człek — zawołał stryj, ramionami ruszając — niczego się domyślać nie umiem, ale inni coś przewidują! Albert...

— O! wasz Albert — odparła Greta — gdyby tyle serca miał, co rozumu!

Obejrzała się po izbie i pochyliwszy się do ucha Pawłowi, osłaniając usta rączką pulchną i białą, aby się głos nie rozchodził, szepnęła mu:

— Młody król Wacław zabity w Ołomuńcu! Zabity! Ale — cicho! Tają się z tem przed wami! Niewiadomo kto i od kogo nasadzony go zabił.

Pawłowi ręce się rozłożyły rozpaczliwie... Staął blady.

— Może-li to być? — zawołał.

— Mikosz mi to zeznał, podpoiony trochę przeze mnie — ale w tajemnicy wielkiej. Czechy się lękają — wojsko do Polski przeznaczone pewnie zawróci się z drogi. Króla sobie nowego wybierać będą musieli.

Rzeźnik słowa rzec nie mógł, tak był tą wiadomo-

ścią przybity. Greta, jakgdyby do ważnej wiadomości, którą przyniosła, żadnej nie przywiązywała wagi, zupełnie pozostała obojętną. W twarzy nie było śladu wzruszenia, ni smutku.

Paweł dumał, ona koniec rąbka gryzła ząbkami białymi, patrzyła nań, na drżącego garbusa swego, rozglądała się po izbie z chłodem znudzonej istoty, szukającej jakiejś rozrywki.

Wreszcie Paweł dał jej znak, aby z nim poszła dalej ku oknom, na co Anchen patrzyła z rosnącą coraz niecierpliwością, rzucając się i mruczac w swym kątku.

— Cóż teraz poczynać? — zawołał. — Ten zuchwały mały królik, Łoktek, gdy się dowie o śmierci Wacława, w butę jeszcze urośnie.

— On? on już pewnie wprzód, niż wy, o niej wiedział! — rzekła Greta.

— Nam więc nic nie pozostaje, tylko mu się poddać niezwłocznie — dodał rzeźnik. — Nie chcę dziś budzić wójta Alberta tą wieścią, choć należałoby. — Jutro dodnia pośpieszę z nią do niego.

Zadumał się głęboko Paweł.

— Nie trwóż-że się — przerwała Greta. — Ten, czy kto inny — potrzebować będzie mieszczan krakowskich; zyskacie na nim, co zechcecie.

Ramiona się jej poruszyły, ziewnęła, popatrzyła na garbusa.

— Kurcwurst! — zawołała nań głośno. — Nie spać! Na nogi! idziemy do domu! Wstawaj, śpiochu jakiś; gdy nie jesz i nie pijesz, — spałbyś tylko.

— Najjaśniejsza pani! — odparł Kurcwurst śmiało — proszę o przebaczenie. Ja nawet jedząc i pijąc — spałbym, gdyby było można. Niestety!

Królowa rozśmiała się. Kurcwurst stał już, łaskę ujawszy, którą w wyprężonej mocno ręce trzymał zdala od siebie — ze śmieszną powagą. Paweł nawet, spojrzawszy na garbusa, uśmiechnął się, choć miał o czem innem niewesołem do myślenia.

Greta zgrabnym ruchem rączki podniosła suknię



długą, otrząsnęła włosy spadające na szyję, ruchem główki pozdrowiła Pawła i zabrała się do wyjścia.

— Choć twój dom tuż — odezwał się Paweł — niechby ci kto dla bezpieczeństwa towarzyszył; bodaj mój Hans z wielkim nożem.

Greta uśmiechnęła się pogardliwie, odsłoniła nieco płaszczyk i pokazała Pawłowi obok kaletki, szytej perłami, piękny nóż w srebrnej oprawie, który wisiał u pasa.

— Nie boję się — rzekła, — mój Kurcwurst za straż mi stanie. Trzy kroki mam do swojej bramy. Dobranoc.

Skłoniła się, szukając Anchen oczyma, ale ta skryła się w swój kątek głębiej jeszcze, aby jej nie żegnać tak, jak nie witała, — i wyszła.

## VI.

Na dzień dopiero się brało, a miasto zaledwie budzić się zaczęło, gdy około dworu biskupiego zebrała się niezwykła w tej porze gromada ludzi. Pojedynczo i gromadkami cisnęli się do wrót, wychodzili i wchodzili pośpiesznie. Można w nich było łatwo poznać mieszczan, po większej części Niemców, kupców, bogatszych właścicieli kramów, ławek i gospód w mieście. Biegli żywo, rozglądając się dokoła, a niebardzo chcąc być widzianymi.

W kościołach dzwoniono na jutrznię i razem dwa współzawodnicze dzwonki św. Franciszka i św. Dominika pierwsze zwiastowały modlitwę poranną. Po dworakach widać było przez błony i okiennice światła, pozapalane przede dniem jeszcze. Ranek był chłodny i chmurny, ludzie szli pootulani opończami, których kołnierze wysoko sterczały, kobiety w narzuconych na głowę fartuchach i chustach.

Ruch w mieście z początku mały, wzrastał z każdą chwilą; otwierały się wrota, dziewczęta biegły do studzien po wodę, psy wychodziły w ulice, wietrząc, co

się na nich w czasie ich niebytności działo i przeciągając nogi skurczone.

Miasto w tej szarej mgłę poranka wcale inaczej wyglądało, niż w nocy. To, co światło księżyca i mroki czyniły pięknem, występowało w nagiej rzeczywistości, szare, smętne, odrapane i pospolite. Na ścianach domostw widać było opadającą glinę i tynki, płoty świeciły dziurami i łataniną, wysokie dachy pokazywały szczyby, które w nich czas i słońce porobiły. Kościoły ze swemi rusztowaniami, które nocą piętrzyły się wspaniale, zmalowały teraz i widać było, jak im wiele brakło do ukończenia. Nie było ani jednego prawie, któryby już się mógł rozebrać z przystawionych doń ogromnych sztandarów i powiązanych do nich desek. Robotników na nich nie było, — czekali na przyszłą wiosnę.

Przy świetle dziennem śmieć i kałuże wystąpiły pierwsze, ulice gdzie niegdzie powymaszczone kamieniami, chróstem i deskami — pokazywały kładki pod domostwy i całą sieć kolei, które wozy pozostawiły po sobie! Po deskach, na pniakach i słupach opartych, przekradali się pod oknami przechodnie, gdzie niegdzie przeskakując zerwane hacie.

Dworzec biskupi nie wyglądał tak świetnie, jak za owych błogosławionych czasów Prandoty, lub Iwona. Powaga pasterzy, ich znaczenie i władza z różnych przyczyn ucierpiały wiele. Cios najdotkliwszy zadał im szalony Paweł z Przemankowa, wichrzyciel, warchoł, człek swawolny, po którym ani Prokop, choć mąż wielkiego rodu, powinowaty księżnej Gryfiny, ani Ślązak Muskata, pasterz teraźniejszy, dźwignąć już do stojeństwa biskupiego do dawnej świetności nie mogli.

Razem prawie ze wzmocnieniem władzy świeckiej koroną starą, — osłabła moc biskupów. Lecz nie byłaby dała się pożyć tak łatwo i rychło, gdyby nie ten człowiek, co jej cały blask dawny odjął, ów Paweł, za którego grzechy następcy jego pokutować mieli. Po nim to rozprzegło się duchowieństwo i zaczęło je lekceważyć.

Widać już było, że w przyszłości nie biskup nad

królem, ale król nad biskupami stać będzie. Kończyło się dla duchowieństwa panowanie zwierzchnie nad krajem, a zaczynała walka o utrzymanie się przy zachwianej powadze, którą, ciągle walącą się, posiłki z Watykanu podpierać musiały.

Po Prokopie Rusinie wybrano Ślązaka, nawpół obcego, nie mającego tu ani rodu, ani związków. Ten, aby się utrzymać na stolicy, pokornie wszystkim stawić się musiał, jednać sobie świeckich i duchownych. Dawni biskupi: Iwon, Prandota, Paweł, — poprzednicy ich, wyrosli z ziemian tutejszych, ten był obcym. Sam nawpół Niemiec, miał zwolenników tylko w mieście, na zamku starał się ich pozyskać. Kraju znał mało.

Mąż był uczony, spokojny, milczący, w sobie zamknięty, nieco lękliwy, oglądający się na wsze strony, ostrożny, a mimo to czujący słabość swoją. Widział, że się chwiał, że mu tu nieswojo było. Człek był podówczas lat średnich, siwiejący wcześniej, oblicza zadumanego, oczów bladych, cery żółtej, chudy i zgięty. Losy, dlań przeznaczone, zdały się przecuciem piętnować na jego twarzy trwożliwej i tajemniczą zasłoną okrytej.

O szarej godzinie biskup Muskata właśnie tylko co mszę w kaplicy domowej odprawił i powracał przygarbiony do sypialni, w której około ksiąg najlepiej zabawiać się lubił, gdy kapelan jego, 'Stanko, całując go w rękę, cicho mu szepnął, że wójt Albert z mieszczanami czekał nań i o posłuchanie się dopraszał.

Po twarzy biskupa przemknął wyraz trwogi; krokiem śpieszniejszym posunął się naprzód do sypialni, później zawrócił szybko do izby, w której zwykł był gości przyjmować.

Tu też wójt i mieszczanie czekali na niego, a że dzień się jeszcze jasny nie zrobił, okna w niej były małe, wchodzący o mroku biskup więcej się mógł domyślać, niż poznawać przybyłych.

Albert stał na przedzie; tego wszędzie po wzroście i postaci odróżnić było łatwo. Za nim patrzyły blade

i niespokojne twarze rajców i kupców. Szeptali coś między sobą.

Niezwykła pora, w której przybywali, przecucie jakieś złowrogie, — zawczasu trwoga się odbiły na obliczu biskupa.

Witano go cichemi pocałowaniem ręki.

— Ojcze, — odezwał się wójt Albert — przychodzimy na radę! Straszne wieści nas doszły!

Oczy Muskaty błysnęły; spojrzał i spuścił je smutnie.

— Mówią, że młody król nasz zdradziecko został zabity. Czesi na zamku już się trwożą — mówił wójt. — Co nam poczynać? Łoktek nie zaniedba skorzystać z tego... Śle już nawet i upomina, aby mu zawczasu miasto dano. Ratuując się od klęski, takby uczynić należało, ale Czechy.... Zemsta ich?!

Biskup trwożliwie obejrzał się dokoła. Niewiele osób go otaczało, lecz i tę gromadkę za zbyt liczną uważał, aby przy niej mógł się odezwać otwarcie. Zawahał się, wejrzał na Alberta, ręce złożył.

— Pomówimy o tem na osobności — szepnął. — Chodźcie ze mną.

Mieszczanie pozostali w izbie, a wójt siedł za Muskatą do sypialni.

Izba, do której go wprowadził, szczupłą była, jak cela klasztorna, pełna ksiąg, stołem do połowy zajęta, skromna, niczem nie zdradzająca zamożności. Łoże twarde stało w kątku, z rozrzuconem jeszcze posłaniem, krzyżem w głowach, palmą i gromnicą.

Gdy się drzwi zamknęły, biskup znowu ręce załamał i podniósł je, jak do modlitwy.

— Ciężkie Bóg na nas próby zsyła! — rzekł pobożnie. — Chyba On sam natchnie, co czynić mamy.

— A kogóż On prędzej oświecić i przez czyje usta przemówić raczy, niż przez wasze, ojcze? — odezwał się wójt — przychodzimy do was po mądrą radę. Miasto ratować potrzeba!

Biskup milczący stał, patrząc w okno oczyma szklanemi, które łzami zachodziły.

— Książę Władysław — dodał Albert — już krąży, wypatruje, nasyła i nagli...

Muskata dał znak ręką.

— Nie przeto śpieszyć trzeba — rzekł. — Zuchwały i mężny człek jest, bo tylekroć wygnany, za zgubionego uważany, na nowo się dobył, siły stworzył i ludzi zyskał! Tak, bać się go musimy, ale czyż to pan, jakiego nam potrzeba?

Biskup coraz głos zniżał, jakby się lękał słów, które z własnych ust jego wychodziły. Wyrywały mu się one jednak siłą jakąś wewnętrzną z piersi i powstrzymać ich nie mógł.

— Książę ten — dodał — kościoła i duchowieństwa nigdy nie szanował. Pamiętają ludzie, co na Śląsku, w Poznaniu i na innych ziemiach żołnierze jego i on dokazywali. Kłatwą go kościelną trzeba się było pozbywać. Ani wam, ani nam nie jest miły, ni pożądaný.

Tu zamilczał chwilę.

— Lecz jeśli Czechom do oparcia mu się sił braknie — wtrącił Albert, — my kogoś przecie za pana sobie obrać musimy? Ten dużo ziem już posiadał, a gdy Czechów nie stanie — resztę zagarnie.

Po krótkiem milczeniu Muskata do ucha prawie wójtowi szeptać począł:

— Czemużbyście nie mieli się postarać o to, aby Kraków oddać któremu z Piastów Śląskich? Oni narodowi niemieckiemu więcej sprzyjają i mają siłę w niemieckich sprzymierzeńcach.

Albert głową potrząsł.

— Nie dziś nam księcia ze swej ręki prowadzić tu, — rzekł — nie mamy o czem. Ziemianie będą przeciwni.

Muskata słuchał nieprzekonany.

— Siłębyście znaleźli i wy — rzekł — rozumem, zręcznością, wreszcie pieniędzmi wiele dokazać można.

Przerwał nagle. Wójt słuchał zimno; miał on też same myśli, ale widział niebezpieczeństwo przyprowadzenia ich do skutku.

— Książę Władysław mężny jest i waży się na wszystko.

— Ale sił nie ma — odparł biskup — tylko te, które mu słabość wasza daje. Wszak niedawno rycerstwa mu brakło i chłopów, a gmin uzbrajać musiał!

— Dziś mu ze szczęściem druhów przybyło — rzekł wójt. — Wiemy z pewnością, iż kasztelan Wierzbietą, wojewoda, pan ze Żmigroda, sandomierscy oba, a i pod boki waszym kanonik Klemens, kanclerz, tajemnie mu są oddani.

Nie musiało to być nowiną dla biskupa, bo kanclerza głową potwierdził i dodał:

— Co do kasztelana i wojewody — wątpliwe jeszcze!

— A! niema już wątpliwości! — odezwał się wójt. Zamilkli, patrząc na siebie. Biskup, widząc, że Albert na ostatnie czeka słowo, dorzucił:

— Nie śpieszcie się! Dopóki Czechy na zamku, — nowego pana nie szukajcie. Korona czeska nie zostanie bezpańską. Wybiorą prędko króla nowego, lub której z pozostałych niewiast dadzą męża... z możnego domu... Naówczas upomną się Czechy o polską koronę, a wasz Mały może znowu pójść na wygnanie.

Ostatnie wyrazy biskup dokończył cichuteńko, ale z uczuciem; widać było, że życzył sobie tego, co prorokował.

— Ten mały Łoktek — dodał żywiej — wiecie, co on znaczy? Oto z nim jego Polacy, co mu się zasłużyli, przyjdą tu i posiadą wszystko. Wiecie, jak oni Niemców kochają, jak im zazdroszczą! Złe czasy dla was nastaną. Książę ten nigdy nic nie miał, wojna wpędziła go w długi, któż, jeśli nie my i nie wy płacić je będziemy? Mieszczaństwo i dobra duchowne!

Westchnęli oba.

— Czekajcież! Nie śpieszcie — dodał Muskata. — Czechy nad wami siedzą! Zawsze czas bramy otworzyć... On na miasto i zamek razem ważyć się nie może... to nad jego siłę!

Krótką chwilę trwała jeszcze urywana rozmowa.



Biskup, wypowiedziawszy, co myślał, nie nalegał już, ochłódł, z rezygnacją patrząc na przyszłość. Albert pożegnał go, niosąc swym towarzyszom radę, z którą mieszczenie na ratusz poszli, rozdzieliwszy się w podwórzu, aby ich stąd kupą idących nie widziano.

Dzień już był biały.

Muskata szedł, zabierając się dopomnieć o posiłek ranny, gdy zapukano. Zdziwił się i zarumienił nieco pasterz, widząc wchodzącego kanclerza, Klemensa, o którym tylko co była mowa.

Kanclerz postawą i twarzą stanowił zupełną sprzeczność z Muskata przygnębionym, ściśniętym, przestraszonym. W sile wieku, pięknego oblicza, z czołem wyniosłym i łagodnym wyrazem na ustach, ks. Klemens śmiałym był i pewnym siebie. Nic nie krył w sobie, nie potrzebował nic tać, przynajmniej twarz jego otwarta żadnego wysiłku po stłumieniu myśli i uczuć nie okazywała.

Biskup przywitał go z uprzejmością tem większą, że nie była szczerą, chciał nawet okazać się wesołym, choć nagłe zjawienie się kanclerza mocno go zaniepokoiło. Wskazał mu siedzenie, poczynając rozmowę od pory wilgotnej i rzeczy obojętnych.

Ks. Klemens usiadł. Muskata domyślał się, że nie przyszedł bez celu, przeczuwał, że zagał sprawę Łoktka. Nie rad był temu. Zawołał na ochmistrza o winną polewkę. Czekał czy co nie przeszkodzi niemiłej rozmowie. Kanclerz nie śpieszył z jej rozpoczęciem. Dopiero, gdy służba odeszła, odezwał się nagle:

— Mówią o smutnym losie młodego króla, Wacława... Pewnie ojcu naszemu jest to wiadomem.

— Mówią... tak... powiadają — rzekł Muskata. — Ja temu jednak nie wierzę. Są ludzie, którym takie wieści na rękę... Młody pan nie miał jeszcze czasu narażać się nikomu.

— Rozpustnym był — otwarcie odparł Klemens. Biskup pił polewkę, oczu nie podnosząc.

— Jeżeli Czechy wyjść stąd będą miały — dodał kanclerz — a pan nowy, nasz własny, przyjdzie objąć

panowanie nad nami, my się na to skarżyć nie będziemy.

— Dla nas — wtrącił biskup sucho — wszelki pan, który władzę Kościoła szanuje, ktobykolwiek był, równie dobry.

— Ale ziemie nasze wszystkie — dodał kanclerz — oglądają się na Władysława.

Patrzył na biskupa, który nie drgnął i szepnął obojętnie:

— Wszystko w ręku Boga! Wola jego święta.

— Bóg też doń serca ludzkie nakłania — rzekł kanclerz.

Biskup, nie dając odpowiedzi, kubek postawił.

Milczeli chwilę, poczem Muskata, na stół patrząc, obojętnym głosem mówił:

— Nie nasze to są sprawy, ja do nich wcale mieszać się nie chcę, ani na żadną przechylać stronę. Dał Bóg księciu kujawskiemu szczęście, modlić się tak zań będziemy, jak za króla Wacława.

Kanclerz wstał z ławy, nabywszy przekonania, iż się tu nic więcej nie dowie. Znał ogłędność pasterza, a gdy Muskata jakby machinalnie księgę przed sobą leżącą otworzył, okazując, że radby się modlić lub czytać, ks. Klemens, nisko się skłoniwszy, wyszedł.

Nie zatrzymując się we dworcu, okryty płaszczem, natychmiast podążył ku własnemu mieszkaniu, w bliskiej uliczce położonemu. Tu w progu czekał nań mężczyzna, opończą zasłonięty, tak, że mu kołnierz twarz zakrywał, słusznego wzrostu, zbrojny. Pokłonił się, weszli razem do domu, ks. Klemens do izby go wprowadził.

Był to znajomy nam Marcin Suła, wesołej twarzy, śmiejących się oczów. Pocałował księdza w rękę.

— Gonię za miłością waszą dla języka — rzekł. — Czy niema dziś co nowego dla pana naszego? Co od Czechów słyhać? Rychło-li pójdą precz?

Kanclerz się doń uśmiechnął.

— Cierpliwości — odrzekł; — rzeczy dobrze się składają. Niemcy nam jeszcze tylko brózdzą, bo nie-

pewni co im nowe panowanie przyniesie, — wołą przy Czechach stać i do nich się tula.

Ale Czechy w tym spalonym zamku długo się trzymać nie będą mogli! — porywczo zawołał Marcik. — Jam się tam koło nich i kręcił, i podpatrywał. Szopy zaczęły stawiać, wrota trochę ukrzepili, ale ich tam pono i niewielki lik i — serce tracą. Gdyby ich dobrze nacisnąć, na pogorzeliskuby nie wysiedzieli.

— Cierpliwości! — powtórzył kanclerz. — Tymczasem nie macie nic lepszego do roboty, jak Niemców znajomych namawiać, aby prędzej bramy miasta otworzyli.

— Szoldry te właśnie pierwszymi być nie chcą — odezwał się Marcik. — Ja do nich na różne sposoby się cisnę i namawiam... ale ostrożni są.

— Czechy im przecież też niebardzo do smaku?

— Ale naszego małego Panka gorzej jeszcze się boją — ciągnął Marcik. — A może i mają słuszość... bo on ich też niebardzo miłuje — swoich woli...

Tak się rozmowa skończyła, bo kanclerz po pergaminu swe sięgnął, a Marcik wziął to za znak, aby szedł precz. Pożegnał się i wysunął.

Godzina była w owe czasy obiadowa, choć ranna, bo jadano zawczasu. Marcik nierad długo marł głodem; na koniu z Łowczej jadąc, wytrząsłszy się, myślał, gdzieby się pożywić.

Spojrzał w górę na niebo chmurne, chcąc lepiej poznać porę dnia. Ruch też miejski pomógł mu do jej oznaczenia. Ciągnęły na targ ku rynkom wozy wieśniacze, szli piesi, worki dźwigając na plecach, oskakiwali ich przekupnie i przekupki, nie dając się do nich docisnąć ludowi, rwąc i szarpiąc.

Około kramów i jatek, których okiennice już po-  
otwierane stały sparte na kołkach, gromadzili się ranni goście, dobijając o chleb, świeżo pieczony, kołacze, mięso i żywność, na deskach powystawianą.

Głosy przekupek, wyglądających z przyciemnionych okien, rozlegały się szeroko, bo targ nie obchodził się bez słów grubych i przymówek, żartów i przekasów.

Marcik, torując sobie drogę pomiędzy budami, wozami i przechodniami, dążył do dworu, na który partrząc, już mu się oczy śmiały. Stał on niedaleko domostwa pana Pawła z Brzega, a miał też od ulicy dwie ławki otwarte. Ale na te Marcik ani spojrział, choć w nich się mógł pożywić i prosto wszedłszy w podwórze, skierował się do sieni i izb od ogrodu, w których słychać było rozmowę głośną i śmiechy.

Namarszczył się nieco Suła, stanąwszy u drzwi, ale odwagi nabrawszy, popchnął je i wszedł rażno do środka.

W izbie stół był zastawiony, na nim ucztwoła dwóch biesiadników, dalej na ławeczce u okna siedząca Greta strojna uśmiechała się do nich, a w kącie na stolku niskim trzymał straż Kurcwurst, czerwono przyodziany.

Było to mieszkanie wdowy. Właśnie tu obiadować skończono, a dwaj spóźnieni, jak Marcik, goście dzbankiem się pocieszali. Rozmowa, śmiechami przerywana, toczyła się między gospodynią a nimi. Jeden z nich Czech, drugi Niemiec, oba młodzi, oba strojni, oba zazdrośnie na nią patrzący, niezbyt pono radzi byli trzeciemu, który wchodził, gdy i tak każdy się towarzysza życzył pozbyć.

Gospodynię zdawało się to bawić.

Czech Mikosz nie był bardzo urodziwy, ale świetnie zbrojny a odziany. Znać było po nim, że się chciał niewiastom podobać, bo i suknię miał wyszywaną bogato, i u zbroi łańcuszków siła więcej dla oka, niż potrzeby. Płaszczyk kusy, który mu się z ramion zesuwał, szafirowy, malinowe miał podszycie, na palcach rycerza błyszczały pierścienie grube, złote udające. Poczciwa twarz jego, szeroka, duża nie była piękną, ale młodą, świeżą i męską.

Niemiec też jego wieku, z małą bródką jasną, smukłą, chudy, nie miał na sobie żelaza ni zbroi — nóż tylko u pasa. Rycersko nie wyglądał, ale śmiało patrzył, jak człek, co w pewną siłę wierzy i nie lada jakim się czuje. Łańcuch, który na szyi miał, więcej może

był wart, niż całe uzbrojenie Czecha i świecące na nim blaszki. Oprócz zwierchniego futra, reszta odzieży była na nim ze szczerego jedwabiu.

Czech i Niemiec spierali się z sobą i przycinali sobie wzajem, gdy wszedł Marcik, który, choć postawny i przystojny, z żadnym z nich mierzyć się nie mógł, uboższym i pospolitszym od nich się wydawał.

Niemniej jednak Greta uśmiechała się wchodzącemu, a oba siedzący za stołem, zobaczywszy go, namarszczyli się. Suła miał ten obyczaj, że czy go dobrze, czy źle przyjmowano, twarz zachowywał wypogodzoną, jasną, niewiele dbając o ludzi.

Głową ledwie skłoniwszy dwom ichmościom u stołu, podszedł śmiało do Grety, która tego dnia tak strojną i piękną była, jak zawsze. Na niej nigdy ani znużenia, ani smutku, ni uczucia żadnego nie znać tak było, aby jej pogodne, dziwnie chłodne, lecz promieniejące pięknością oblicze mogło się zmienić i zachmurzyć. Zdawała się bawić i zajmować każdą rzeczą, nie biorąc nic do serca. Ludzie musieli jej być obojętni, chociaż wyzywała ich, bawiła się z nimi, zagadywała każdego, nie gardziła nikim i lubiła pomnażać liczbę swych niewolników.

Czech przychodził tu prawie codziennie, Niemiec Wurm, imieniem Balcer, nieustannie się z ożenieniem napraszał. Bywało i innych wielu. Marcik, który ją znał jeszcze dziewczyną, a bardzo sobie upodobał, nie gorzej był widziany od innych, ale i nielepiej.

Stary, okrągły rzeźnik, stryj Paweł, pierwszy jego czeladnik Hans i niezliczona młodzież rozmiłowaną była we wdowie. Po śmierci zabitego w jakiejś zwadzie męża, który był zuchwały i porywczy, nalegała rodzina, aby sobie drugiego wybrała. Greta ruszała na to ramionami i rzadko nawet odpowiadać raczyła.

Byliby ją zmusili może iść za mąż, gdyby nie stryj Paweł, który, miłując dziewczynę, choć mu wiek i pokrewieństwo myśleć o niej nie dozwalały, rad był dłużej z praw opiekuna korzystać.

Ona też, robiąc z nim, co chciała, nie śpieszyła sobie szukać pana. Majątek wszelki w dworzyszczach, placach, domach i pieniądzech miała znaczny, wyprawę bogatą, co tem więcej przywabiło ludzi, ale Greta nad wszystko przenosiła swobodę.

Używała zaś jej tak, że choć wcale od ludzi nie stro- niła, nikt na nią złego słowa powiedzieć nie mógł. Kurcwurst pół sługi, pół błazna, jak za królową, cho- dził za nią wszędzie.

Gdy Marcika ujrzeli siedzący za stołem, zajęci ży- wą rozmową, przerwali ją w sposób znaczący, on zaś, zbliżywszy się do Greta, siadł przy niej na ławie i po- cichu, śmiejąc się, poufale rozmawiać z nią zaczął.

Czechowi i Niemcowi był zarówno nie miłym go- ściem. Oba oni dosiadywali tu, chcąc jeden drugiego przetrwać i zostać sam na sam z wdową, tymczasem Marcik szyki im i rachubę pomieszał. Stało się tedy, że oba z jedną myślą wstali i żegnać się poczęli. Wdowa ich nie zatrzymywała. Kurcwurst wstał i zabawne ro- biąc miny, pozdrawiał ich, długimi rękami machając.

Marcik, patrząc za nimi, gdy wychodzili za drzwi, taką twarz ułożył, że Greta uśmiechnęła się z niego; rad bardzo się ich pozbywał.

Lecz radość ta krótko trwała, gdyż ledwie zwró- ciwszy się do gospodyni, zwykłą zawiązał z nią rozmo- wę, gdy już w progu posłyszał kroki i ukazał się Paweł z Brzega.

Zasepiony był i spotniały mimo chłodu. Naprzód więc okrąglą i świecąca twarz ocierać zaczął, potem skłoniwszy się Grecie, siadł co rychlej.

— Co nowego? — zapytał Suła rajcy.

— Codzień ani świeżego mięsa, ani nowin mieć nie można — odezwał się Paweł. — Nowego? nowego nie- ma nic. Wiemy tylko, że Czechy się krzepko trzymać myślą, a słyhać, że z Pragi Paweł z Paulsztynu je- dzie tu na wielkorządy. Mówią o nim, że człowiek ma być rozumny, a nie tak, jak Boskowicz, gwałtowny i srogi.



— No! no! Czechy! Czechy! — rozśmiał się Marcik lekceważąco. — Pókiż tych Czechów będzie? Jam myślał, że bodaj pan Wierzbietta, albo pan ze Żmigroda zamek obejmie.

Spojrzał na Pawła, okazującego mu rękami, że do tego bardzo jeszcze było daleko.

Greta słuchała z uwagą, spoglądając to na stryja, to na Marcika.

— E! — rzekła żartobliwie — do wiosny się to wszystko przecie skończy; z bocianami Polacy przyłecą.

— Jabym wolał, — zaśmiał się Marcik — żeby sobie Czechy z gęsmi teraz odleciały.

Paweł milczał, patrzył na synowicę, która w rączkach chustkę kręciła, a bystremi oczyma strzelając, obu ich trzymała na uwięzi.

— Niechno śliczna Greta — ozwał się Marcik — powie panu Pawłowi, że nasz mały ksiązę wart, aby mu się tak nie opierano. Mieszczanom nagrodzi sownie, gdy mu powolność okażą. Drażnić go znowu i jątrzyć nie radziłbym nikomu.

Greta w istocie zdawała się brać stronę Marcika; pokazała białe żabki i rzekła:

— Tych małych człowieczków zawsze się najwięcej bać potrzeba. Nie wiedzieć, co to jest, ale Pan Bóg im siły i rozumu więcej, niż dużym, daje. Z siłą i rozumem to bodaj, jak z piwem; póki miarka go jest — mocne, wody podlawszy, robi się półtorej lub dwie, ale cienkusz.

Paweł dziwował się i cieszył porównaniu i rozmowi.

— Różnie bywa — dodał, — są i olbrzymy silne.

— No, a ja karłów gorzej się boję — mówiła Greta. — Ten Łoktek, to czarodziej... Gdy mu się już udało, nie mając ani ludzi, ni pieniędzy, tyle kraju zdobyć, dostanie się i do Krakowa.

Rzeźnik spojrział na synowicę, czy istotnie myśla-

ła to, co mówiła, czy sobie z Marcika żarty stroiła. Wdówka powtórzyła raz jeszcze swoje. Marcik zbliżył mu się do ucha i spytał:

— Cóż więc? Co?

— A nic... To jest, com mówił — odpowiedział Paweł. — Pierwsi być nie chcemy.

Pochylił się do ucha Suły.

— Tak starszyzna uradziła.

Suła mu nawzajem szepnął do ucha:

— Starszyźnie wiecie kto to doradził z wielkiej mądrości swej? Ks. biskup Muskata! Ho! ho! znamy go i wiemy, z kim trzyma. Ale choć mitrę ma na głowie, niech się dobrze zawaruje, aby mu ona nie spadła i żeby, jak Paweł, nie siedział w więzieniu. Z naszym panem w kości grać niezdrowo!

Paweł chciał biskupa uniewinnić, ale Marcik go zlekka po ramieniu uderzył.

— Chodźcieście przecie o świcie do niego z Albertem na radę!

Rzeźnik spuścił głowę. Greta, odgadując, o co szło, uśmiechała się.

Suła parę kroków odstąpił, nadrabiając miną, choć widać było, że koniec rozmowy kwaśno przyjął. Siadł bliżej Grety i rzekł żartobliwie:

— Choć mi wszystko naprzekór się składa, tyle mojego, że choć wam w oczy popatrzę. Szkoda tylko, że niedługo, bo mi stąd precz iść przyjdzie.

Rękami okazał, że próżne były, nic nie zyskał. Ona mu znak dała, aby się nadziei nie zrzekał.

W kącie siedzący Kurcwurst, który, gdy nie spał, zwykł się być pilno swej pani przypatrywać, gdy z mężczyznami obcowała, aby odkryć niedocieczoną tajemnicę, patrzył, krzywił się i mówił sobie:

— Któż ją wie? Prosty drab, gołe żołnierzysko, a może go ona woli, niż innych!

Ale Kurcwurstowi po kilka razy na dzień się to przywidywało.

## VII.

Główne siły księcia Władysława, Łoktkiem zwanego, pod Sandomierzem naówczas zgromadzone były. Na zamku, jako tako po pożodze i spustoszeniu polepionym i odbudowanym, mieścił się sam książę, dwór jego i starszyzna.

W nowo także odbudowanem i budującym się w części miasteczku, na pogorzeliśkach tatarskich, — w ogrodach i szałasach, w namiotach i ziemiankach mieściła się zbierana drużyna tego, który się zwał już jedynem, prawdziwem dzieckiem polskiej korony.

Naówczas wojska nawet najzamożniejszych królów i mocarzów nie miały tej, co dziś jednolitości, porządku i szyku — ale wśród ówczesnych wojsk i dworów Łokietkowe różniły się od wszystkich innych wcale osobliwym ustrojem i obliczem. Ludzie, uzbrojenie, twarze, rynsztunki zdradzały najosobliwszą mieszaninę najrozmaitszego pochodzenia tej siły wojskowej.

Oddział Amadajowy, którego tu część stała tylko, składał się z samych Węgrów i najemnych dzikich Kumanów. Lud to był zaciężny, najnieszczęśliwszy, a że go płaca nie dochodziła, plondrujący niemiłosiernie wsie, dwory, plebanje i klasztory. Ani języka ich zrozumieć, ani ich grozą można było powstrzymać. Nie lękali się nikogo, zuchwali byli, a że książę pierwsze im winien był zwycięstwa, nosili się dumnie. Ludzie ogromni, ogorzali, czarno zarośli, głośno krzyczący, rwący się o lada co do miecza — chcieli tu panami być, choć już garść tylko ich się znajdowała, bo resztę Łoktek wysłał na biskupie dobra do Biecha, powoli tych sprzymierzeńców niewygodnych, codzień o żołd mu suszących głowę, starając się pozbywać.

Nietylko Kumani i Węgry dziwnie tu wyglądali i dziko. Reszta pułków także nie lepszą była.

Od granicy Kujaw lud różny w twarzach też jakby jakieś obce plemię zdradzał. Rycerstwa prawdziwego, ze starych ziemian złożonego, a przednio zbrojnego, mało było i to tylko przy osobie księcia; — inne

oddziały połatane były ludźmi prostymi, gminem, po woli czy po niewoli do służby zaciągniętym.

Obóz przedstawiał dość nieporządkny, ale rozległy tabor, podzielony na kilka części, mało się różniących od siebie. Pułków jednego zawołania wedle starego obyczaju, Nałęczów, Toporów, Szreniawów prawie nie było; garstki ich straż trzymały przy panu. Więc i ładu wielkiego w tem mrowisku trudno było utrzymać. Obóz wrzał i kipiał ciągle, a dowódcy, sędziowie obozowi, czeladź — co miała porządku pilnować, nieustannie latała z miejsca na miejsce, bojujących rozbraniając, najczęściej kijami. Darli się z sobą ciurowie za ładu co, bo ludzie byli rozpuszczeni wojną, którym wszystko wolno było, a czuli się potrzebni.

Gdzie niegdzie górą nad daszkami namiotów stał pochylony drąg z chorągwią, z płachtą, ze znakiem jakimś, pod który gromadzili się ci, co do jednej kupy należeli.

A niełacno było wśród tego natłoku własnego często wyszukać legowiska. Krzyżowały się i wily ścieżyny na wsze strony, płacząc z sobą tak, że nie jeden się, chodząc po nich, obłąkał. Hukano też, nawoływano, trąbiono, jak w lesie.

Niektóre oddziały dla zwoływania się postawiały sobie deski, wiszące na kołach, w które bębniiono kijami, gdy ludzi trzeba było zgromadzić.

Śpiewy, brząkania, kłótnie, śmiechy i narzekania, mieszane razem, stanowiły ów chór obozowy, do którego łączyło się rzenie koni, szczekanie i wycie psów, i jęki pobitych.

Wśród tego zamieszania i nieładu, gdzie niegdzie, lepszy namiot dowódcy, ludzie dostatniej odziani, wetknięte włócznie, wozy kute domyślać się kazały ziemian. Co naprzód do Łoktka przystało — mężne było, porywcze, ale w większej części niedostatnie. Moźniejsi czekali jeszcze, teraz dopiero zwolna się garnąć zaczęli.

Nie mógł książę dostarczać żywności ludziom swoim, ratowano się więc od głodu i pragnienia obyczaj-

jem ówczesnym. Codzień wychodziły oddziały picowników, brały, co napadły, nie pytając czyje. Jesienią rzucono się naprzód na dziesięciny i na dobrze nabite brogi plebanów a stodoły klasztorne.

Blżej ku zamkowi stały coraz pokaźniejsze siły, większa część ziemian, których wodzowie już do Łokta przystali i wiedli za sobą ludzi własnego zawołania. Tu też trochę ciszej było, gdy od miasta i błonia zdala nawet dochodziło ciągle warczenie, jakby woda wrzała.

Pod zamkiem widać było ludzi, konie pańskie, u namiotów nie jedno pacholę, czyszczące zbroję połyskliwą, trzepiące szaty, krzątające się około kociołka. Tu odartej gawiedzi obu płci mniej się kręciło, bo ją wysmugiwano precz, obawiając się złodziejstwa.

W dworach i wielu chatach miejskich siedziało przedniejsze rycerstwo, bo mieszczenie mieć je woleli dla opieki od zuchwalstwa ciżby obozowej. Tu też stały znaki na tyczkach, aby się nie wparł lada kto nieproszony.

Na samym zamku siedział książę, ale zamczysko po zniszczeniu zaledwie jako tako było polatane. Kawały starych murów, poczerniałe od ognia, stały samopas, wśród nich naprędce pobudowano szopy i stajnie. Wał i tyny były sprawne, wrota nowe i mocne, wewnątrz więcej rumowisk, niż budowli.

Wielką też wspaniałością pan się nie otaczał; dwór i czeladź dla oka ludzkiego czysto, ale zprosta i niewykwintnie były przyodziane. Łoktek o świetność nie dbał, na zaciągi wszystkołożył. Brał, gdzie mógł, dla siebie wiele nie potrzebując, na sprawę swą ważąc ostatek. Miał tylko to, co mu przyjaciele przynosili. Ten koni kilka, ów uprząż, inny coś z sukna i szat, tamten broni, mało który grosza nie ofiarował; szło i im teraz o to, aby przyszły pan niezbyt się ubogo na świat okazał.

Skarbnik tam wprawdzie niewiele miał do czynienia, bo ledwie gdzie chwycono trochę pieniędzy, wnet niemi Węgrom, Kumanom i innym gęby trzeba było zatykać. Miał już naówczas książę Władysław kancle-

rza, podkomorzych, kapelana, komorników, dwór, jakiego potrzebował, lecz występować nie było z czem, bo w tem wszystkiem zbieraninę widać było.

Przyszła wielkość tego, co się dobijał korony, widomą jeszcze nie była, — lecz kto wszedł do izby, w której małe książątko siedziało na ławie u stołu, z gruba od siedzenia wyciosanego — popatrzwszy i posłuchawszy niepozornego człeka, czuł, że w nim siła mieškała wielka. Niczem on nie oślepiał, nie chwalił się, a szedł z taką wiarą w zwycięstwo dobrej sprawy, że i innym o niem wątpić nie dopuszczał.

Było to nad wieczór. Łoktek dowódców i urzędników swych zgromadził do siebie. W pośród nich stojąc, drobny człek, odziany w zszarżany kaftan, z włosami rozrzuconemi, z brodą pomietą, oczyma bystre — panował przecie. Gdy się odezwał głos jego, milkli wszyscy, — oczy otaczających nie schodziły z niego. Z całego zgromadzenia tego on najmniej napozór był widnym, a do niego, jak do ogniska, zbiegało się, co tu żyło.

Spojrzawszy na wchodzącego, posłyszawszy słowo, wnet zgadywał, o co chodziło — odprawiał krótko i stanowczo. Rąbał jak siekierą tem, co rzekł; sporu nie znosił. Gdy brwi ściągnął a stanęły mu dwa fałdy do góry między niemi — nie było mu się co sprzeciwiać.

Stał właśnie pomiędzy Wierzbietą a Wojciechem ze Żmigroda, u boku mając Klemensa, kanclerza, tylko co przybyłego z Krakowa z sędzią Smilem — i naradzał się z nimi, gdy głośno wołając, wpadł nagle, drzwi rozwarłszy, poruszony mocno, mąż średnich lat w sukni duchownej.

Nim zrozumiano z czem szedł, Łoktek się domyślił, że skargę niósł. Gniew, żal, rozdrażnienie — buchały z niego. Ledwie się skłoniwszy, ręce do góry podniósł i krzyczeć począł:

— Sodoma i Gomora, miłościwy książę! Karę niebios na siebie ściągniecie! Tak samo tu sobie wasi poczynają, jak niegdyś w Poznaniu! Komorę mi odbito, chlewy wypróżniono, służebne pokrzywdzono... konie



ze stajni uprowadzono. Gwałt — rabunek własności kościelnej!

Zadyszany księżyna zakaszlał się.

Książę stał spokojny, dając mu się wylać z gniewem; księdzę, który go tak obojętnym ujrzał, zimna krew Łoktka jeszcze mocniej poruszyła.

— Najazd tatarski! — zawołał. — Dzicz! poganie! Świątynie pańskie i sługi nie poszanowane!

— Uspokój się, mój ojczu — rzekł Łoktek. — Nie ma na to rady! Wojna ma swoje prawa, żołnierz mój mrze z głodu. Nagrodzę wszystko, dziś wy, jak ja, cierpieć musicie.

Ksiądz podniósł głos i już miał wołać:

— Anathema! — gdy kanclerz Klemens z powagą wystąpił przeciwko niemu.

— Ojczu kochany! — rzekł. — Książę, gdyby pragnął nawet, nie może nic. Ściąga się lud, jeść musi, dostarczyć mu chleba trudno. Wojna nie potrwa długo, krzywdy się nagrodzą.

— Nietykalna, święta własność kościelna, na którą się sprośne ręce rzucają! — przerwał pleban.

— Kościołowi straty jego się powrócą — rzekł książę spokojnie. — Bylebyśmy się Czechów pozbyli, kraj oczyścili i ład przywrócili.

— Czech nas tak nie łupi! — dodał klecha.

Ks. Klemens, prawie gwałtem go na bok odwiódłszy, ułagodzić usiłował i uspokoić, gdy przez drzwi, które otworem zostały, ujrzał Łoktek twarz jakąś — drgnął i zapomniawszy o plebanie, pośpieszył do progu.

Tu stał zabłocony cały, ledwie z konia zsiadłszy, Marcik. Zdala do swojego pana, a on do niego miłościwie się uśmiechał. Książę, na innych nie zważając, wyszedł do bocznej izdebki, w której ubogie leżało posłanie i w kącie stało trochę oręża.

— Z czemżeś tu przygnął? — zapytał. — Pewnie dobrego nie przynosisz mi nic. Ot ks. kanclerz także z Krakowa przybył ze Smilem i nic — tylko jakieś niepewne obiecanki. Cóż mieszczanie?

— Mieszczanie, miłościwy książę — żwawo począł

Marcik, — wszystko prawie Niemcy, Niemiec zaś, choćby najlepszy był, chytry jak lis. Na dwóch stołkach siedziećby chcieli.

Wtem przerwał.

— Z mieszczańby jeszcze do ładu się doszło może, ale biskup bródzi, a oni go słuchają. Czechy też ustępować coś nie myślą.

Spojrzał na księcia, który wcale się nie zasepił — słuchał spokojnie.

— Nie miałeś z czem wracać! — rzekł. — Trzeba ci było siedzieć i mieszczań ujmować. Zyskać mi choć kilku, byle było komu otworzyć bramy, reszta musiałaby się poddać. Na to, aby wrota zdali, niewielu potrzeba.

Marcik po głowie palcami przeszedł i pokłonił się.

— Miłościwy panie! — odparł — jednaćbym rad, ale czem? Rozumu ja na to nie mam, kupić ich nie było czem. Na mój język za twarda sprawa. Wolałbym trochę ludzi i żelaza — dalibyśmy prędzej radę, kto wie!

Łoktek poweselał.

— Czekaj ino, ja tam sam pójde — odpowiedział, — gdy pora będzie po temu. Myślę, że niebawem...

Urwał i odwrócił się.

— Nie baw tu — rzekł. — Tyś mi potrzebny tam we środku, w mieście. Obiecuji im, co chcesz, strasz szturmem, a rób tak, aby się bez niego obeszło. Tyś tu mi niekonieczny, a tam pomocny, bo się z mieszczań i mieszczańkami kumasze. Nie bawże, a wracaj!

— Gdyby nie biskup! — wyrwało się Marcikowi. — Za Biecz się podobno sierzdzi, że mu go Węgry plondrują.

— Do biskupa kanclerza pośle — odparł książę. — Ty wytnij tylko i powracaj do miasta. Gdy przybędziesz po kilku dniach niebytności, a pytać będą, mów, że wiesz, iż ciągnę całą siłą na Kraków.

Skończywszy, Łoktek podał Marcikowi rękę do po-

całowania, dobył z kalety na stole garść groszy, wciśnął mu je i wyszedł śpiesznie.

Suła, sprawiwszy się tak żwawo, miał czas odwiedzić dawnych swych towarzyszków, rozglądając się pilno, kto był z panem, kto przybył, kto się nawrócił, bo widział, że siły urosły.

Jak tylko zachwiała się potęga czeska, nie oglądano się już na nikogo, tylko na małego pana. Korona Przemysławowa i Wacława jemu należała. Ze wszystkich ziem coraz gęściej nadjeżdżało rycerstwo, choć niektórzy niebardzo jeszcze widzianymi być chcieli. Ludzi przybyło.

Gdy z zamku od góry, spojrzął Marcik na szeroko rozciągnięte obozy, a w myśli sobie liczyć począł, ile tam być mogło głów — serca mu przyrastało.

Tymczasem w izbie książęcej trwały narady, coraz nowi zgłaszali się sprzymierzeńcy. Wśród nich jednym z najznacześniejszych a najpożądańszym był Wincenty z Szamotuł, możny ziemianin z Wielkopolski, którego się tu nikt nie spodziewał, a wszyscy witali z pociechą wielką. Mąż był w sile wieku, znany z cnót swych rycerskich, niepomniernie żądny czci, dostojęństw i mienia.

Tego Wierzbięta przywiózł księciu, polecając jak człowieka, który mógł mu Wielkopolskę pozyskać.

Na pierwsze wejrzenie widać w nim było dumnego panka, krwi gorącej. Nigdy on jeszcze Łoktka nie widział wprzód i wszedłszy, zdumiał się wielce niepozornej postaci. Sam on wybrał się do obozu prawie po książęcemu, aby okazać, jak możliwym był. Wśród tego szarego dworu wyglądał dziwnie w szatach barwnych i błyszczących.

Wszyscy przypatrywali mu się, gdy w kilku słowach ofiarował posługi swe księciu.

— Rad wam jestem tutaj — odezwał się książę, — a wdzięczniejszy jeszcze będę, gdy tam sprawę moją popierać zechcecie, gdzie ja się wielu przyjaciół nie spodziewam. Pamiętają mi tam przeszłe czasy... za którym odpokutował...

Wincenty mało co mógł odpowiedzieć i przyrzekać nie śmiał wiele, bo wiedział, że w Poznaniu rychlej Ślęzak znajdzie sojuszników, niż Łoktek, którego się duchowieństwo obawiało.

Księciu dosyć było krótkiej chwili rozmowy i wejścia, którem sięgał w głąb każdego łąco, aby w pańcu z Szamotuł poznać człowieka, którego nadzieją władzy i dostojęstwa mógł sobie zjednać.

Wziął go na osobność, posadził obok siebie i czcząc, a poufałość mu okazując, wkońcu mu szepnął:

— Jednajte mi ludzi u siebie. Jeżeli tę ziemię z pomocą waszą zdobędę, a jest mi ona dla całości korony mej potrzebna, i w niej gniazdo nasze... możecie się spodziewać wdzięczności. Wielkorządów nie dam nikomu, tylko wam!

Czy w istocie myślał Łoktek tak wspaniale nagrodzić przybysza? — on sam tylko wiedział! — ale słowem tem ujął go sobie.

Wielkopolski potrzeba mu było. Korona Przemyśława leżała w Gnieźnie, a Gniezno w tej ziemi, którą Wincenty miał dlań pozyskać.

Godzin parę przesiedział na rozmowie z nim, aż do wieczery, do której zasiedli w wielkiej izbie... Uczta była nie pańska, a żołnierska, na drewnianych misach, z kubkami glinianymi. Srebra tam nie można było spotkać, z czego się sam książę wyśmiewał pierwszy, żarty strojąc z ubóstwa swojego.

Podczaszy, ubodnięty, dobył jedyną czarę pozłocistą, jaka była, a książę w ręku ją podniósł do góry, aby wszyscy widzieli.

— Tak mnie moje żołnierstwo objadło — rzekł, śmiejąc się, — iż mu Mieczyn ledwie jedną tę odkradł jakimś cudem. Ale w Krakowie złotników siła!

— A w Olkusz srebro znajdziemy! — dodał wesóło Wierzbęta.

— Jak ja, tak i żona moja — dodał Łoktek, — nawykła do prostych szat i ubogiego sprzętu w Radziejowie, nie będziemy więc dla siebie wiele potrzebowali od nikogo.

Sędzia Smił ozwał się z pokłonem, że ziemianie chętnie dla swego pana po kubku się złożą.

— Dla mnie tego nie potrzeba — odparł Łoktek, — byłem miał czem ludzi opłacić i stało na zaciągi nowe, bo mamy do oczyszczenia wiele kątów i do odzyskania dosyć, — a i Czechy po zamkach jeszcze siedzą.

— Brandenburgi z Sasami na granicy — dorzucił ktoś zboku.

— Na tych krzyżacy pomogą — rzekł Żegota, — bo oni się z sobą niebardzo godzą.

— No, a na krzyżaków kto? — przerwał Wierbięta, — bo i ci nam straszni. Na Pomorze się cisną gwałtem, chcąc je nam odebrać.

— Na Boga! nie dajmy im go! — zawołał książę. — Najdroższy to nam kraj, przez który do nas wrota ze świata i na świat wiodą.

— Nie damy! — powtarzali inni.

Ciągnęła się tak przy wieczerzy mowa o wszystkim. Wincenty z Szamotuł badał oczyma tego pana, któremu przybył usługi swe ofiarować — on też spoglądał nań i można było posądzać, iż się wzajem lękali siebie, choć czuli się sobie potrzebni.

Gdy się szerzej rozgadano o wojnie, o prowadzeniu jej, o nieprzyjaciołach, jak przeciw któremu występować i walczyć z nim przystało, Łoktek się dopiero ożywił i twarz mu się wyjaśniła.

Bliżej krzyżaków i Sasów siedzący pan z Szamotuł odważył się wyrzec, iż wojsko polskie wiele potrzebowało jeszcze, nimby się z nimi mierzyć mogło.

— A mierzyliśmy się przecie z niegorszymi od nich Czechami — rzekł książę, — i biliśmy ich całę niezgorezej. Wy, coście ludzi moich nie widzieli w boju, nie znacie ich. Niepozorna to gawiedź, ale głosu mojego słucha i jak drapieżny zwierz pada na wroga.

Wincenty się uśmiechał.

— Niema lepszych żołnierzy — dodał Łoktek, — jak głodni i obdarci. Niejednemu żal pięknej zbroi i dostatku, gdy go ma. Moi wszystko zdobyć się spodziewają, a do tracenia nie mają nic.

Tak do nocy zabawiano się opowiadaniem różnych przygód wojennych, poczem każdy szedł, gdzie mógł kąt znaleźć dla spoczynku, a pan z Szamotuł do osobnego namiotu, który sobie rozbić kazał, bo już innego miejsca dlań nie było.

Kancelarz Klemens sam z księciem pozostał.

— Winszujcie mi, ojcze — odezwał się Łoktek, — znaczna ryba weszła w sieć moją. Cieszę się tym Wielkopolaninem.

— Byle nie zawiódł nadziei waszych — rzekł kancelarz. — Ja go nie znam, a ludzie o nim mówią różnie. Można jest, rodu znacznego, ale wiele też pragnie i drogo się płacić każe.

Ksiązę zdanie to potwierdził głową, nie okazując, by się lękał.

— Ja się w nim dumy nienasyconej boję — dodał ksiądz, — bo ludziom pysznym a władzy chciwym nigdy niedosyć.

Ks. Klemens miał wracać do Krakowa, żądał więc poleceń i rozkazów, na co Łoktek krótko mu odpowiedział:

— Kraków wziąć można, czyńcie co można, aby mi go dali bez rozlewu krwi. Niewiele on wart sam, ale w mieście są Niemcy zamożni, a jam grosza żądny. Na Wawelu siedzi moc niewidzialna, która, gdy go posiedę, da mi inne ziemie.

Nazajutrz rano w orszaku swym ujrzał ks. kancelarz wesoło jadącego Marcika, który, pokłoniwszy mu się, oświadczył, że z rozkazu pańskiego w jedną dążąc stronę, za straż bezpieczeństwa służyć mu gotów.

## VIII.

Rynek krakowski w dni nawet powszednie w pewnych godzinach bywał bardzo ożywiony; nazajutrz po przybyciu Marcika do miasta przed południem trudno się tu było przecisnąć, trudno rozmówić wśród zgłębku i wrzawy.



Na ratusz ciągnęli panowie rajcy z dwoma wójtami, którzy wójta wielkiego, dziedzicznego pana zastępowali; do Dyngusza szli ławnicy i ci, co sprawy do nich mieli; z towarami wieziono się do wielkiej i małej wagi miejskiej, lub stojącej. Niemało ludzi gromadziło się w piwnicy ratuszowej, gdzie najlepsze piwo świdnickie szynkowano. Ale najwięcej pono śpieszyło do ławek, sklepów, straganów, jatek i kramów, które dwoma długimi rzędami, jakby małą ulicę tworząc, szły przez rynek ku ratuszowi i dotykały doń prawie.

Tu się skupił cały ówczesny ruch handlowy, który z jednej strony sięgał aż do Flandrji, do Włoch, z drugiej do dalekiego Wschodu. Im prostsze były wyroby kraju, tem większa obcych potrzeba. Kupcy zyskiwali najwięcej na sprzedaży tu właśnie, gdzie to, co przywieźli, osobliwem było i pożądanem.

Wszystkiego tu dostać było można, czego dostarczyło Bizancjum przez Sycylję i Wenecję, począwszy od najdroższej purpury, sametów (aksamitów), aż do pospolitej fryzy wełnianej, od najdroższych futer — aż do najcieńszego płótna i rąbków. Można tu było kupić tkaniny do kościoła na ornat i do domu na opończę, i pierścień dla narzeczonej i myśliwską trąbkę z kości słoniowej, i buty myśliwskie i chleba kawałek.

Wszystko to, szczególnie cenny towar, nie pokazywało się najaw, jak dzisiaj, nie ogłaszało, aby nie obudzić łakomstwa i nie narazić na żdzierstwo. Chowano najdroższe rzeczy po skrytkach, ale usłudźni pośrednicy wiedzieli, dokąd kupującego prowadzić.

Targ o każdą rzecz naówczas inaczej się odbywał; kupowano na długie trwanie, z rozmysłem, spierano się długo, rozpatrywano bacznie, o cenę umawiano uparcie, tak, że w ulicę, dzielącą sklepy, żwawe często odbywały się sceny, gdy kupujący już odchodził, a czeladź sklepowa niemal gwałtem nazad za rękawy go do siebie ciągnęła.

Gwar nie dawał się tu dobrze rozsluchać, bo ówczesne przekupki były już tak wymowne i krzykliwe, jak

dzisiejsze, a swoboda mowy większa. Dowcipkowano, drwiąc sobie gwoli słuchającej gawiedzi.

Mała ta, ciasna uliczka, którą często ciężkie wozy kupieckie zawałyły, bo dla bezpieczeństwa zajeżdżały tu, i nim towar złożyły, albo go się potem pozbyły — malowniczą była jak bazarzy Wschodu.

Niewiaś też, jeśli nie do kupna, to dla ciekawości przewijało tu się mnóstwo, a za niemi młodzieży.

Sąsiedztwo piwnicy ratuszowej, z której wychodzili podchmieleni, ratusza, w którym rajcy zasiadali, sądu, wagi, kilku łaźni w rynku i kilku browarów, czyniło uliczkę tę sukienników, a raczej gospodę kupiecką, niezmiernie ludną przez dzień cały.

Piękna Greta właśnie była weszła w tę uliczkę ze swym Kurcwurstem, którego całe miasto znało. Rozumie się, iż wdówka, gdy się raczyła na świat wychylić, starała się swą pięknnością pochwalić, a stroiła się jak najwytworniej. Oczy też wszystkich, szczególnie ludzi stanu rycerskiego, ciekawie się ku niej zwracały, nie wiedząc, co sądzić o tem zjawisku.

Szła zwolna, jak swobodna pani, która się śpieszyć nie potrzebuje, pragnie się rozerwać, a nie jest zbytnio ciekawą.

Kupcy z za okiennic witali ją słówkami, a że wiedzieli, jak lubiła stroje i fraszki różne, i jak bogatą była, kusili ją różnemi pięknymi rzeczami.

Sklepowa czeladź goniła za nią łakomemi oczyma, umiała bowiem tak iść, że niby nie dbając i nie myśląc o tem, całą swą piękność okazywała w świetle najkorzystniejszym.

W miarę, jak się uliczka posuwała w głąb ku ratuszowi, coraz większa liczba ciekawych sunęła za nią, Kurcwurst szedł z komiczną powagą, laską swą przed panią ciżbę rozpędzając.

Pierwszy, który się ośmielił wprost zbliżyć do niej i pójść za nią, był Balcer Wurm. Właśnie jego sklep jedwabiów mijała, gdy zdawszy go na pomocnika, wyszedł, witając Gretę. Chciał ją też do siebie zaprosić.

W chwili, gdy się może weselsza zawiązać miała

pogadanka, nadbiegł pędem od ratusza, rozbijając ludzi, Czech Mikosz, któremu ktoś musiał podszeptać o Grecie. Śpieszył ją tu powitać i innym do zalecania się przeskadzać.

Idący też od ratusza okrągły stryj, Paweł z Brzega, zoczywszy synowicę, mrugając na nią zdala, przysunął się, chcąc się ucieszyć choć spojrzeniem na nią, bo szedł bardzo posępny i skłopotany. Lecz, zobaczywszy swą ulubioną, już się uśmiechał i policzki ocierał.

Zaczynał się jakby dwór około Greta gromadzić, gdyż i Marcik znalazł się koło niej, wyszedłszy z którejś budki, gdzie coś targował.

Ze wszystkich, co ją otaczali, ściskając się dokoła, on, jeśli nie z postawy, bo ta była piękną, to z powierzchowności wyglądał najmniej dostatnio i możnie.

Greta pomimo to i jemu się dobrotliwie uśmiechnęła, tak łaskawą była dla wszystkich. Spytała go nawet, kędy tak długo bywał, że go nie widziała.

— Na łowym jeździł! — odparł Marcik figlarnie.

— No, a przywieźliście z nich jaką zwierzynę? — spytała dwuznacznie.

Marcik więcej może odpowiedział oczyma, a usta rzucił obojętnie:

— Łowcowi chwalić się nie godzi, bo mu nie wierzą, alem ja zawsze rad temu, co mam.

— Rad? — powtórzyła Greta.

Marcik potwierdził to uśmiechem. Drudzy chmurono nań patrzyli, zazdroszcząc rozmowy z wdową.

— Dalekoście jeździli? — pytała.

— Powiślem w górę — rzekł Marcik, głos zniżając; — tam zwierza dosyć!

— Jeżeliście w naszym miejskim Chwacimiechu polowali — przerwał mu Paweł półzartem, — strzeżcie się, aby was tam straż ziemską nie pochwyciła. My, krom księcia, nikomu łowów nie dopuszczamy.

— Choćbym i w Chwacimiechu był — rzekł Marcik, żartując, — kawał go też do panien zwierzynieckich należy, a panny same nie myśliwe, — nie powiedzą mi nic.

— Hm! — bąknął ktoś z boku, — coś tak śmiało o klasztornych lasach i ziemiach mówicie, jakbyście po nich z Łoktkiem plondrowali!

Marcik się rozśmiał dobrodusznie.

— Nie mówcież bo o nim, abyście wilka z lasu nie wywołali — rzekł. — Nuż Łoktek do Chwacimiecha zawita i Krakowowi będzie strach.

— Czego? Ho! ho! Łoktkowych żołnierzy borych! — przerwał Czech Mikosz dumnie. — Obronimy od nich miasto łatwo, bo to gawiedź, na którą włóczy nawet nie trzeba, kija dosyć.

Zapłonął Marcik jak wiśnia, gniew mu na twarzy zadrgał, ale na Gretę spojrzawszy, pohamował się.

— Ja tam nie wiem — przebąknął, — jacy są żołnierze małego księcia, ale przecież oni was silnych powyganiali z Wiślicy i z Lelowa i z innych gródków! Nim miasto bronić będziecie, myślcie lepiej o sobie.

— O nas się wy nie bójcie — zamruczał Mikosz, rzeško poprawiając hełmika i ręką bijąc po mieczu. — Gdyby tego, co jest, za mało było, z Pragi przyciągną posiłki.

Marcik, nic na to nie odpowiadając, rzucił bystre wejrzenie na Czecha i po chwili dopiero dodał:

— Nim co do czego przyjdzie, nie poszlibyście ze mną do piwnicy napić się piwa lub miodu? Sam czas po temu?

Dziwne to zaproszenie najbardziej zdumiało tę, która popatrzyła znacząco na mówiącego, a potem na Czecha. Nie chciało mu się odchodzić od wdowy, a do kubka słabość miał wielką.

Inni stali milczący.

Marcik wskazywał w stronę piwnicy. Wahał się jeszcze Mikosz, gdy Greta, jakby nie chciała im stać na zawadzie, na stryja Pawła skinąwszy, uszła im prędko ciasną uliczką, która między dwoma kramami w głąb wiodła.

Nie zwróciła się już nawet do Czecha, który, urażony tem lekceważeniem, odwrócił się do Marcika, tak

uprzejmie go zapraszającego, i zbliżywszy się doń, poszedł z nim razem.

Przed piwnicą ratuszową o niskich drzwiach, więcej dla zwyczaju, niż z potrzeby, powiewała zielona wiecha sośniny na krążku, z muru wystającym.

Koło drzwi stało dużo ludzi. Z piwnicy samej dochodził gwar. Ścisk tu był znaczny około stołów, po bokach i wpośrodku. Około beczek, za przegrodą z balas, dwie szynkarki, szynkarz i dziewczka otyła z zakasaniem rękawami, z podpiętym fartuchem, ledwie radę sobie dać mogli, aby gościom starczyć, rozdając im spore gliniane kubki.

Wrzawa była wielka.

Marcik musiał jednak mieć tu pewne zachowanie, bo i miejsce w rogu stołu dla Czecha znalazł i skinąwszy na dziewczynę, kubków się rychło doprosił. Czech, w boki się podparłszy, po piwnicy się bacznie rozglądał.

— Nie dziwujcie się, żem was, niewiele znając, zaprosił — odezwał się, przysuwając się doń, Marcik. — Jam też dawniej służywał wojskowo. Choć mi za złe mieć możecie, że ja się około Grety kręcę, pono tam z nas jeden drugiemu niewiele zaszkodzi. Niewiasta jest, co się równie do wszystkich uśmiecha, ale ich lekceważy.

Posłyszawszy o Grecie, Mikosz poweselał; pocziwa jego, szeroka, rumiana twarz wypogodziła się.

— A no... takci jest! — rzekł. — Ale człowiek, choć wie, że tam nic nie zyszcze, na ten lep się brać daje!

— Prawda — przerwał, rozochocając się, Marcik. — Tej czarownicy nikt oprzeć się nie umie.

— Wiedźma straszna jest — śmiał się Czech, wzdychając razem. — Jabym się z nią ożenił chętnie, ale Niemcy jej nikomu obcemu nie dadzą, aby im się bogactwa z rąk nie wyśliznęły.

— Niebardzoby ona komu powodować się dała — odezwał się Marcik, — gdyby w niej serce się odezwało... ale niewiasta, jak lód, albo kamień.

— Macie słuszność — potwierdził Mikosz, coraz się poufalając, bō mu rozmowa o pięknej wdowie była

bardzo miła. — No, ktoby to powiedział? Uprzejma jest, śmiejąc się, patrzy, drugim serce wyrywa z piersi i jak kot igra z niem! Przyjdzie też na nią kiedyś godzina...

— Ja ją dawniej od was znam — mówił Marcik, widocznie się Czechowi przypochlebiając i mrugając o dzban, który przyniesiono. — Taką samą była, dziewczyną będąc — śmiałą, wesołą i uprzejmą.

— No... i wybrała sobie za kogo pójść!

— Ona! — zawołał żywo Marcik. — Jako żywo! Ojciec naglił, aby szła, obawiając się zostawić ją samą, a był chorowity. Wzięła pierwszego z brzegu, gdy nalegano. Ten Arnold na zabój się w niej miłował, ale prędko w zwadzie zginął.

— Płakała, słyszę, po nim bardzo?

— Juści też choćby dla ludzi płakać musiała — ciągnął dalej Marcik. — Teraz, gdy go nie stało, wspomina, żałuje, a wiem, że za żywota, gdyby parobek rozkazy jej spełniać musiał, a małżeńskiej od niej czułości doprosić się nie mógł — rychlej połajania lub szturchańca.

Czech słuchał z zajęciem i podziwieniem.

Wkupił mu się Marcik w łaski, mówiąc o wdowie. Reszty może napój dobry a mocny dokonał, tak, że w godzinę dwaj współzawodnicy byli z sobą na tej stopie, na jakiej zręczny Suła chciał być z Czechem. Zachęcał go do picia, bawił, pochlebiał, w dumę go wbijał.

Naostatek tak wypadło z rozmowy, iż Marcik mu oświadczył z przełaju, iż mu próżniaczy chleb obrzydł, a radby znalazł sobie służbę rycerską, byle u dobrego pana.

— Ulryk Boskowicz, którego, chwała Bogu, stąd wzięto, nie wierzył Polakom, ale terażniejszy Paweł z Paulsztynu myślę, że inny będzie. Ludzi nam trzeba, moglibyście i na zamku służbę dostać.

— Czemuż nie? czemu nie? radbym jej był — odezwał się Suła. — Na zamku służyć najwygodniejby mi było. I zdałbym się wam!

Czech pokręcił głową.



— No! służba teraz — rzekł — może nam przy-  
paść ciężka.

— Tem ci lepiej — wtrącił Marcik. — Czy żołnie-  
rzowi warto siedzieć pod szopą i ziewać? Gdzie gorąco,  
tam się najlepiej żywi.

— Gorąco może być! — powtórzył Mikosz, — go-  
rąco!

— A no!.. niechajby! — rozśmiał się ochoczo Suła.

— Co myślicie? — dodał poufale po chwili, —  
tym Niemcom mieszczanom jabym niewiele wierzył.  
Już oni na króla Wacława za to sarkali i kwasili się,  
że na Okolu nowe miasto zrobił i mury stanęły około  
św. Franciszka do zamku, a od św. Andrzeja do Stra-  
domskiej bramy. Tego nowego miasta nie zasiedlić  
Niemcami, a oniby radzi tu być sami. Jak im ten mały  
książę polski zaśpiewa, że Okola nie będzie budował,  
a obieca co więcej jeszcze, gotowi mu poddać miasto.  
No! a jakby miasto wzięto, na zamku trzymać się bę-  
dzie ciężko.

Mikosz westchnął tylko, dając do zrozumienia, że  
toż samo myślał. Kiwnęli obaj głowami.

— I ja tym mieszczanom niebardzo wierzę — za-  
mruczał. — To ludzie, którym ich kaleta milsza, niż  
pan, choćby najlepszy był. I każdy równy, byle go ta-  
nio kupili, a sprzedali drogo.

— No... tak — dodał Marcik, — a właśnie Łoktka,  
który, jak wiadomo, grosza nie ma, dostaną łatwo...

Suła stawał się serdeczniejszym dla Czecha, które-  
go już miał tak jak za swego.

— Od czasu, jak się o śmierci młodego króla do-  
wiedzieli — szepnął, — nosami bardzo kręcą.

Mikosz zapił tę smutną uwagę.

— Nie wierzę ja im — rzekł, — choć nasz nowy  
wielkorządca inaczej trzyma. Wójt Albert go uspokoił.

— Wójt Albert! — zawołał Suła. — Ależ to naj-  
chytrzejszy lis między nimi!

— Znacie go? — spytał Mikosz.

— Jam tu prawie od dziecka w Krakowie — mó-  
wił Marcik. — Albert na mieście jakby księżę udzielny

siedzi. Co on chce, to robi. Wiedzą o tem wszyscy, że i on, i brat jego, co w Miechowie opactwo trzyma, do Ślązaków ciągną. Ślązaków między mieszczanami moc wielka. Rozpatrzcie się, ilu tu jest z Brzega, z Lignicy, z Opola, z Wrocławia, ze Świdnicy; Wrocław a Kraków trzymają się za ręce, gotowi albo Ślązaka, albo i Małego sprowadzić. Ulrych ich sobie naraził.

— Prawda — potwierdził Czech, — z Boskowicza nikt nie był rad. Ostro ich trzymał i ziemian nie szanował. Dla nas on też nie był dobry. Paweł będzie inny.

— Daj Boże — dodał Marcik, — ale czasu potrzeba, aż się na nim poznają i zawierzą mu.

Wygadawszy się tak od serca, wstali. Czech pociągnął na zamek. Marcik, jakby nic lepszego do czynienia nie miał, przeprowadził go.

Szli ulicami, zwolna, nieznacznie, a im się ku Wawelowi więcej zbliżali, tem Marcik żywiej zagadywał Czecha i bawił go lepiej.

W głównej bramie począł mu mówić o Grecie, wiedząc, że na tę wędkę złapie Czecha najpewniej. Wsliźnął się tak z nim na zamek, na który bez towarzystwa dostaćby mu się nie było łatwo, bo właśnie pod ten czas pilniej go od miasta strzeżono.

Wszedłszy w podwórcą, śmiejąc się, gawędząc, wdzięcząc się do Mikosza, Suła miał dobry czas rozpatrywać się dokoła.

Zamek po niedawnej pogorzeli, która i kościół dotknęła, choć wieże miał ołowiem kryte — i wszystkie niemal drewniane gmachy, których było najwięcej, zniszczyła, — nie miał jeszcze czasu się odbudować.

Boskowicz myślał, sprowadziwszy z Pragi muraży, gród mocny i piękne gmachy zakładać nakształt Hradczyna.

Ledwie się do tego przygotowywać poczęto. Leżały stosy kamieni nazwożonych, olbrzymie belki drzewa, ale dotąd stały tylko tymczasowe dworki i budy, a załoga musiała się jako tako dusić w onych izbicach, w których dawniej mieszczanie mienie swe przechowy-

wali, bo te jedne ocalały. Za Leszka Czarnego Niemcy je popoprawiali, zamku ochraniając. Teraz i ludzie w nich przytułek mieli.

Dwór jeden pokaźniejszy zajmował wielkorządca sam, a inni dowódcy jako tako się mieścili po budach, z tarcic z chróstu polepionych.

Oczyma tak strzelając dokoła, Marcik obliczył łatwo po pewnych znakach, że załoga niewielka i niebardzo liczna być musiała. Wprawdzie na wałach stały już ostrokoły nowe i do obrony przygotowane, ale garścią niewielką tak rozległej przestrzeni bronić było trudno.

Wojsko też, które tak długo leżało, nie mając sposobności wojowania, wiążąc w mieście łatwe przyjaźnie, zgnuśniało. Żołnierze chodzili bez zbroi bezpieczni, nie zdając się myśleć, aby im co grozić mogło.

Marcik, unikając innej rozmowy, bawił Mikosza opowiadaniem o Grecie, rozprawiał długo, aby chodząc z nim po wałach, lepiej się mógł rozpatrzyć. Potrzeba mu było wiedzieć na wszelki wypadek, z której strony łatwiejszy szturm, a słabsza się zdała obrona. Wkońcu napomknął znowu o służbie, którą radby przyjąć, na co Czech odpowiadał mu dobroduszenie:

— Zobaczymy, gdy się lepiej z nowym wielkorządcą poznamy. Ja wam rad pomogę, ale wyżej nad sotnika trudno będzie się umieścić.

I zapytał go, czy miał dobrą zbroję.

— Dobrą i nie jedną — odpowiedział Marcik. — W potrzebie zdam się i do kuszy, bo z nią, z bełtem i kołowrotkiem umiem sobie poradzić. Pewnie też balistarzy siła nie macie, a gdy przyjdzie się bronić, to ci będą najpotrzebniejsi.

— My ich teraz nad pięciu czy sześciu nie naliczym — rzekł Mikosz, — a z tych dwu niewiele się zdało.

Chwilę jeszcze pogawędziwszy, Marcik się nisko pokłonił i z dobrą miną pociągnął nazad ku wrotom, bo Czech poszedł do budy swej odpocząć po piwie.

Szedł, a w duszy robiło mu się coraz weselej, bo widział jawnie, iż Czechy się z tem, co mieli, długo bronić nie mogli, jeśliby posiłki nie nadeszły. Obudził zarazem niewiarę w mieszczan i obawę zdrady. Rad więc mógł być z siebie.

Puściwszy się ku miastu i znalazłszy znowu w rynku, w którym ranne życie się już znacznie zmniejszyło, ciżba się przerzedziła, Marcik skierował się wprost do domu Grety przy Rzeźniczej ulicy, gdy po drodze do ratusza spotkał wracającego Pawła z Brzega, który szedł w tę samą stronę.

— Cóżecie tak Czecha zapragnęli ugłaskać i wielką z nim przyjaźń zawarli? — zapytał rzeźnik.

— Dobry chłop jest — odparł Suła. — Nagadaliśmy się z nim dosyta, naśmieli i na zamek go odprowadziłem.

— Byłeś na zamku? — rzekł, stając, Paweł.

— A juści, byłem! — zaśmiał się Marcik.

— I cóżecie tam widzieli?

— Wszystko, okrom zamku, bo tam żadnego nie ma od czasu ostatniego pożaru. Bronić też gródka będzie trudno — począł swobodnie Marcik, tak jakby się mimowolnie wygadywał. — Czechów garść mała, wały szeroko rozpostarte na inną osadę patrzą. Oni też to dobrze rozumieją. Jeżeli im posiłki nie nadejdą, oddadzą Wawel bez oporu... na pierwsze wezwanie.

— Myślicie? — pytał zadumany Paweł.

— Ale to rzecz najpewniejsza — potwierdził Marcik. — Nowy wielkorządca nie tak twardy, jak Boskowicz, — szaleć nie będzie. Wy sobie z miastem poczniecie, jak chcecie, to wasza rzecz, a że oni za was szyi nadstawiać nie będą, byle im wolne wyjście z bronią i sakwami dozwolono — to rzecz pewna!

Paweł sięgnął.

— Łoktek rad będzie temu — dodał Suła. — Zresztą spalone zamczysko niewiele dziś znaczy, a miasto, gdy się nie podda wczas samo — tem lepiej.

— Jakto? — spytał mieszczanin.

— Prosta rzecz — kończył, śmiejąc się, Marcik. — Z miasta upartego będzie się czem pożywić. Z Czechów dziesięciu kop nie namłóci tyle, co z waszego półkopka. Gdy żołnierze wrota złamią, — nie będzie siły, coby ich wstrzymała! Pójdą szaleć i obłowią się!

Paweł z Brzega zafrasował się bardzo.

— Teraz już tak nam prawicie! — zawołał.

— Zawszem wam mówił prawdę — odrzekł Marcik, — i teraz wam nie taję. Nie chcecie wy być pierwszi z miastem — zgoda! zamek się podda pierwszy, ale z wami mówić nie będzie czasu, ani ochoty.

Szli dalej razem; rzeźnik dumał i sapał. Patrzył, dokąd towarzysz jego zdąży, co zrozumiałwszy Marcik, choć mu się do Greta chciało, zmienił postanowienie i rzekł:

— Pójdę do konia, któregom w szopie u Szeluty zostawił, bo mi do domu pilno.

— Do Greta dziś nie przyjdziecie? — spytał Paweł.

— A poco? — rozśmiał się, niby dobroduszenie, Suła. — Nie wskóram tam już nic. Greta tak dobrze Wurma, Mikosza, jak mnie przyjmuje, — a żadnemu z nas z tego nic.

— To prawda! — począł wesoło Paweł. — Mnie też z niej nic, bo to synowica moja, ale na nią choćby popatrzeć, — tak jakby człek co dobrego zjadł!

— Albo się napił! — dorzucił Suła.

— Wiecie co? — dodał Paweł, biorąc go za suknię. — Idźcie do Greta, posiedźcie u niej, ja tymczasem pójdę rozmówić się z ludźmi. Miasta na swawolę żołnierstwa narażać się nie godzi.

Marcik z początku wahał się wrzekomo i ociągał, potem ręką dał znak i poszedł do Greta.

Siedziała wdowa znowu u okna, trzymając w rękę rodzaj cytry, na której strunach pobrzękiwała pociachu. Za stołem słuchał Wurm podparty, najupartszy z jej zalotników, i dumał. W kącie na stronie drzemał nieodstępny Kurcwurst. Nie było nikogo więcej.

Na wchodzącego Marcika Greta spojrziała uważnie i spytała go nieco szydersko, rzucając cytrę na ławę:

— Co, bardzoście się z Mikoszem pokumali?

— W kumy niema, jak dzban — zawołał Marcik, — a to chłopisko zaprawdę serca dobrego, i choć jabym go chwalić nierad, ale sprawiedliwym być muszę... Dobry brat!

Wurm się skrzywił.

— Chwalić każdego można — ozwał się z przekąsem, — począwszy od cielecego mięsa, które też dobre jest... Mikosz na żołnierza tak dobry, jak ciele na piecyste — ale... więcej...

— On też czem innem nie myśli być — zawołał Marcik, — tak, jako i ja. My oba ludzie prości, od siekiery, niemieckich minelidrów śpiewać nie umiemy, ani się nauczym... zato kord nasz bardzo bywa wymowny!...

Wurm pogardliwą miną przyjął tę odprawę, spojrzał na Marcika, który blisko Grety miejsce zajął, śmiało się do niej przysuwając, zżymnął się, rzucił do wstawiania, żal mu się zrobiło i został, rozparłszy się na stole.

— Gdym wchodził, przerwaliście piosenkę — odezwał się Marcik do Grety, — czym to ja słuchać jej nie wart?

— Nie warciście — odparła wdowa. — Na naszych minesingerów wymyślacie, a ja ich lubię.

— Szkoda, żem ja do nich nie chodził do szkoły, mozebym i ja u was większe miał łaski — westchnął Suła.

Greta popatrzała nań śmiało.

— Ja was i tak dość lubię — odezwała się, — a gdybym lubiła więcej, na coby się to wam zdało?

— Jakto na co? — wykrzyknął Suła.

— Znacie mnie przecież — zimno mówiła dalej Greta, — jestem bałamutna. Każdego dnia ktoś inny mi lepszy. Wy macie dni swoje, ma je Wurm (wskazała nań), nawet Czech, któregoście i wy umiłowali, a oprócz was, kto wie, ilu będzie w łaskach! Tak mi najlepiej, — niewolnicą niczyją być nie chcę.

— A królową? — pochwycił Wurm.



— Królowe u was królują, póki wesela, potem je w niewolę obracacie — odezwała się Greta. — Ja to wiem, więc ani królową, ani niewolnicą nie chcę być, wolę panią sobie i wdową!

Wurm się rzucił niecierpliwie. Zapomniał, że Marcik ich słucha i ciągnął dalej:

— Tak wam przecie zostać nie dozwolą — rzekł żywo, — prędzej czy później kogoś sobie wybrać musicie.

— No, to później i jak najpóźniej — zaśmiała się Greta. Lice jej zarumienilo się.

— Wybiorę może — dodała, — ale wątpię, bym was wzięła.

Wurm z gniewu ręką o stół uderzył, a Marcik głośno się śmiać zaczął. Kurcwurst w kącie, choć mu się do tego mieszać nie wypadało, usta sobie ogromną łapą zatuliwszy, prychnął.

## IX.

Był piękny, ciepły, jasny wieczór jesienny, w jednym z tych dni, które lato przypominają, nie mając już skwaru jego. Powietrze, przejęte wonią pól potężnych, lekkie do oddychania, zdawało się posilnemi darami jesieni nasycone. Po wsiach brzmiały gędźby i śpiewy, bo to u nas pora swatów i weselisk, godów i uciech. Stodoły i brogi pełne, pola zasiane, w najuboższym domu dostatek.

Około miasta też ludno było, żywo, wesoło; w karczemkach panien zwierzynieckich w Ostrygońcu i Kretkówku, w szynkach podmiejskich, w gospodach na przedmieściach Krakowa, ludek się posilał i zabawiał po drodze. Mało który wóz nie przystanął tu na chwilę, usłyszawszy szalamaje lub kozę w szynku a wesołość, jaka tam panowała. Wozy z końmi, którym trochę siana narzucono, czekały na panów spokojnie.

Godzina zamykania wrót w mieście jeszcze nie nadeszła, a ówczesne bramy Florjańska, Sławkowska,

Szewska, Wiślna, Mikołajska, Rzeźnicza, stały otworem bez żadnej straży.

Nikt też tak dalece nie zwracał na to uwagi, że dnia tego, począwszy od południa, ziemian się do miasta ścigało bardzo wielu. Więcej może, niż kiedykolwiek. Ale że nie wszyscy wjeżdżali jednemi wrotami, ani razem, a w ulicach niebardzo zważano, co się działo — nierychło się postrzeżono, iż się jakby na jaki zjazd gromadny zbierało.

Było w obyczaju naówczas i długo potem, iż gdy miasto gospód poddostatkiem nie miało, mieszczanie znajomych i nieznajomych gości do siebie przyjmowali. Tak ci było i w Rzymie czasu tego jubileuszu 1300 roku, na którym się Łoktek znajdował, gdzie na ulicy Klaudjana, do wszystkich domów wpraszały się pielgrzymi, a wszędzie ich ugaszczano — prawda, że za ich grosz miły.

Tak samo działo się w Krakowie. Tego dnia mało do którego ze znaczniejszych domów nie zapukał jeden z ziemian krakowskich.

Jechali z dworami zbrojnemi, co nikogo nie dziwiło, bo bez broni nie ruszano za wrota — pokaźnie poubierani, z czeladzią, z wozami. W każdej gromadce rycerstwa po kilku i kilkunastu ludzi statecznych, znanych z nazwisk i z urzędów każdemu. Niektórzy z nich, jak Wierzbięta, kasztelan, i Wojciech ze Żmigroda, wojewoda, mieli tu dwory swoje i do nich zajeżdżali, z sobą też innych wiodąc; — Sandomierzanie i Kujawiacy do mieszczan się wpraszały.

Przez wrota ze wszystkich stron ku wieczorowi napłynęło tylu tych gości, że i w ulicach poczęło być gęsto, a z bram, domostw i podwórców gwar szedł wielki. Czeladź szynki i browary napelniała.

Dopiero teraz Veit, dowódca straży miejskiej i wiertelników, opatrzył się, że gości tych w mieście tłum był do zbytku wielki. Nikt się ich tu nie spodziewał, bo ani święta, ani zwołanego zjazdu nie było.

Gdy tłum tak wielki nagle się znalazł, Veit rozpa-

trzywszy się w nim, niespokojny na ratusz pobiegł, spodziewając się tam znaleźć wójta Alberta.

Ale go tu nie było. Powiadano, że do brata Henryka pojechał.

W ratuszu zastał Veit tylko burmistrza Amyleja z Muchowa, jednego z najzamożniejszych kupców, który do spraw miasta najmniej się zwykł mieszać, swoich więcej dozierając.

Amylej czekał na Pawła z Brzega, z którym mieli coś do mówienia. Po wielkiej izbie radnej przechadzał się sam, gdy wbiegł Veit, mocno poruszony.

— Wójta, słyszę, doma niema... ani się jego zastępców doszukać... a tu sprawa pilna!

— Jaka, gdzie? — zapytał Amylej obojętnie. — Pobili się ulicznicy? Czy podrapały przekupki?

Możny człek, Amylej z Muchowa, nierad się poufalić ze służbą, i dowódcę chciał zbyć drwinami.

Veit, na którego odpowiedzialności było bezpieczeństwo miasta — brodaty i kudłaty olbrzym w hełmie śpiczastym, cały w żelazie — miał się też za ważnego człeka i nierad był Amylejowi dworować, bo ten był nie żadnym wójtem, ale prostym rajcą.

— Nasi panowie wójtowie — rzekł — wczasu sobie zażywają... a tu...

— Cóż? Gore? — spytał Amylej szydersko.

— A może i gorzeć — odparł smutno Veit — może i co gorszego powstać, niż ogień... jeśli jest większa plaga nad ogień.

Wodził po izbie oczyma niespokojnemi, gdy suknię opinając na sobie, zjawił się z piwnicy wracający Hanusz, jeden z panów wójtów.

— Co się tak sierzysz, Veit? — zapytał.

— Chybaście nie widzieli, co się w mieście dzieje, a na co już ja z wiertelnikami nie poradzę — zawołał, głos rozpaczliwie podnosząc, dowódca straży. — Ziemianie i rycerstwo miasto zaleli, zapchali. Pełno ich wszędzie, ścisk. Od wrót poprzybiegali ludzie i z Flo-rjańskiej, i z Wiślnej, że od południa, jak procesja, jadą zbrojni.

— Wrót im przed nosem teraz nie czas zamykać — dodał — pełnusięńko ich wszędzie. Na Okolu w kilku domach, do których ich gospodarze wpuszczać nie chcieli, nie znalazłszy gdzie indziej przytułku, wparli się siłą, mocą.

Mówił jeszcze, gdy z twarzą wylekłą wbiegł radny, Hincza Keczer i począł wołać:

— Ziemianie i rycerstwo Kraków zajmują. Nie wiadomo jacy — czyi? Najechali bez oznajmienia żadnego. Mało tego, że krakowscy i sandomierscy... alem widział pełno takich ludzi, których oczy moje nigdy tu jeszcze nie oglądały. Jacyś obcy.

Jeszcze się drzwi za nim nie zamknęły, gdy Paweł z Brzega wsunął się zwolna, spokojniejszy pozornie od innych, lecz także chmurny i posępny.

— Wiecie? — zapytał go Amylej.

— Wiem, że miasto pełne — odezwał się Paweł. — U mnie już stoją Toporczyki, a gdyby Grety Suła nie obronił, zajechaliby ją byli Różyce. Odparł ich, komu innemu zachowując gospodę.

— Ale cóż to za zjazd, czy najazd? — krzyknął wójt. — Gdzie nasz pan Albert?

— Mówią, że się wybrał do brata, do Miechowa — rzekł Paweł, ramionami ruszywszy.

Veit, obawiając się odpowiedzialności, dopominał się rozkazów.

— Choćbym teraz na godzinę przed czasem wrota kazał zamykać — rzekł — cóż to pomoże? Wcześniej mi nic nie przykazano. Trudno ziemianom ulicy i drogi odmówić! Z początku po jednym ciągnęli, potem po kilku, w ostatku kupami. Każecie spuścić brony?

Paweł żywo się zwrócił.

— Ani się ważcie! — zawołał głośno. — W mieście już ich na tysiące liczyć. Broń Boże wrota się zaprą, wrzawa powstanie, a gdy szaleniec jaki brony łamać pocznie i byle kropla krwi pociekła, myśmy życia i mienia niepewni...

Wbiegł drugi wójt przestraszony, czapkę rzucając na stół i ręce łamiąc.

— Przepadliśmy! — krzyknął. — Łoktkowi ludzie... nie kto inny — gromadami wciągają... pocztami, pułkami. Ulice pełne, rynek jak nabity — patrzcież!

— Kto mówił, że to Łoktkowi? — zawołał Amylej.

— Wszyscy wiedzą, a i poznać nietrudno, bo draby obszarpane i zuchwałe.

Veit we drzwiach rzucał się jak opętany.

— Cóż mam czynić! — jęczał. — Ja im z moją pół kopą ludzi nie dostoję.

— Nic nie czynić! — wtrącił nakazująco Paweł. — Stań i pokłoń się im. Wójta niema. Co się stało — nie odstanie. Porwie się kto do nich, — radzi będą i miasto obrócić w perzynę!

Rajcy, którzy się w coraz większej liczbie ściągali, stali jań osłupieni. Niektórzy biegli do okien przypatrywać się.

Kawał rynku, który stąd widać było, wyglądał wcale osobliwie. U każdych prawie wrót domu stali ludzie rycerscy, hełmy już pozdejmowawszy, jedni o łaźnie pytając, drudzy o szynki, inni o stajnie dla koni. Ciągnęły oddziały coraz nowe, — czeladź biegała, krzyżąc. Hałas i gwar niósł się aż na ratusz!

Ostrożniejsi kupcy, śpiesząc nagwałt, ławki i budy zamykali. Na całym mieście niepokój był i trwoga niewysłowiona.

Miejscowych, znanych ludzi, do których oczy były nawykłe, w ulicy prawie dojrzeć nie można było. Snuli się sami obcy, błakając i dopytując kułakami. Mieszczanie kryli się po kątach.

Nagle w rynku zdala, od Florjańskiej dały się słyszeć trąby i okrzyki. Z bram powybiegali ludzie, w oknach górnych pokazały się wylekłe głowy mieszczek, pod ścianami gawiedź i wyrostki stali, ściśnięci w kupy. Patrzano w ulicę, od której słyszać było trąby i wołania coraz wyraźniej.

Wszyscy radni i wójtowie powywieszali się z okien, patrząc oniemieli ze zdumienia.

Oddział, który poprzedzało kilka chorągwi czerwonych, łatwych do poznania, że czeskie nie były, bo

lwów na sobie nie miały, z trębaczami i surmistami, ze zbrojną liczną czeladzią spokojnie wciągał na rynek.

Naprzeciw niego z gospód i domów wysypali się starsi ziemianie, kasztelan, wojewoda, duchowni — i stali, jakby witać mieli. Wjeżdżał więc ktoś starszy i dostojniejszy nad nich.

Wśród otoczenia starszych mężów, bardzo strojnie przybranego, ludzi wzrostem go przechodzących — ci, co go nigdy nie widzieli, domyślili się z postawy Łoktka.

Na ten uroczysty wjazd do Krakowa umyślnie mu konia rosłego i silnego dobrano i przykryto szytem suknem i drucianą zbroją — z siedzeniem, błyszczącym od złota. On sam, choć do tego nie był nawykł, zbroję przywdziać musiał świetną i płaszcz szkarłatny z pasmami złotemi.

Ziemianie, w rynku stojący, czapkami go, rękami, niektórzy dobytymi w górę mieczami miotając — witali głośno. A gdy się tu ozwały okrzyki, poszły od domostwa po ulicach echem i zabrzmiał niemi cały gród aż do przedmieścia. Rozległo się niemi i Okole pod zamkiem, a wrzawa ta Czechów na Wawelu obudziła.

Trzeba było widzieć, jak nagle się porwawszy, na wały poczęli biec, wrota zamykać, zabijać furty, broń spuszczać.

W kilku kościołkach dzwony wesoło zabrzmiały.

Biskup siedział nad swą księgą w małej izbie, gdy kustosz, Michał z Modlnicy, ulubiony mu, wbiegł do izby, jak trup blady, tak, że twarzą samą przeraził, nim mógł wyrzec słowo.

Muskata zerwał się z siedzenia.

— Miserere nobis! — wyrwało mu się mimowolnie. — Co się dzieje?

Kustoszowi na odpowiedź głosu brakło.

— Miasto, miasto zalane — począł niewyraźnie — pełne! Zjazd niespodziany ziemian, rycerstwa ze wszystkich ziem. Nikt nie doniósł, nikt nie przewidział. Zdrajcy mieszczenie wpuścili ich. Wójt uciekł do Mie-



chowa, umyślnie. Książę Władysław — Łoktek już w rynku!

Nazwisko to usłyszawszy, Muskata zadrżał, usta mu zapadły, — padł na siedzenie, twarz rękami zasłaniając.

— A na zamku? — wyjąknął. — Czesi, co robią Czesi? Spisek był — wołał namiętnie zburzony. — Zdradzono nas i ich!

— Co w. miłość czynić myślicie?

— Ja? ja? — jęknął się Muskata, szukając myśli — ja? Nic! nic! Zamknąć wrota! Nie wiem o niczem... nie przyłożę ręki do niczego. Poczęto bez mej rady — niech kończą sami!

A po namyśle szepnął:

— Gdybym mógł, zjechałbym precz. Nie chcę patrzeć na to, ani się o nich ocierać.

Kustosz głową poruszał.

— Czeskie panowanie skończone! — rzekł. — Sprawa ich stracona. Ten zuchwały... Łoktek — zajął już wszystkie ziemie prawie, nie puści ich! Rycerstwo przeszło na jego stronę... wszyscy.

— Ja nie, nie! — przerwał Muskata. — Wygnany był, tułał się już wielokroć — pójdzie znowu na tułactwo. Wyżeną go... Prawowity król go przegna... złamie... zwycięży... Czechy mają siłę Niemiec całych.

Biskup zaczął się rozgrzewać, lecz wprędce pohamował się i głos zniżył.

— Idźcie — rzekł do kustosza, — abyście wiedzieli, co się stanie, donieście mi. Pozostanę wiernym mojej przysiędze. Znać ich nie chcę. Wrota zaprzec!

Kustosz, Michał z Modlnicy, wysunął się szybko. Nie podzielał może zdania biskupa, ale musiał mu być posłusznym.

Na mieście gorzało weselem jakimś i zwycięstwem... ludzie chodzili, jak upojeni niem; na mieszczan coraz większy strach padał.

Spokojni mieszkańcy łatwo teraz obliczyć mogli, iż gdyby najmniejszy stawili opór, naraziliby się na rabunek i pożogę. Rycerstwo i ziemianie byli liczbą prze-

magający, a do nich łączyły się coraz przybywające pułki Łoktka, rozkładające się po placach, ogrodach i pustych dworzyszczach.

Lud ten do wojowania i łupieży nawykły, głodny, chciwy, rozpuszczony ciągłym bojem, — dowócy ledwie mogli utrzymać w porządku; na widok dostatków po domach i sklepach — krew się w nich gotowała. Na uboczu też, gdzie mogli, gwałtem się do domostw parli. Słysząc było zdala krzyki niewieście i zwady. Starsi biegali i jak mogli poskramiali wybryki.

Księżciu pod niebytność wójta Alberta otwarto dom jego, za nim na radę wciągnęli dowódcy i urzędnicy. Dokoła stawiano strażę, w ulicy zatknięto chorągiew.

Kilku czeladzi, posłanej przez Marcika, pilnowało wrót wdowy Grety, która z górnego ganku swego domostwa, sparłszy się na balaskach, okalających górkę na poddaszu, stała najspokojniej, przypatrując się temu, co się działo w ulicy. Kurcwurst tak był przełękły, iż łaskę swą, obawiając się, by jej za broń nie wzięto, a jego za stawiającego opór — skrył najstaranniej do kąta. Sam, z ukrycia spozierając, żegnał się co chwila i mamrotał pacierz.

Greta, jakby przygotowana była do tego, wcale nie okazywała zdziwienia, pewną będąc, że się jej nic złego stać nie może. O zamknięcie wrót nawet niewiele się troszczyła. Pilnowała ich straż Marcikowa, nikomu nie dając przystępu.

W klasztorach męskich nie taka wielka, jak u zakonnic, panowała trwoga. Szczególniej beginki, których domy stały naprzeciw dominikanów i franciszkanów, pozamykały się szczelnie, bo schronienia ich pół tylko klauzury miały. Mógł do nich łatwo kto wkroczyć. Jak tylko zasłyszano o Łoktku, którego wojska osławione były, okrzyki trwożliwe, jęki i lamenty napęłniły dworiki beginek.

Nie bez przyczyny obawiały się, gdyż franciszkanie i dominikanie w sąsiedztwie pootwierali swe klasztory przybywającym, a franciszkanie szczególnie, którym książe Władysław winien był ocalenie swoje, jako swo-

jego przyjmować się gotowali. Przywiązuje się zawsze do tych, którym się dobrze uczynić mogło, dzieci św. Franciszka kochały małego pana, który ich habitowi winien był życie. Miłym im też był, bo jak oni był ubogim, surowego żywota i wytrwałym.

Wśród tego zgiełku i zamieszania, którego noc nie mogła powściągnąć — dzień się skończył.

Straże miejskie wrót już zamykać nie śmiały, a Veit wahał się, czy mógł, jak zwykle, wyciągać ze swoją garścią wiertelników w ulice, na których porządku utrzymać nie miał siły. W mieście panem był kto inny.

W domu wójta Alberta świeciło we wszystkich oknach, drzwi stały otworem, w sieniach paliły się pochodnie, cisnęli się i wychodzili ludzie; gospodarza tylko nie było widać. Wójt Albert nie wracał z Miechowa.

Mieszczanie mieniali się na ratuszu, nie schodząc z niego, co chwila bowiem spodziewali się żądań i rozkazów.

W radzie miejskiej, dawniej spójnej i zgodnej, dostrzec już było można jakby zarysowujący się podział na dwa obozy. Nie stały one jeszcze wyraźnie przeciwko sobie, lecz z wejrzeń, półsłówek, twarzy, humoru mieszczanie poczuwali się sami do myśli różnych i uczuć niezgodnych.

Do najzajadlejszych, jawnych nieprzyjaciół księcia Łoktka należał naówczas niewchodzący do rady mieszczanin, Herman z Raciborza, młody kupiec majątny, który był właśnie po ojcu odziedziczył domostwa i dworzyszczą znaczne w rynku i przy ulicy, od św. Franciszka wiodącej.

Ten, na ratusz wpadłszy, wszystkich radnych łajał i narzekał na nich, iż nie czujni byli, że wrót nawet strzec nie umieli, nieprzyjaciela wpuścili i miasto narazili na zgubę. Człek młody był, gębacz wielki i śmiałek!

Nie odpowiadano mu, ledwie ramionami ruszając,

bo się każdy ust obawiał otworzyć. On jeden śmiało wywoływał.

— A naco nam się aż trzech panowie wójtowie zdali, dziedziczny i wybrani, a rajców tylu! Pięknie oni wszyscy dobra naszego strzegą! Cóż teraz? Czechy jutro, jeśli nie dziś, z zamku wypadną i miasto zmieni się w kupę popiołów.

— Milczelibyście — przerwał mu gwałtownie Paweł z Brzega. — Wy ważycie swoje mienie, aleć i my też do stracenia coś mamy. Co się stało, stać się musiało — inaczej nie było można!

— Tak! tak! — wołał Herman zapamiętale. — Dobregoście panka sobie wybrali, żebraka, włóczęgę, któremu jutro na chleb i słoninę dać będzie trzeba, choćby gżło ostatnie przyszło zdjąć.

Rzucał się tak a łąjał. Radni stali i milczeli.

— Nie można było inaczej! — powtórzył Paweł, jakgdyby się czuł obwinionym. — Cóżbyś ty, mądry Hermanie, czynił? Co? Wrotabyś zaparł, czeladź zwołał do obrony, hę? Byliby szturm radzi przypuścili i miasto złupili. Lepiej dać chleb i słoninę, niż życie.

— A oni z was, z nas — krzyknął Herman — na-przód gżło zdejmą, a potem życie.

Tak się z sobą ucierali.

Z ratusza słano po wójta. Nieprawdą było, jakoby do brata do Miechowa miał zjechać. Wiedzieli jego zauszniczy, iż chcąc pierwszej chwili uniknąć, zjechał na czas i w Krowodrzy się ukrył, skąd przybyć obiecał, gdy wszystko będzie skończone.

Teraz, gdy się skończyło, Kraków został zajęty — spodziewano się jego powrotu.

Noc już była późna, gdy w kilka koni, ze służbą, na tęgiej szkapie, przy mieczu, wpół zbroi zajechał Albert przed dom własny. Z szat nawet poznać było łatwo, że nie z podróży wracał, ale przygotował się stanąć przed księciem. Ubrany był świątecznie w jedwabiach, kożuszkę lekkim, na szyi miał łańcuch i kołpak soboli, a rękawice szyte u pasa.

Zsiadłszy z konia, sam, nie prowadzony przez nikogo, poszedł wprost do izby swej większej, w której się księcia spodziewał zastać, bo w oknach jej się świeciło.

Tu stali pacholćkowie z pochodniami, panów było pełno, wojewodów dwu, kasztelanów czterech, Klemens kanclerz, sędzia Smił i po kilku starszych z rodów przedniejszych, krakowskich i sandomierskich.

Stał tu i Mieczyk Topór, czekając na łaskawe wejście pana, ale Łoktek, choć dawno go widział, zwrócić się do niego nie chciał.

Wszyscy się poruszyli, gdy w progu ukazał się Albert.

Łoktek, siedzący, wstał i podszedł ku niemu, mierząc go oczyma. Pan był dnia tego dobrej myśli i otworzystego serca, wszystko mu się uśmiechało, więc albo nie widział, że Albert, gdyby jeniec, mimo-woli zmarszczony, szedł doń z pokłonem, albo widzieć tego nie chciał.

Niemiec, głowę pochyliwszy, stał, jakby oniemiał. Pierwszy się odezwał Łoktek.

— Wólcie Albercie — rzekł, — o miasto się nie trwóćcie, złęgo mu nie chcę. Owszem, przywileje wasze stwierdżę i powiększę je. Będę wam ojcem łaskawym.

Tu ręką wskazał na otoczenie swe.

— Widzicie, że mnie tu wola wszystkich ziemian i rycerstwa powołała, a i prawo mam do państwa tego lepsze, niż Czech. Bogu się podobało posadzić mnie na tej stolicy — mieczem moim utrzymam się na niej!

Albert kłaniał się, milcząc jeszcze, a Łoktek, głos nieco podniósłszy, dodał:

— Będę wam ojcem dobrym, słowo dane strzymam, ale dzieci chcę mieć posłuszne i wierne. Gdzie mi się kto sprzeciwi, tam ja sprawiedliwość sobie krótką domierzę, — nie litując się nad winnym.

Uśmiechał się, mówiąc to, dobrotliwie i schylonego wójta po ramieniu poklepawszy, dokończył:

— Bądźcie nam, jako gościom, dziś radzi, panie gospodarzu!

Wójt pomruczał coś niewyraźnie, pokornie się schylając.

Z pod oka patrząc na małego pana, badał go. Z zimnej, stęzałej twarzy Niemca nikt nie mógł odgadnąć, z jakim uczuciem przyjmował Łoktka, ale w duszy jego wrzało. Wstyd mu było po możnym królu Wacławie kłaniać się temu wygnańcowi, włóczędze, którego za pana swego uznawać był zmuszony.

Wójt, który się czuł możnym, silnym, przewidywał, że Mały książę żelazną dłoń mieć będzie. Ale potrzeba się było poddać konieczności. Kłaniał się nisko — musiał!

Natychmiast w domu swoim zajął się przyjęciem, chcąc okazać, że miał czem pana ugościć.

O śnie nikt nie myślał. Słano co chwila i odbierano od zamku wiadomości, których książę najpilniej żądał.

Chociaż noc była ciemna, a księżyc nie wszedł jeszcze, Łoktek nie wytrzymał, konia sobie kazał dać, aby w kilkanaście osób pod Wawel podjechać.

Co się we środku zamku działo, trudno było odgadnąć, ale po wałach chodziły stráže gęste, wrota i furty były pozamykane i poobsadzone — czujność widać było wielką. Że Czechy wiedziały już o zajęciu miasta przez Łoktka, o tem nie można było wątpić. Co tam postanowili względem obrony, miały dni następne okazać.

Wzywać załogę do poddania się nie chciał książę wprzód, ażby go uroczyście pod Wawelem panem okrzyknięto. Z Poznania nie było jeszcze wiadomości, czy się uda Wincentemu z Szamotuł i ziemianom, przez niego zyskanym, Władysława obwołać.

Na Wawelu panowała cisza niezrozumiała, zagadkowa. Czesi, którzy nawykli byli tłumami schodzić się do miasta i gościć w niem do nocy, zbiegli wszyscy na Wawel i zamknęli się na nim.

Jednego, pochwyconego w łaźni, w której się ukry-



wał, przyprowadzono do badania, lecz ten wylekły zaprzysiął się, że o niczem nie wiedział.

Łoktek, opatrzywszy wały zdala, strażę porozstawiać kazał dokoła, a do otaczających ze śmiechem się odezwał, że już raz z zajętego Krakowa zmuszonym był w habcie uciekać i drugi raz podobnego losu doznać nie chce.

Wojewoda, Wojtek ze Żmigroda, zapewnił księcia, iż ludzie czujni będą przy zamku noc całą, a załoga z pewnością o wycieczce nie pomyśli.

Ubezpieczywszy się, Łoktek wesoło nazad do wójtowego domu powrócił, gdzie czekała nań zastawiona wieczerza i ludzi dosyć, gdyż ziemianie ciągle jeszcze napływali, a każdy pragnął się nowemu panu pokłonić.

Marcik, który z księciem zamek objeżdżał, ukazując mu jego słabizny, bo te czasu pobytu w mieście poznać się starał, odwiózłszy pana do dworu wójtowego, sam teraz o sobie chciał pomyśleć. Cały dzień czynny u wrót różnych, z mieszczany, po gospodach przybyłych rozprowadzając, chciał zajrzeć do Grety, u której wrót postawił straż, aby mu się tam nikt nie wdarł obcy.

Choć noc była — pewnym był, że ją znajdzie czuwającą, bo w całym mieście nikt nie spał, ani o śnie mógł pomyśleć. Żołnierze lękali się o Czechów, Czechy zdrady, mieszczanie ludzi Łoktkowych, — trwoga nikomu nie dawała zawrzeć oczów.

Czeladź, która dworu wdowy pilnowała, rozkazanie mając nikogo doń nie wpuszczać — wrota pozapierawszy, w podwórzu bezpiecznie spoczywała. Wdowa swoim obrońcom, rada nierada, musiała wysłać piwa i jadła.

Siedziała w izbie swej, w której Kurcwurst wylekły kąta ciągle bezpiecznego szukał na wypadek napaści, a żaden mu się dosyć pewnym nie wydawał.

Czeladź Marcika, posłuszna rozkazom pana, nawet Pawła z Brzega nie puściła do Grety, choć ona sama o to się upominała i gniewała, że słuchać jej nie chciano.

Gdy Marcik zastukał i zawołał — otworzyli mu jego podwładni, śmiejąc się i dopominając nagrody za to, że tak ściśle spełnili jego wolę.

W izbie gościnnej świeciło się jeszcze — wszedł wprost do niej. Spodziewał się znaleźć wdowę wdzięczną i radą, a zobaczył nadąsaną i gniewną.

Z rozpuszczonym na ramiona włosiem siedziała w kącie, długo się nie odzywając. Dopiero gdy Marcik, witając ją, podszedł ku niej, zawołała:

— Cóż to? Czyście mnie w niewolę wzięli?

Suła się zdziwił pytaniu.

— Chcielibyście, abym wam tu puścił ciurów i żołdactwo? — odparł Marcik.

— Alboż jabym się ich zlekła? — zawołała mieszcza. — Możebym wołała ich, niż taką niewolę i więzienie przez dzień cały. Ja takiej opieki nie potrzebuję!

Marcik stał, prawie zrozumieć nie mogąc.

— No — rzekł — toście mi dopiero wdzięczni za to, że was ratowałem i jak przy księżnie jakiej strażę rozstawiałem!

Greta spojrzała nań groźnie.

— Wy bo sobie nie wiedzieć jakie prawa do opieki nade mną rościecie! — wybuchnęła.

Suła posmutniała, ręce założył na piersi i począł się jej przypatrywać. Chodziła po izbie mocno wzruszona.

— Otóż mam przyjęcie — zamruczał, — gdym się całe innego spodziewał.

— Wy wiecie — mówiła, stając naprzeciwko niego i mierząc go oczyma — wiecie, że ja niewoli nie znoszę żadnej. Nieboszczykowi mężowi nie dałam się spętać, ani opiekunowi — nie dam też i wam!

— A komuż?

— Nikomu, nigdy! — odparła dumnie niewiasta. — Jeśli z dobrej woli oddam się komu... pewnie — nie wam!

— Dlaczegoż nie mnie? — oburzył się Marcik. — Ja was nie chcę mieć niewolnicą, tylko żoną. Nie jestem lada podły chłop; ziemianin, rycerz, powinowa-

ty panów na Tęczynie — toć przecie mieszczykim wart? Prawda, że bogactw nie mam, ale ziemi kawałek od pana dostanę, bo mi to przyrzekł. Wyposażenie od niego mieć będę, a was wezmę, choćby bez wiana i grosza. Miłowałem was dziewczką, miłuję wdową, a przysięgajcie sobie, jak chcecie, moją musicie być!

Greta rzuciła się jak szalona.

— Dla mnie musu niema i nigdy nie będzie! — krzyknęła. — Wy mnie sobie miłujcie, ale mi z oczów idźcie, bo mi się już was słuchać i patrzeć na was znudziło. Ja was nie chcę!

— Nawet gdyby ksiązę był mi swatem?

Greta rozśmiała się szydersko.

— A co mi wasz ksiązę? Przykazać nic nie może, ojcem mi nie jest..., a jam się rodzonemu opierała!

Marcik, nie spodziewający się takiej odprawy, nie miał.

— Greto! Greto! — odezwał się smutnie. — Serca i litości nie macie! Taka to nagroda za wierne służby moje!

Niemka pogardliwie odparła:

— Kurcwest też służy mi wiernie i dawno, — przecie za niego iść nie myślę.

— A jam niewart więcej od niego?

— Kto to wie? — zaśmiała się wdowa.

— Marcik, przybity nieco, wprędce otrząsł się z rozpaczy wielkiej i zawołał:

— Dziś na was coś napadło! Giez jakiś was pokąsał; w lepszą godzinę będziecie łaskawszą.

To mówiąc, podszedł ku niej rażno, jakby ją wpół chciał pochwycić, — wdowa cofnęła się o kilka kroków, zmierzyła go oczyma strasznemi i ręką sięgnęła do noża u pasa, który ją nigdy nie opuszczał.

Suła padł gniewny na ławę.

Spojrzawszy nań raz i drugi, Grecie się może żal go zrobiło; — przeszła się po izbie, zobaczyła na stole stojący dzban i kubek, brząknawszy nim, pokazała Marcikowi, który pogardliwie potrząsł głową.

— Zbyć się mnie chcecie — rzekł — jak najemnego stróża, płacąc napitkiem i strawą!

Greta się powoli rozweselała.

— Za nic liczysz, że ci się śmieję i że łaję? — rzekła.

Marcik, który pokusie dzbanka z trudnością mógł się oprzeć, podszedł ku niemu i do kubka nalewać zaczął.

— E! z wami, babami! — zawołał. — Człek duszę zgubi, a nigdy nie dojdzie do końca!

Zebrało mu się na narzekanie.

— Myślicie, że jabym tu pracował tak do zdechu, choćby i dla księcia? Życiem ważył, szyję nastawiał, wysługiwał się u niego tylko dlatego, aby zarobić na kawałek ziemi, gdziebym z wami mógł sięść! Zaprawdę nie wiecie, jak was miłuję — tyle lat, tyle lat — i nadaremno! Ale — upór — wy nie chcecie moją być, a ja wam powiadam — musicie!

Uderzył ręką o stół. Greta zbliżyła się do niego, ręką w pięść ściśniętą stuknęła.

— Nie muszę i nie będę!

W oczy sobie patrzyli śmiało.

— Gwałtu mi nie uczynicie — rzekła — ani ty, ani książę twój. Jak nie zechcę, sposób znajdę uwolnić się od was. Nie przymusi mnie nikt! Słyszycie? — nikt!

Marcik pić począł, jakby sobie lekceważył próżną mowę, Greta coraz się mocniej rozgrzewała.

— Ani ty, ani nikt mnie w niewolę nie weźmie!

— Szkoda wam Czecha! — śmiał się Marcik.

— Chyba dlatego, że ten mi musem nie groził.

— Wolicie Wurma?

— Wurma? liczcież dalej — przerwała Niemka. — Jest jeszcze kilku. Mały Dunin pięknego rodu i możny pan, który mi się na kolanach przysięga, że do ołtarza gotów choć z mieszczką; — jest Prandota z Woli, co także księdza chce sprowadzić — jest takich dosyć.

Śmiała się.

— Widzicie — dodała — trudno, abyście wy od nich mieli być lepsi.

Suła się za pierś szarpnęła.

— A kto nade mnie dawniej was miłuje? — zawołał.

— Myślicieź, że miłość, jak miód, im starsza, tem lepsza! A! nieprawda! Ona jest, jak piwo, które, postawszy, kwaśnieje.

Kurcwurst, posłyszawszy to, począł się śmiać głośno. Marcik oburzył się, a Greta, popatrzywszy nań spokojnie, poszła zając swe miejsce.

Wtem do wrót gwałtownie bić poczęto, jakby je wyłamać chciano.

## X.

Marcik gniewny już wybiegł w podwórze, rad, że na kimś spędzi złość swoją. Tu zastał czeladź, zajądło broniącą wrót. Dobijano się do nich szturmem wielkim, wołając:

— Otwierajcie, bo wywalim!

— Do kordów! — krzyknął Suła, który sam już swojego dobył i pobiegł do wrót, grożąc:

— Precz! Nie ważcie się, — porąbiemy w szmaty!...

Lecz miał do czynienia z równie zuchwałymi, jak sam był.

Pan Wincenty z Szamotuł, którego widzieliśmy u Łoktka, zdążył późno z Poznania. Wskazano mu po drodze, jako jedyną, niezająętą gospodę, dom Grety.

Człowiek był nie dający się łatwo i lada czem odprawić, gotów do korda, z licznym dworem zbrojnym.

Z obu stron bramy poczęło się łajanie wzajemne od słów ostatnich i pogróżki. Czeladź Marcika była podpiłą. Wtem na próg domu swego wybiegła Greta.

— Jakie wy macie prawo — krzyknęła — bronić komu zająć u mnie gospodę? Ja chcę mieć gości, jako i drudzy.

Suła odwrócił się, nie odpowiedział nic, ale ustąpić nie myślał.

Greta wołała ciągle:

— Wolę gospodę dać dobrowolnie, niż żebyście mi się zabijali we wrotach i broczyli... Czemu nie puszczacie?

— Bom ja tu sam dla siebie gospodę zajął — krzyknął Marcik, — a takim dobry, jak i drugi.

— Łiesz! — zawołano z za bramy. — Nie możesz mi być równy, choćbyś ziemianinem był, bo ja ani w swej ziemi, ani w żadnej równego sobie nie znam.

Był to głos dumnego Wincentego z Szamotuł, który z rodu i mienia czuł się księżętom równy.

Marcik też, gdy w złość wpadł, nie byłby ustąpił księżęciu. Lekce sobie ważył napastnika.

— Precz, bo się krew poleje! — krzyczał.

— Poleje się, ale twoja, zuchwalcze podły! — brzmiał głos z za bramy.

Wrota, choć mocne były i choć je drągami i plecami trzymała czeladź Marcika, chłopcy silne, — naparte mocno, trzeszczeć zaczynały. Greta stała w progu, patrząc na to, jak na zabawkę, a Kurcwurst, za nią skryty, ręce łamał, wszystkich świętych wołając na pomoc.

— Miłosierny Boże! na rany Pańskie! — oni nas tu wszystkich pozabijają! Marciku... puszczaj ich, bo będziesz przyczyną nieszczęścia.

Wrota, naparte, zaczęły się coraz bardziej wewnątrz chylić, giąć, łamać i padać w kawały. Ludzie Szamotulskiego, wyrywając z nich deski, zrobili wyłom i jak tylko zewrzeć się mogli z czeladzią Marcika, padli na nią z berdyszami i obuchami.

Marcik, siebie nie żałując, dapadłszy otworu, mieczem żgał po łbach i po hełmach, aż brzęczało.

Wtem Wincenty, człek serca okrutnie gorącego, mając w rękach wielki miecz obosieczny, w obie dłonie go ujął, zamachnął nim i stojącemu naprzeciw Marcikowi nie tylko kord wytrącił, ale głowę obnażoną przeciął i — krew plusnęła!

Czeladź, zobaczywszy pana, padającego nawznak, z rękami rozpostartymi i wołającego — Jezus, Marja! — spłoszyła się, a Wincenty z Szamotuł, bramę do reszty wyłamawszy, w podwórze wtargnął.



Ledwie mieli czas Marcikowi ludzie, pana pochwyciwszy, pastwić się nad nim nie dając — unieść go wewnątrz domu.

Wdowa, namarszczona, nie ustępowała z progu. Spojrzawszy na pięknego, młodego, pańsko stąpającego mężczyznę, kiedy miecz jeszcze trzymając w rękę, przystępował do niej z poufałością rycerza, mieszczkę sobie mało ważącego, przybrała też dumną postać.

Piękne lice i bogaty strój gospodyni uczyniły na zuchwałym napastniku pewne wrażenie.

— Gospodę tu mieć muszę, piękna moja! — odezwał się do niej.

Greta główką pokręciła.

— Piękna, ale nie twoja! — odparła mieszcзка, biorąc się w boki. — Gospodę siłą zajmujecie, choć wojny niema! Nie dziwujcie się potem, że wam i waszemu księciu miasto sprzyjać nie będzie, kiedy od gwałtów poczynacie! Wy sobie, jak na polskim prawie zajeżdżacie, a my tu siedzimy na niemieckiem.

Wincenty słuchał; mieniali wejrzenia, łagodniał jakoś, a ona też kończyła głosem mniej gniewnym.

— Wam ja gwałtu nie zadałem, piękna gosposiu — odezwał się gość, — bom słyszał, żeście puszczać kazali, a zuchwalec ten ni was, ni mnie za nic nie miał.

— Ma on już za swoje — dodała Greta — dajcie pokój jemu i ludziom.

To rzekłszy, powoli weszła do izby, a Wincenty podążył za nią.

Naprzeciw w komorze położono Marcika; temu stara gospodyni, nadbiegłszy, głowę już obwiązała płachtami, ale majaczył, tak mu ów raz silny mózg wstrząsnął.

Greta, ledwie nań okiem rzuciwszy, gościa nowego przyjmowała.

Znudzona, rada była człowiekowi, który, jak inni, znalazłszy ją bardzo piękną i wypieszczoną, jak wielką panią, dał się jej bałamucić, zapominając o wszystkim potrosze.

Przybyły miał tę pańską ogładę, która niewiastom jest miłą, bo wyższość jakąś obiecuje, choć najczęściej jest tylko łupiną gładką pustego orzecha.

Greta więc uśmiechała mu się i spoglądała nań rada, a pierwszy gniew ustąpił wrodzonej zalotności. Rozmowa stała się bardzo zabawną.

Wkońcu, gdy późno się już bardzo zrobiło, Greta na górkę się cofnęła, drzwi wszystkie zamykając i ryglując za sobą i sługi stawiając przy nich na straży.

Gdy się to działo, Marcik, uspokojony, zasnął mocno. Dopiero ze dniem, przebudziwszy się i oprzytomniawszy, ludzi swych widząc przy sobie, wczorajszą przygodę sobie przypomniał.

Nalegał koniecznie, aby go nazajutrz precz stąd niesiono, bodaj w ulicę, na śmiecisko, byle pod jednym dachem z wdową nie był. Nie było sposobu go usłuchać, bo wszędzie ciasnota była wielka, a on ranny... Więc choć się rzucał i gniewał, nie posłuchano.

Nazajutrz, jak dzień, w mieście ruch się począł większy, niż wczora.

Pogoda sprzyjała nowemu panu, mogło więc całe zgromadzone ziemiaństwo różnych krajów skupić się w rynku i około ratusza, bo nigdzie indziej miejsca dlań gotowego nie było.

Rano bardzo zaczęli się ściągać przybyli.

Wszystkim wiadomo było, że Krakowianie, Sandomierzanie, Kujawiacy i rycerstwo innych ziem mieli dnia tego okrzyknąć Łoktka nie tylko księciem krakowskim, ale dziedzicem całej korony polskiej. Brakło tylko z Wielkopolski tych, coby przynieśli zgodę na to, a że korona w Gnieźnie była, bez której Łoktek królem być nie mógł, wiele mu na tem zależało.

Na dworcu wójta Alberta przez noc całą oczekiwano posłów z Poznania, niecierpliwiąc się, że ich nie było.

Wincenty z Szamotuł, późno przybywszy, znużony, potem przez piękną wdowę zbałamucony, dopiero nazajutrz, odziewszy się pysznie, siadł na koń i pojechał do księcia.

Chociaż wcześniej było bardzo, Greta nawpół przyodziana, weszła odsuwać okiennicę, aby się po dniu gościowi swemu przypatrzeć. Na dzień najpiękniejsze szaty gotować sobie kazała.

Radośnie powitał księżę wielkopolskiego posła, lecz po krótkiej z nim rozmowie brwi mu się ściągnęły, usta zaciął. Wielkopolanin stawiał się sam, ale za innych poręki nie dawał. Znaczniejsza część Ślązkom sprzyjała, a księżę biskupa i duchowieństwo jednając sobie, kanclerstwo dziedziczne katedrze poznańskiej przyrzekał.

Wysłuchawszy tego, Łoktek nie rzekł nic, odwrócił się, kazał rękawice i hełm podawać, aby na rynek jechać, gdy Wierzbęta przystąpił z radą, aby do Muskaty śłać i czemkolwiek go skłonić do pojednania się.

Łoktek i do tego wielkiej nie zdawał się przywiązywać wagi, ani chciał długo czekać. Wysłał kasztelana z kanclerzem do biskupiego dworu, który znaleźli zamkniętym.

Odźwierny, dawszy się im długo prosić u wrót, wystawił głowę i na zapytanie o Muskatę oświadczył, iż go doma nie było. Nie wiedziano, lub mówić nie chciało, dokąd się schronił.

Księżę, oknem zobaczywszy powracających, gdy mu znak dali, iż biskupa nie znaleźli, natychmiast konia dosiadł.

Widok był piękny i uroczysty. Sam księżę na ten dzień złoconą wdział zbroję, hełm umyślnie dlań przygotowany, który otaczała korona, płaszcz, białem futrem podbity, ostrogi złote, miecz w pochwach, kamieniami ozdobnych... Koń pokryty cały, miał pióra na głowie i rząd wyłaczany.

Wojewodowie, kasztelanowie, jechali strojni od szkarłatów i złota.

W rynku co najprzedniejsi z ziemian stali kołem ogromnem. Ziemia każda z osobna pod chorągwiami, rady i zawołania pod znakami własnymi. Ci, którzy tarcze mieli, nieśli na nich malowane godła, innym świeciły na piersiach w sukniach wszyte. Pośledniej-

szy lud gromadził się za pierwszemi szeregami, do których najmożliwszych i najpoważniejszych dobrano.

Gdy zdala ukazał się przybywający Władysław, poszedł naprzód szmer głuchy po tłumach, potem ozwało się wołanie, kolpaki i ręce podniosły się do góry:

— Jedzie! jedzie!

Zwolna zbliżał się Łoktek z twarzą wypogodzoną, witając stojących po stronach ręką i głową, uśmiechając się znanym.

W pośrodku koła było dlań zgotowane miejsce i czekała garstka duchowieństwa.

Niektórzy natychmiast okrzykiwać go już chcieli, lecz starszyzna milczenie nakazała.

Szli naprzeciw księcia najdostojniejsi z głowy odkrytymi, do których i wójt Albert ze ściśnionem sercem przyłączyć się musiał.

Mały książę stanął w pośrodku, na mieczu się oparłszy — i czekał.

W imieniu ziem swych — Wierzbęta, Wojtek ze Żmigrodu, Żegota i Prandota sandomierscy, Toporczyk jeden, Leliwa, Kaniowa, Ostojka, Różyc, Szreniawa wystąpili naprzód; głos zabrał kasztelan.

Książę długich mów nie lubił, obeszło się więc słowami niewielu.

— Miłościwy panie — rzekł — ziemianie i rycerstwo wszystko zgodnie proszą i wzywają, abyś im panował. Ze krwi i prawa należy ci stolica i moc nad nami. Wierność ci poprzysiegamy. Rządź i sądz sprawiedliwie...

Dodali i inni potrosze, a tłum ledwie można było powstrzymać, aby milczał, tak w nim wrzało.

Rękami i chorągwiami musiano dawać znaki, aby do czasu wstrzymano okrzyki; szmer niósł się, że ledwie słyszeć było mówiących.

Książę odezwał się też krótko:

— Coście za Bożem natchnieniem postanowili — jako wolę Boga przyjmuję... Przysięgam wam rządzić i sądzić po ojcowsku, władać i bronić, ile sił stanie — krwi i potu nie żałować. Jedności nam tylko potrzeba

do siły, — abyśmy nieprzyjaciołom się obronili i pokoju zażywali.

Uderzono w dzwony u Panny Marji, a wnet i inne kościoły odęzwały się, bijąc na wesołą nowinę — i ogromny okrzyk, jak huk burzy, wszystko zagłuszył.

Książe, otoczony przez dwór swój, z wojewodami, kasztelanami i co było comesów i baronów, do Panny Marji szedł Bogu dziękować.

Okrzyki nie ustawały i co słabnąć się zdaly, to znów podniesione rosły, wzmagaly się, huczały.

Cizba im wtórowała po całym mieście tak, że na Wawelu stojący u wałów — jak groźby i wyzywania słuchać ich musieli.

Na zamku cicho było, jak w grobie — w mieście dzwony, trąby, kotły i wrzawa nie ustawały, brząc groźnie.

Gdy się nabożeństwo skończyło, a książe z panami wyszedł z kościoła, powitano go nowymi okrzykami... Wszystkim, jakby kamień spadł z serca.

Poczęło się więc biesiadowanie — nie z wielkim ładem, ale wesoło i hucznie. W ulicach powystawiano ławy, stoły, a gdzie ich brakło, wrota i drzwi na beczkach pokładzono; znoszono chleby i dzbany, jadło, jakie się pod ręką znalazło.

Mieszczanie dosyć ochotnie, co kto mógł, dostarczali, choćby miasto miało być ogłodzone.

Jedni po domach, drudzy w rynku, po podwórzach i ogrodach porozsiadali się na gołej ziemi.

Miasto wyglądało, jakby szturmem wzięte, a niewiasty, krom w oknie, gdzieś na strychu, prócz posługujących bab starych, nie najrzał nikt. Pochowały się wszystkie. Kramy też, sklepy, ławki, prócz tych, w których żywność sprzedawano, stały zaparte. Mieszczanie znikli wśród gości.

Do późnej nocy śpiewami i śmiechy rozlegały się ulice.

Wincenty z Szamotuł, niewiele zyskawszy u nowego pana, bo mu mało co przyniósł, prędko się uwolniwszy, do gospody swej powrócił.

W komorze naprzeciwko leżał ranny Marcik i dobrze, że ani słyszał, ani widział, jak wesoło strojna w klejnoty i pasy Greta gościa swego przyjmowała, jak rada z nim wiodła rozmowę, jak i na cytrze mu grać i piosenki śpiewać nie odmawiała.

Szamotulski pan głowę tracił dla urokliwej zalotnicy i więcej sobie pono obiecywał po niej, niż ona myślała.

Na nim dopiero okazała się wielka sztuka niewiasty, która umiała i pociągać i odpychać, dopuszczać do siebie i bronić zbytnej poufałości, być dumną i łaskawą, gniewną i uprzejmą naprzemiany.

W ciągu doby gościa swego niemal do szafu doprowadziła, tak, że wkońcu nie wiedział, czy mu sprzyjała, czy drwiła z niego.

Pod wieczór chciał znowu do księcia iść, aby mu się zalecić, przybył bowiem dlatego tylko.

Greta, gdy się naposiadła, nie puściła go, a wkońcu, gdy już za późno było, wyśmiała jeszcze.

Gość był młody, przystojny bardzo, wesół, śmiały, wszystko mówiło za nim, ale mieszcza spodziewać się nie mogła, aby tak wielki pan myślał o niej naprawdę. Pomimo to obchodziła się z nim, jakby mu głowę zawrócić chciała koniecznie.

Zmęczwszy go dobrze temi zalotami próżnemi, gdy późno się robiło, wyrwała się bardzo zreźnie, obawiając się uzuchwalenia, i pokryjomu zbiegła do stryja Pawła, u którego się schroniła.

Strzęsiono dom cały, szukając jej napróżno.

Naprzeciwko ciągle jeszcze o niczem nie wiedząc, leżał Marcik, a choć go i tam śmiechy i głośnie wołania dochodziły, był jakby zdrtwiał i zobojętniał na wszystko. Opatrywano go, dawał z sobą czynić, co chciano, — o nic nie dbając.

Jednego z ludzi swych posłał tylko ze skargą do księcia, opowiadając się, że został napadnięty i porąbany. Służyć teraz nie mógł, a na Łowczę do wyleczenia się prosił.



Łoktek, żałując wiernego i potrzebnego sługi, posłał nietylko kanclerza, ale kanonika, doktora Racławę, którego z pod Skalki, gdzie dom z ogrodem miał — przywieziono, aby rannego opatrzył.

Książę rozkazał przez kanclerza, aby Marcik prędko wyzdrowieć się starał, bo mu był potrzebny i z miasta się nie oddalał. Pozostał więc Marcik u Greta.

Nazajutrz rano nową radością niespodziewaną zabrzmiał Kraków. Stało się, czego tak rychło sobie nie obiecywano.

Oddziały straży, pod Wawelem stojące, nie słyszały w nocy nic — ruchu tam nie było żadnego. Gdy rozedniało, bramy zawarte były, jak wczoraj, ale chorągwi czeskiej ze Lwem nie postrzeżono nad dworcem i na wałach ludzi nie było. Lękano się zasadzki jakiej i zdrady, wysłano do księcia z oznajmieniem, że Czechów coś czuć nie było.

Dowiedziawszy się o tem, Łoktek, jak stał, ledwie zbroję na sobie opiąwszy, na konia cudzego siadł i pod zamek popędził. U wrót stanąwszy, posłał herolda z chorągwią i rogiem, aby wyzwał na rozmowę dowódcę.

Trąbili długo i wołali, ale nie ukazał się nikt.

Biały dzień się już robił, nie wiedziano, co począć.

Oddział Krakowian, z Toporczykami na czele i Miecznikiem, który łaskę pańską chciał odzyskać, rzucili się naosłep do wrót z siekierami, rąbiąc je i łamiąc.

Nikt ich nie bronił i już mieli bramę wywahać lub ogień pod nią podłożyć, gdy w jednym okienku ukazał się człek blady, schorowany, który, mówić nie mogąc, rękami dawał znaki, że na zamku nikogo nie było.

Co żyło, posypało się, drapiąc na wały, na ostrokoły, łamiąc je i cisnąc do zamku z radością niezmierną, aby go księciu otworzyć.

Okrzyki wesołe doszły na miasto, skąd wszyscy biegli ów cud oglądać, a mieszczanie mu najwięcej byli radzi, bo się walki z Czechami obawiali dla siebie.

Gdy wrota, od tak dawna przez obcych strzeżone, otwały się wreszcie, a Łoktek, żegnając się krzyżem świętym, wszedł na ten gród praojców, choć mu lice rozjaśniło się na pierwszym kroku, wprędce posmutniał.

Oczom jego przedstawiał się widok bolesny, prze-rażający. Wrześniowe słońce poranne, z za mgły się wybijając, oblewało go światłem jaskrawem.

Gród stał pusty, milczący. Jeden chory łazarz, leżący u wrót, bezsilny, ledwie żyw, witał go osłupiałemi oczyma. Ślady niedawnej pogorzeli wszędzie były widoczne. Kościół stał ruiną, ledwie polepioną; dwa inne poczęte, ledwie się cokolwiek nad ziemię podnosiły. Jedynym szczątkiem dworców pańskich były ogorzałe słupy, kupy rumowisk i popiołów.

Opuszczając budy, które sobie na zamku wystawili, Czesi, gniewni, poniszczyli je i zburzyli. Stały na nich podarte i pokruszone dachy, powyłamywane wrota, porąbane uszaki i ściany.

Śmieciska tylko i gnoje zalegały podwórca napół z kamieniami i belkami.

Na tem dziedzictwie swem nowy pan nie brał nic, oprócz zwalisk i pamięci lepszych, starych czasów, gdy wesele i dostatki złościły to zameczysko.

Stanąwszy u drzwi kościelnych, lada jako z tarcic zbitych, ksiązę kazał je otworzyć i wszedł do katedry, po ostatnim pożarze cokolwiek już opatrzonej.

Pomodliwszy się u krzyża w ołtarzu, siedł w podwórce dalej.

Zdechłe konie i kości, bielejące pod wałami, łachami i gruzy go witały — ale był tu panem... Czoło okryte zmarszczkami znowu się wypogadzać zaczynało.

W tej chwili nadbiegł jeden z rycerstwa jego z chorągwią pańską i zatknął ją na najwyższym cyplu góry, a wszyscy powitali ją okrzykiem.

Reszta wojska, ujrawszy ją z miasta, wtórowała mu radośnie.

Sypał się lud, biegli żołnierze, cisnęło się pospólstwo, szły już pułki co rychlej zajmować gród, który

kropli krwi nie kosztował, z takim weselem, jakby skarby na nim czekały.

Łoktek wszedł do dworca, który tej nocy jeszcze zajmował Paweł z Paulsztynu, do izb огоłoconych ze wszystkiego, odartych i zdjął hełm ze skroni.

— Tu teraz miejsce moje! — zawołał rażno! — Nie wynijdę już stąd, chyba bym żyw nie był!

Ani do wójta na obiad, ani do miasta iść już nie chciał, rozkazując sobie natychmiast parę izb oczyścić.

W mgnieniu oka słano na miasto po cieśli, po robotników i parobków.

Urzednicy i dwór ciągnęli za panem na zgliszcza.

W ulicach cokolwiek się przerzedziło i mniej zrobiło ludno; mieszczenie odetchnęli wolniej. Kraków z Wawelem był w ręku Łoktka. Pół wieku niemal walczył on, aby się dnia tego doczekać.

Marcika w parę dni później ojciec, który się o jego losie dowiedział, matka i czeladź na dobrze wysłanym wozie powoli przeprowadzili do Łowczej.

Gdy go z domu Grety wywożono, nie spytał nawet o nią, nie obejrzał się, nie chciał wiedzieć, co się z nią działo.

Greta wyjrzała oknem, zarumieniona nieco, niespokojna, lecz że ją Szamotulski zabawiał jeszcze, bo przylgnął był do niej, wprędce ku niemu się zwróciła.

Trwała rana i okładanie jej niedziel kilka, do której leczenia balsamów i plastrów ks. Racław dostarczał, z rozkazu księcia do Łowczej dojeżdżając.

Matka też sprowadzała baby znachorki z ziołami, a że Marcik sił miał dosyć, począł się dźwigać rychło, choć z głową jeszcze obwiązaną.

Ojciec, choć bolał nad nim, cieszył się razem, iż ta przygoda w domu Grety i z jej przyczyny syna spotkała, sądząc, że ona go z głupiej miłości dla zalotnej mieszcзки wyleczy.

Jakoż czasu choroby Marcik wcale o niej nie wspomniał, o tem tylko prawiąc ciągle, jakby rad co rychlej do pana swojego powrócić i służyć mu znowu.

Gdy rana się już dobrze podgajać zaczęła, coraz niespokojniejszy Suła do Krakowa się począł wyrывать. Trzymano go długo, a wkońcu i powściągnąć nie było sposobu. Choć mu się we łbie kręciło i szumiało jeszcze, siadł na koń i pojechał.

Zapowiadał, że wprost na zamek do księcia się uda, ale nie strzymał słowa, zboczył na Rrzeźniczą ulicę, do tych wrót nieszczęsnych, których obronę niepotrzebną o mało nie przypłacił życiem.

Wrota świeciły białemi, nowo powstawianemi deskami, przed niemi stał właśnie opasły, rumiany, ale nachmurzony Paweł z Brzegu.

Poznawszy Marcika, głową doń skinął.

— Zdrówes już? — zapytał.

Suła ukazał krwawy, ledwie zabliźniony szram na głowie i czole.

— Zbójca! — zamruczał Paweł.

— Ciął mnie — odparł Marcik — a no, jeszczeż żyw — rachunek między nami nieskończony. Cóż Gre-ta, doma?

Na to pytanie Paweł usta wydał, czapki poprawił, popatrzał nań, jakby się zdziwił pytaniu i nie rzekł nic zrazu.

— Aleć żywa i zdrowa? — pytał niepoprawny Marcik.

Stryj ramionami ruszył.

— Podczas niema jej doma — rzekł sucho. — U swoich we Wrocławiu.

Skłonił się i wszedł w podwórze. Marcik, koniowi dawszy ostrogę, ku zamkowi ruszył.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXV

J. I. KRASZEWSKI

# KRAKÓW ZA ŁOKTKA

CZĘŚĆ II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH  
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,  
CZERNIAKOWSKA 225



## I.

Nad drogą z Gdowa przez Łapanów do Bochni wiodącą jest starodawna osada Wieruszyce.

Gdy Łoktek objął po Czechach panowanie, znalazł ją bezpańską i opustoszałą. Dawny jej dziedzic za zdradę jakąś przypłacił głową, a że rodziny nie miał, liczyły się Wieruszyce za książęcą własność.

Choć majątność dość była rozległą i piękną, osadnicy się w niej jakoś utrzymać nie mogli. Gdy gospodarza nie stało, wieśniacy w świat też poszli.

Napierało się duchowieństwo tego kawałka ziemi i przyległych lasów i byłoby ją dostało, gdyby Łoktek, pamiętny usług Marcika, który mu z porąbaną wrócił głową, nie począł się dowiadywać, gdzieby jaki kawał ziemi mógł mu nadać.

Kanclerz Klemens wspomniał jakoś Wieruszyce, a Łoktek, zatrzymawszy na zamku Sułę, kazał nadanie Wieruszyce spisać dla Marcika, Zbigniewa syna, żołnierza swego (Miles), na wieczne czasy jemu i potomstwu ziemię przekazując.

Nie spodziewał się Marcik łaski tej, bo mu też teraz o nią mniej chodziło, gdy majątności nie miał z kim dzielić.

Gdy mu nazajutrz po przybyciu do księcia stawić się kazano, spytał go naprzód Łoktek, widząc zwiśłą głowę i pochmurne wejrzenie:

— Cóżes to ty tak od jednego po głowie draśnięcia na siłach opadł? Z tobą i z ojcem nieraz gorzej bywało.

— O ranębym ja tam niewiele dbał — odpowiedział Suła — ale... co innego mnie doma skwasiło.

— Nie dajże sobie marnieć — począł książę. — Spocząć ci nie czas jeszcze i potrzebny mi jesteś, ale żeby na starość było gdzie głowę przytulić, a ojciec z matką gniazdo ci usłali... chcę ci dać kawał ziemi.

Obojętnie dość pokłonił się Marcik, a książę, który mu już list pergaminowy wyciągnął — zapytał zdziwiony:

— Cóżżeś, nierad temu?

— Wdzięczyen owszem jestem miłości waszej, jako ojcu dobrotliwemu — począł Marcik, do nóg mu upadłszy — szczególnie dla starych moich, co dotąd komornem siedzą, na łasce cudzej. A dla mnie — to tam!

— Cóż ci tak świat zbrzydł? — zapytał książę.

Marcik z dawnego życia obozowego miał poufałość do swego pana.

— Miły panie — rzekł — wszystko to przez te ba-by przekłete.

Łoktek się uśmiechnął.

— Cóż? urok na cię rzuciły?

— Musi to być — odparł Marcik smutnie, — bo inaczejbyś pewnie dawno plunął i zapomniął.

— Gadajże — począł książę, siadając.

— Niema o czem, miłościwy książę — westchnął Suła. — Dziewką była, miłowałem ją, zamaż poszła, owdowiała, nie przestałem. Niewiasta osobliwa, śmiać się rada, serce rwie, a z ludzi wszystkich drwi sobie.

Niech żeby ze mną, ale ze wszystkimi tak czyni. Gdyśmy Kraków zajmowali, a jam ją chciał od gospody ochronić, o mało mnie pan z Szamotuł nie ubił. I tego tak bałamuciła, jak mnie, aż wkońcu porwać ją pewnie myślał — co ona zmiarkowawszy, uszła mu do Wrocławia, i tak z niego, jak ze mnie zadrwiła. Dosyciem dla niej cierpiał — zakląłem się, że jej widzieć i znać nie chcę, ano przecie serce boli.

Marcik wzdychał tak pociesznie, że książęciu na śmiech się zbierało i rzekł:

— Pójdiesz ze mną, da Bóg, na Pomorze...

W Gdańsku urodziwych niewiast dosyć... napytasz sobie drugą.

Oddał książę list Marcikowi, który do nóg mu padł po raz drugi, a choć dosyć obojętnie to przyjął, gdy za pazuchą poczuł owo nadanie pańskie, a pomyślał, że swój własny szmat ziemi mieć będzie — kawał lasu, ryby, grzyby, wypas dla stadniny, gruntu, na których ludzi będzie mógł sadzić, że się stanie panem, jako i drudzy z chudego pacholka, zaszumiało mu w porąbanej głowie. A jakaż to dopiero radość dla starego ojca i macierzy!

Gdy go Łoktek odpuścił potem, już nawet na Rzeźniczą ulicę nie wstąpiwszy, wprost do Łowczej pośpieszył.

Była godzina późna, gdy tam stanął. Koń zarżał i stary Chaber wyszedł go wziąć do szopy. Zbyszek, który go widział wyjeżdżającym dość smutnie, uradował się, ujrzawszy w progu wracającego z jakąś butą znaczną, a licem dość wesółem, przynajmniej rozpogodzonym.

Witali się, a Zbita wieczerzę już podawać miała, gdy Marcik obejrzał się po starym dworze.

— A co? — odezwał się — jużby nam tę Łowczę warto było porzucić, bo to biesi kąt jest... życie w nim licha warto!

Zbyszek zdziwił się mocno.

— Co ci w głowie? gotówes do miasta? — rzekł kwaśno.

— Jam to mieścisko zbrzydził gorzej Łowczej — żwawo odpowiedział Marcik. — Mnieby się chciało precz stąd wynieść... Jak myślicie? gdzieś pod Bochnię! albo co?

— Cóż ci to tu soli mało? — rozśmiał się Zbyszek.

Wtem Marcik, nie mogąc już strzymać — rozśmiał się także, ale już głośno, dobył z płachty zawinięty w niej pergamin z pieczęcią wiszącą, chustę precz odrzucił i podniósł papier do góry.

— Patrzajcieno — zawołał — jaki to dobry pan, ten książę! Bóg mu daj tę koronę, której pragnie! Oj-

czułu miły — ziemi nam szmat podarował na wieczne czasy... majętność nasza zowie się Wieruszyce!

Zbyszek uszom nie wierzył, Zbita stała jak skamieniała.

— Jakie ci tam Wieruszyce — odezwał się — głowę zawieruszyły! — Co bo pleciesz! Starych nie zwódź! nie godzi się.

— Nie zwodzę, nie kłamię, nie bałamucę — zawołał, dmąc się nieco, Marcik. — Oto tym listem za wierne usługi pan mi nadał ziemię koło Bochni. Była tam, albo i jest osada jakaś, gruntów i lasu dosyć. Łowcze teraz kolkiem podeprzeć. Mieczykowi za łaskę jego nieraz wypominaną podziękować i na swoje śmiecisisko nam ruszać!

Zbyszek ani syn czytać nie umieli, przecież ów zamazany pergamin, owa pieczęć na sznurku, którą stary, pochwyciwszy, do ust cisnął — a oczy pałł niemi — uczyniły na nim wrażenie niezmiernie.

Chaber, Marucha, chłopak przybiegli przypatrzeć się z poszanowaniem, jak świętości, temu czemuś, co ziemię dawało.

Zbyszek, przekonawszy się, że syn prawdę mówił, wpadł w rodzaj radosnego szału — prawie upojenia. Długo znoszone ubóstwo, pokora, do której był zmuszony, żywot na łasce — przygniotły go tak, że odrobiny tej szczęścia spokojnie znieść nie umiał. Zaroiło się im w głowie państwo wielkie, choć nie wiedzieli, co im dano.

Temu, co długo nie miał nic, ziemia — owo czarodziejskie słowo, zawracało głowę. Ziemia, lasy, woda, pastwiska, rola, barcie — a może ludzie, służba — i swój własny dwór i chleb nie cudzy! wszystko to jak z nieba na nich spadało.

Zbyszek starowina, gdyby był mógł, puściłby się był zaraz do swych Wieruszyce, do których drogi nie znał, o których, jako żyw, nie słyszał. Marcikowi mniej było pilno — przecież i on swe dziedzictwo zobaczyć pragnął.

Zbita już w myśli gospodarstwo zaprowadzała, frasując się, skąd chudoby dostanie.

Stało na tem, ażeby Zbyszek obejmował, budował, pracował tam, a Marcik, wdzięczny panu, miał z nim iść na Pomorze, a choćby na kraj świata.

Nim się spać pokładli, milczący Chaber pewien był, że juścić i on chatynę tam z kilku zagonami otrzyma — a i Marucha coś rośla. Miała mieć dziewczki pod rozkazami swemi i zagon lnu do kądzieli.

Gdy nazajutrz ojciec i syn, o świcie grzanem piwem się posiliwszy, puścili się na spytki, szukając onych Wieruszyc, ledwie w Bochni dowiedzieli się, iż to pustynia była nad Stradomką kędyś — drugiego dnia do niej trafili.

Bezpańskie to było oddawna — granic pewnych nikt nie znał, o wodocieczach tylko powiadano, że je niegdyś stanowić miały.

Sąsiedzi wpierali się z różnych stron, zajmując łąki i zarośla. Z osadników, niegdyś tu zamieszkałych, zręby chat tylko pozostały; nie było ich już więcej nad jednego starego z synem, który się tu dziedzicem sądził, a drugi w lepiance dziad głuchy, zdziczały, w łachmanach. Z tym rozmówić się nawet nie było można.

Z sąsiedniej Woli niektórzy ludzie ofiarowali się granice i grunta zarosłe okazywać, na których ledwie widnych zagonach drzewa już bujały. Każdy z nich wszakże inaczej wiedział.

Dworu nie było żadnego, zwałiska tylko na pagórku nad Stradomką i murów szczątki zielskiem okryte. Sterczało ścian parę i złomy kamienne, pośród których młoda brzezina i łozy gęsto puszczały.

Posmutnieli Sułowie — bo wszystko tu stworzyć było potrzeba. Ale ziemię mieli swoją!

Ponieważ około Krakowa, Wieliczki i Bochni ludu się zawsze wiele różnego przewijało, miał Marcik nadzieję na Wolę zwabić osadników. Tymczasem ziemia wyżywić mogła. W lasach były barcie, w Stradomce i strumieniu, który w nią wpadał, ryby, na łąkach le-

śnych było paść się mogło — ale z rękami założonemi siedzieć tu nie mogli, a nie wiedzieć od czego poczynąć było.

Ponieważ gościniec szedł tędy od Bochni do Gdowa, a ludzi nim przejeżdżało wiele, staremu Zbyszkowi naprzód na myśl przyszło karczmę z gospodą stawić.

Tu wedle zwyczaju, kędy się ludzi najwięcej zbierało, miał wbić ów pal z kołkami, który oznaczał, ile lat woli osadnikom dawano.

Przechodnie, szukający opieki i roli, około takiego pala stawali i czytali z kołków, czy warto było iść i o naznaczenie jakiego ładu się targować.

— Byle ziemia — mówił, pocieszając się, Zbyszek — ludzie się znajdą do niej.

Przenosić się z Łowczej nie było dokąd, dopóki by jaka taka chata nie stanęła, a na tę drzewo potrzeba było wywieźć z lasu i cieśłów do niej ściągnąć z miasteczka.

Marcik mniej cierpliwy, gdy się po wielkiem swem dziedzictwie rozglądał, choć polować w niem miał gdzie i o zwierzynie mu powiadano wiele — zrozpaczył zupełnie, gotów się go był już wyrzekać. Zbyszek myślał inaczej.

— Do stu katów, — mówił do syna — gdyby przyszło nad wozem szatrę rozpiąć i pod gołem niebem stać — na swej ziemi, gdy się pocznie, robi się coś. Nie święci garnki lepią.

Jedyny ów osadnik, jakiego tu zastali, stary Dygas z synem Jędrkiem, który na zbója wyglądał, nowemu panu w oczy patrzali niechętni. Pomagali mu potrosze, ale ów dziedzic i nowy ład, jaki chcieli zaprowadzić, nie były im do smaku. Zgadzał się z swym losem, trąc głowy i spluwając, lecz posługiwać zmuszeni.

Takim był pierwszy dzień w tej ziemi obiecanej, na którą Marcik się użalał, i na parobka nie chcąc zejść, ojcu oświadczył, że na dwór do księcia powróci.

Zbyszek podjął się wszystkiego.



Drugiego dnia Suła na koń siadłszy, obejrzawszy się dokoła, u Dygasa ojca zostawując, który odwagi nie tracił, sam do Krakowa ruszył.

Tymczasem i Łoktek miał wiele do czynienia na państwie swem, jak Zbyszek w Wieruszycach.

Książę Henryk śląski wydarł mu był Poznań, na Pomorze czyhały Brandenburscy i krzyżacy.

Przyłączył się Marcik do orszaku księcia, aby o Krakowie i niewdzięcznej Grecie zapomnieć.

Na Pomorzu tyle do czynienia było, iż do Krakowa prawie zaglądać nie mogąc, a ojcu o sobie przez drugich znać dając, lat kilka Marcik zabawił.

Źle się wiodło Łoktkowi na Pomorzu z ludźmi złej wiary i napastnikami. Suła nie miał czasu o sobie myśleć. Ciągłe posyłany, targany, gnany, czemu i rad był może, wysługiwał się panu lepiej od innych i łaskę jednał coraz większą.

W przeciągu czasu tego, chociaż Pomorze się ode-rwało, Wielkopolska pod Henrykiem głogowskim, który czystym Niemcem był i w sobie polskiego ani źdźbła już nie miał — poczęła tęsknić do własnego pana. Nałęcz, których z Zarebami za zdradę i zemstę na Przemysławie, za zabójstwo króla, od szkarłatów i od ziemiańskiego szyku odsadzono — do czci wrócić za-pragnęli.

Wziął się tedy Dobrogost z Szamotuł, którego Małym zwano, przeciwko Ślązakowi ludzi gromadzić, i z Polski go wyganiać tak skutecznie, iż, pobiwszy Janasza Baberstejna, owemu Ślązaków panowaniu koniec położył.

W samym tylko Poznaniu zawieruchę niepoczciwą zrobił Przemek, mieszczanin, który ze swyni na zamku się w kościele osadził, aż go stamtąd dobywać musiano, nie bez krwi rozlewu.

We wszystkich tych sprawach Marcik, zawsze gotów, a ochoczy, księciu swemu pomocnym był wielce. Nie minął żadnej zręczności, ażeby się nie odznaczył. Miał u państwa miłość i zachowanie wielkie.

Przy zdobywaniu kościoła w Poznaniu, będąc też czynnym, od strzały w ramię otrzymał ranę dosyć głęboką. Niebardzo ją sobie ważył, bo nie była pierwsza, ani najstraszniejsza, lecz czy strzałę dostał zatrutą, czy krew w nim nie ta już, co dawniej była, rana się jątrzyć zaczęła mocno i musiał Marcik się lizać.

Jechał z nią do znajomego sobie, a łaskawego na się kanonika Raclawa z Krakowa, aby na ten postrzał radę mu dał.

Bywał ci on lat tych w Krakowie nie mało razy z poselstwami od pana do księżnej Jadwigi, która właśnie była na świat syna wydała, a któremu imię Kaźmierza na chrzcie włożono — bywał na krótko, na zamku stając i nie mając czasu rozpatrywać się, ani o sobie myśleć.

Teraz ranny, gospody sobie szukać zmuszony, gdy do miasta pojechał znowu — okrutnie mu się dawne lata i owa Greta, i to, co dla niej wycierpiał, przypomniały.

Los pewnie tak zrządził, że nigdzie sobie gospody nie mogąc napytać, na Rzeźniczej ulicy u dawnego znajomego Hinczy ze Świdnicy, którego w ulicy spotkał, a ten go jął zapraszać bardzo — stanąć musiał.

Był ten dworek Hinczy mało nie naprzeciw okien domu Grety, o której nie wiedział już nawet Marcik, co się z nią działo.

Ulica wąska, gdy okna otwarte były, do wnętrza mieszkania zajrzeć dozwalała.

Hincza, który wiedział, że Marcik w wielkich łaskach u księcia był, przyjmował go gościnnie.

Oprócz tego choć pół Ślązak, a ojca Niemca miał, po matce Polce, inną krew i obyczaj wziął w spadku. Browar, który po ojcu dostał, prowadził dalej, piwo warzył i sprzedawał — żelazem też i kruszczem różnym handlował, — mimo to naturę więcej żołnierską niż kupiecką mając, do konia i do łowów wzdychał, a najchętniej się przyjaźnił z wojakami.

Rad więc był i Marcikowi, bo z nim mógł się dosyta o tem nagadać, co mu miłem było.

Nim się jeszcze kanonika Raclawa doczekali, bo go dostać nie było łatwo, gdyż na dwór i na miasto był najslawniejszym lekarzem — Hincza doglądał, karmił i poił rannego.

Patrzali jakoś na okna Grety, gdy Hincza mrugnął na towarzysza.

— Cóż? — spytał. — O Grecie pamiętacie jeszcze, nie pozbyliście się miłości dla niej?

Marcik ręką machnął i splunął.

— A cóż się z nią dzieje?

— No — rzekł Hincza — to się dzieje, co się działo, nie zmieniła się wcale. Jaką się urodziła, taką zginie. Wiecie, że była na czas jakiś znikła z miasta. Różnie prawiono o tem, ale Paweł z Brzega przysięgał, że uciekła od tego wielkopolskiego panka do krewnych we Wrocławiu. Wróciła już dawno — a za nią wrócili zalotnicy, których może przybyło jeszcze. Bawią się po dawnemu.

Ruszył ramionami.

— Zamaż nie idzie? — pytał Suła.

— Poszłaby dawno, gdyby chciała — odpowiedział Hincza — ale czy jej tak źle? Opiekun nie zmusza, bo sam lubi siedzieć przy niej, razem z Kurcwrustem. Śmieją się ludzie, a ona z nich.

Marcik zadumał się — nie pytał więcej. Nazajutrz rano przybył kanonik Raclaw, rękę opatrzył, dał balsamy i maście i kazał pilno chodzić koło niej. Stara macocha Hinczy, niewiasta dobra i usłużna, podjęła się pomocy, a że srodze gadatliwa była i wiedziała, co się w mieście działo, Marcik się od niej o Grecie dowiedział, cokolwiek po mieście chodziło.

Baby śmiały się z niej i wygadywały na nią, że niestateczną i szaloną była, męża brać nie chcąc, aby swobody zażywać.

O podróży do Wrocławia różne baśnie plotła, że je ludzie tłumaczyli nie najlepiej. Stryj Paweł bronił jej, a w istocie znali wszyscy, że w słowach płochą była, ale hardą i nieprzystępną.

Pora była ciepła. Marcik często w oknie od ulicy

siadywał z nudów, gdy Hinczy w domu nie było. Greta, która o nim wiedzieć musiała, bo w tej ulicy byle drzwi skrzypnęły, rozchodziło się to z końca w koniec — znalazła się też raz naprzeciw u okna.

Stała, spierając się oburącz na balasach i wychyliwszy się tak, aby Suła się jej mógł dobrze przypatrzyć, oglądała się dokoła. Nie postarzała wcale, ani zbrzydła w ciągu tych lat kilku — wyglądała świeżo, różowo, tylko pełniejszą, niż była.

Marcikowi serce okrutnie kołatało, złość go wzięła.

Wtem wdowa, jakby dopiero postrzegłszy sąsiada, skłoniła główkę i zaśpiewała mu znanym głosem wesółym:

— Cóżście to o starej znajomej zapomnieli? nie raczycie?

Chciał Suła bryznąć czemś ostrem, ale mu się splątał język i — sam nie wiedział jak — z ręką na chuście, bez czapki, jak stał, wyskoczył w ulicę — wprost do Greta.

Wstydził się potem sam pewnie, ale szatańska to była sprawa. Drżał, znalazłszy się u progu znajomej izby, w której dostał tak bolesną odprawę.

U Greta nic się nie odmieniło, tylko dumna niewiasta czy lepszego bytu zapragnęła, czy jej z nudów zbytku się zachciało, mieszczańską izbę ustroiła bogaciej. Na policach stały srebra, kobierców barwnych nasłala i nawieszała dużo, które ze Wschodu przywożono, naczyń malowanych różnych i zabawek jakby dziecięcych. Ona sama wśród tych przepychów jak królowa strojna, dumna — ani przystępu do niej.

Mało co podstarzały Kurcwest, ubrany też w nowy kaftan bramowany, w pasie pozłocistym z kaletą, przy kiju nowym z sznurkami jedwabnymi — siedział w miejscu swoim.

Przywitała Greta Marcika, jakby się nigdy źle nie rozstali.

— Do ran macie osobliwe szczęście, — odezwała się — widzę znowu was ktoś żgnął.

— To prawda, że mnie żga, kto chce po ciebie i po

duszy — odparł Marcik — a no, przecie, jak widzicie, nie dają się.

Prosiła go siasć, a Kurcwurst przysunął kubek, w który ona sama zaczęła nalewać wina, pokazując mu rękę białą, całą okrytą pierścieniami.

Miała w nich upodobanie, tak, że palce niemal do pół niemi były okryte. Świeciły w nich rubiny, turkusy i różne kamyki, oczyma jak bobowe ziarna, oplatanemi złotem. Kochając się w nich, brała codzień inne, często we dnie mieniając, aby ludzie wiedzieli, że ich pełne pudła miała.

Ale Marcik więcej na ręce, niż na kamienie patrzył, a ona mu się tego dnia tak wdzięczyła, jakby doprawdy serce doń miała.

Przyjść do tej czarownicy niczem było; jak się tu znalazł Marcik, nie wiedział sam — ale teraz, gdy już siedział przy niej i patrzył na nią, na rozmowę trudno mu się było zebrać. Pożerał ją oczyma, gorzał, czerwieniał, drżał, a niewiasta, w chytrości swej dobrze o tem wiedząc, rumieniała się też — ktoby powiedział — z radości. Czuła, że go znowu w mocy swej miała. Zręcznie poczęła rozpytywać, kędy bywał, co porabiał, a Marcik, gdy go na ten gościniec wprowadziła, jechał nim żwawo.

Wspomniał jej o nadanej sobie ziemi w Wieruszyczach, gdzie ojciec mu tymczasem gospodarzył, chwalać się, że przecież teraz i on chudym pachotem nie był, mając gdzie głowę położyć.

Chwalił się i tem, że teraz całe pułki wodził, a książę mu najważniejsze sprawy polecał.

Gdy o sobie mówiąc, potracił o to, że w Poznaniu był, gdzie kościoła dobywał, przy którym braniu zabito kanonika Mikołaja z Szamotuł; nazwisko to posłyszawszy, Greta śmiać się zaczęła. Wlepiła oczy w Marcika i rzekła:

— Tych z Szamotuł toście pewno nie zapomnieli!

— I pókim żyw, nie zapomnę — odpowiedział Suła — bo z Wincentym mam rachunek, a co u mnie zakarbowano na kogo, nie przepada.

— Trudna to z nim sprawa — dodała Greta. — Słyszałam, że ów dumny panek w łaski urósł u księcia, szczególnie teraz, gdy mu pono z Małym Nałęczem pomógł do odebrania Poznania.

— Z panem on może być jako chce — rzekł Marcik — a ze mną inna sprawa. Pono i u was on w łaskach?

— U mnie? — śmiejąc się, podchwyciła Greta. — Nie trafiliście, bo go niecierpię!

Suła uszom nie wierzył.

— A tak — mówiła dalej. Gdybym mężczyzną była, nie wiem, czyby żyw został.

— Ho! ho! tak was pokrzywdził? — zawołał Marcik.

— Nie! nie dałabym się ani jemu — ale zuchwały był — i uchodzić od niego musiałam, a tego mu darować nie mogę. Kto mi się pomścić pomoże, wdzięczną będę!

Spojrzała na Marcika, który zrozumiał, że do' niego pila, ale z odpowiedzią nie śpieszył.

— Juści — odezwał się, poczekawszy. — Wasza wdzięczność smakowałaby niemało, choćby i mnie — alem ja już próbował, że przyjaźń wasza na pstrym koniu jeździ.

Piękna wdowa zarumieniła się i ramiona jej drgnęły.

— Czy wy, czy kto inny zemstę mi nad nim sprawi, a upokorzy go... zawsze sobie kogoś znajdzie. Wyście też nie ten, co dawniej.

Tem go w serce ubodła. Milczący dotąd Suła wylał się z żalami.

— Tak ci było — mówił, — miłowałem was jak szalony, życiebym był dał — ale pocóż ono wam, gdy ja u was tyle znaczę, co wióry na śmietniku?

— Nie — ale tyle, co i drudzy.

Zamilkli trochę. Marcik wzdychał ciężko i popijał mało, bo mu kanonik napoju zabronił.

Po chwili Greta poczęła sobie żartować z niego, dopytując, jak mu się dziewczęta na Pomorzu podobały,



czy Wielkopolanki wolał, czy Ślązaczki — i czy żenić się nie myślał, aby było komu w Wieruszyczach gospodarzyć.

— Dajcie wy mi pokój — ofuknął Marcik, — żenić się ja nie myślę, chyba gdy już na koń nie będę mógł sięść, wezmę babę, aby ojcu i matce pomagała.

Greta śmiała się z tego ożenku na starość, a Marcik też jej oddawał tem, że i ona chyba do siwego włosa czekać będzie ze ślubem. Pożartowawszy trochę, gdy zaczęło zmierzchać, Marcik wstał, pożegnał ją i do Hinczy powrócił.

Ten, zobaczywszy go bez czapki od Greta wracającego, witając, śmiał się i szydził, że znowu popadł w niewolę, na co Marcik ramionami trząsł.

Przy pilnem staraniu księdza Raclawa rana prędko się bardzo goić zaczęła, i Marcik nie miał już co robić w Krakowie, ale do Greta chodzić począwszy, gdy nałóg sobie z tego zrobił, ruszać mu się w pole nie chciało.

Wstyd dopiero poczuł, gdy mu doktor powiedział, że rany niema co dłużej pielęgnować, a byle chustę miękką podkładać, już i zbroję wdziać na nią można.

Ruszyło sumienie, że powinien był do Wieruszyc pojechać do starych rodziców, a swoje też dziedzictwo na pustkowiu po kilku leciech zobaczyć, co się z niego stało.

Wiele się tam znaleźć nie spodziewał — byle swoich starych zobaczył i pozdrowił. Wiózł też do nich do domu i trochę łupu na wyprawach zdobytego.

I tak dnia jednego, jakby się uląkł, ażeby do Krakowa nie przyrósł, kazał nagle konie sposobić. Hinczę zegnał — do Bochni mu się śpieszyło.

Przez bramę otwartą w dziedzińcu konie już posiadlane widać było, i Greta zobaczyć je musiała, a domyśliła się, że jej miał zbiec, więc oknem do Hinczy zawołała, żeby Marcika jej na pożegnanie przysłał.

W innych sprawach twardy chłop, Suła dla tej niewiasty był jak z wosku — czyniła z nim, co się jej zamarzyło. Nie opierając się, poszedł posłuszny.

— Cóż to? — spytała od progu. — Ja nic o wyjeździe nie wiem, a wy uciekacie? Dokąd?

— Do Wieruszyc jadę — rzekł Suła. — Od czasu, jak mi je dano, nie widziałem ich.

Zakręciła główką.

— A potem?

— Pewnie ksiązę mnie zawoła, bom służby się nie wyrzekł.

— Z mojej to się uwolnić chcecie! — rzekła szydersko.

— Przeciem dostał odprawę! — westchnął Marcik. — Tyle tylko uczynić mogę, aby wam usłużyć, iż panka z Szamotuł dumę i rogi przytrę.

Greta głowy ruchem podziękowała.

— Do strzemienia — odezwała się — kazałam wam zagrzać wina. Napijcie się.

Sama z policy połączany kubek zdjawszy, otarła go, nalała i podała z uśmiechem.

— Gdy wino wypijecie, — dodała — becherek do kieszeni weźcie, aby wam w podróży i w domu przypominał Gretę.

Marcik chciał ją wpół chwycić, aby podziękować, ale mu się wyrwała zręcznie. Pił więc, pocałował kubek i za pazuchę go włożył.

Już szedł do progu, patrząc na nią, gdy wdowa, obejrawszy się, pochyliła ku niemu i szepnęła zcicha:

— Długo w tych Wieruszycach nie bawcie. Ja wam i panu waszemu dobrze życzę, stryj Paweł też. Więcej powiedzieć nie mogę, tylko, że tu w Krakowie będzie co może do czynienia.

Suła niespokojny chciał pytać, gdy dodała:

— Nas w mieście ludzi różnych dużo jest — nie wszyscy myślą jednako. Ksiązę wasz ma i druhów, i wrogów. Dziś mówić więcej nie pora. Jedźcie, a wracajcie. Stryj Paweł wam dobrze życzy — rozmówicie się z nim.

Więcej z niej dobyć nie mogąc, Marcik, niespokojny trochę, odjechać musiał.

Gdy mimo Greta domu przejeżdżał, wdowa wychyliła się z okna i chustką białą, choć ludzie w ulicy stojący patrzyli, zegnała go długo.

Sule znowu i głowa się zawróciła i serce zakołatało.

— Moją musi być! — powtórzył po staremu.

## II.

Z tego, co ojciec przez ludzi nakazywał, Marcik domyślać się nie mógł wcale, jak sobie radę dawał na nowem gospodarstwie.

Lat upłynęło kilka, stary Zbyszek, jak odmłodniały, krzątał się i zabiegał, mało wiele coś przecie zrobić musiał.

Marcik tak ciekawym był swych Wieruszyc, iż trochę zapomniał o zalotnicy i o tej zagadkowej przestrodze, którą go pożegnała. Podejrzanem mu było, że do Krakowa wracać kazała, a właśnie sobie tego nie życzył, aby się jeszcze więcej nie dać spętać i wodzić babie na pasku.

Ale sprawa księcia u niego była pierwszą zawsze.

Zbliżając się ku Wieruszycom, gdy już na gościńcu od Bochni do Gdowa się znalazł, serce mu pocziwiał miłością starych rodzicieli uderzyło.

Tyle lat ich nie widział, głosu nie słyszał, uścisku macierzyńskiego nie czuł.

Gdy po raz pierwszy z ojcem tu byli, Zbyszek zapowiadał, iż dworu nowego gdzie indziej stawiać nie będzie, jak na wzgórzu, kędy rumowiska, gruzy i ściany ze starego zostały.

W tę więc stronę oczy się jego zwróciły i uśmiechnął się, widząc, że tam coś już jak dach ponad zarośłami majaczyło. Drzewo ścian nowych, które nie miało czasu poczernieć, żółto przez liście przeglądało. Stał i tyn na pagórku i szopy.

Nie szukając więc ścieżyny, konia naprzelaj popędził, oglądając się dokoła. Gdzie dawniej chata stała

i dziadowska lepianka, w odstępach od siebie zobaczył cztery chałupy w ogrodach.

Ojciec więc doszedł już był do czterech osadników na woli czy niewoli — i było za co ręce zacząć.

Raźniej jechał pod zarośla, które pagórek dworski otaczał.

Dwór był niewielki, niewspaniały, ale mocno zbudowany z drzewa, bo na mur ani czasu, ani kosztu nie stało. Z jednej jego strony zęby kłód w zrab pokładzionych zostały tak niepokryte i nieociosane, jakby do nich nową ścianę przyczepić chciało.

W pośrodku dworek miał podsień na słupkach, drzwi jedne, a z obu stron jedno i dwa okienka. Szopy wszystkie z chróstu były splecione, niektóre mierzwą poohacane, inne polepione gliną. Stała pośrodku studnia z zórawiem, a przy niej żłób na palach. Wrota kryte, wiodły w podwórko.

Marcik się uradował — wszystko to jego było, wszystko, i czterej osadnicy pode dworem, a może więcej gdzie w lesie.

Czeladź, którą z sobą miał, otworzyła mu wrota wprzód, nim kto wyszedł ze dworu. Dopiero, gdy te zaskrzypiały, Chaber się pokazał w progu, krzyknął radośnie i zniknął.

Za nim w białej namitce wybiegła stara Zbita, wołając już syna po imieniu. Zbyszka tylko nie było.

Zsiadł albo raczej zeskoczył Marcik, biegnąc do matki, a o ojca dopytując, bo go strach ogarnął.

— Tylko co nie widać, gdy wróci — zawołała Zbita wesoło. — Ho! ho! ani go poznać, tak tu odmłodził! On, co bywało pół dnia u ognia siedzi, ani go napędzić, aby konia poszedł zobaczyć, teraz całe dni po lasach się tłucze, łąk pilnuje, stadka dogląda i tych nieszczęsnych chłopów, z którymi skaranie Boże!

— Dobrze, że i tacy są! — zawołał Marcik.

— Kto wie, czy lepiejby nie było ich nie mieć — poczęła matka. — Wiadoma rzecz, że dobry człek nie rad się ruszy z kąta, a ci, co się do nas przybłakali, obieżyświaty i złodzieje, że od nich, jak od nieprzyja-

ciół dzień i noc pilnować się trzeba. Spasają, rabują i kradną.

Jużeśmy tego Dygasa, co tu dawniej siedział, sołtysem zrobili i kawał gruntu dali za to, ale ni on, ni my z nimi nie poradzim...

Zasypała go matka pytaniami, przerywając je narzekaniem na biedę swoją.

Marcik rozpatrywał się po kątach. Ubogo było! Wszystko znova od siekiery ciosane, jeszcze prawie wyschnąć nie miało czasu. Ławy, stół, police, ognisko lichu poustawiane — ciasnota i niewygoda.

— Ale swój dach! — mówił sobie Marcik. — Nie wypędzi nikt i nikomu się kłaniać nie trzeba.

Rozpoczynała Zbita opowiadanie szerokie o tem, co oni tu wycierpieli w szalasie, nim dworek się pobudował — na wozie pod namiotem, w szopce przesiadując, jak zakładając dom, czarną kurę zabili starym obyczajem, pierwszą ją wpuściwszy do zrębu — gdy Zbyszek jak oszalały z radości wpadł i nuż syna ścisnąć a całować...

Prawdą było, że stary odżył, utył, choć posiwiiał, a twarz mu się jak zmarzłe jabłko pomarszczyła.

Był teraz gadatliwy a żwawszy.

W pierwszej chwili wszyscy mówić chcieli, nikt nie słuchał, ale radowali się wszyscy, sług nie wyjmując.

Zbyszek chwalił się tem, czego on dokazał — mówił, że to chyba cuda. Zbita żaliła się na to, co ucierpiała. Chaber dawał uczuć, że i on niepoślednio się zasłużył. Gotowano jeść, a Marcik o swoich losach prawił i nierychło uspokajając się zaczęli, aż im sił zabrakło.

Spokojniej po chlebie i piwie rozpowiadano dalej. Zbyszek przy swem stał, że on przy pomocy Bożej tyle tu zrobił i nikt w świecie tegoby nie potrafił. Skarżył się, iż osadnicy urwisze były straszne, jeden podejrzany o to, że ze zbójami trzymał i po drogach łupił, drugi pijak, podchmieliwszy, z siekierą się brał do ludzi, trzeci leń i do niczego i t. p.

A jednak z pomocą ich i najemnych przybłędów było siano dla koni, półka coś obsiano, na równinie nie-

źle zrodziło i krożek stał. W szopie owce beczwały, było kilkoro sprzężaju i mała stadninka.

Z tego, co już uczynił, Zbyszek wnosił, że do wielkich dojdzie rzeczy. Skarżył się tylko, że mu niemiłosiernie dziesięcinę wytykano i osadnicy narzekali, że od granicy wpadano mu do lasów i o łakę miał wojnę z sąsiadem.

Na cały wieczór stało stękania nad biedą, ale mimo biedy Zbyszek był szczęśliwy, wesół, zdrów. Opowiadanie syna o wojnach i wyprawach radowało go też niezmiernie.

Dla różnych spraw stary nietylko do Bochni jeździł, ale i do Krakowa zaglądał często. Mowa się poczęła o nowym panu, którego Marcik radby już widzieć w koronie, gdy Poznań i Gniezno odzyskali.

Zbyszek coś głową kręcił.

— Daj mu Panie Boże — rzekł, — doczesną i niebieską koronę, ja mu pewnie życzę... a no... człek się o różnych ociera, nasłucha różności... trwoga ogarnia.

— Czego? — spytał syn zdziwiony.

— Wrogów ma dużo — odparł stary. — Najgorzej nań Niemcy biją.

Marcik wspomniał sobie to, co mu Greta mówiła na wyjeździe i pytać począł:

— Czegóż to im tak pod nim źle? kto się skarży?

— W Krakowie — mówił ojciec — Niemcy bezmała wszyscy nań bij, zabij, dlatego naprzód, że on ze wszystkich książąt najmniej zniemczał, a potem, że... jak oni gadają, skórę z nich zdziera.

— Cha! cha! — śmiał się Marcik — a z kogóż brać, jeśli nie z nich? Nasz pan skarbów ani po ojcu, ani po stryju, ani po bracie nie dostał, kto mu ma dać, jeśli nie poddani? Przecie, aby oni w pokoju handle prowadzili i bogactw nabywali, on krew swoją i naszą przelewał. I to ma być darmo?

— No, a piszcza, narzekają — wtrącił Zbyszek, — i... co gorzej, odgrają się, słyszę... Mruczą coś szoldry, że sobie chcą innego pana szukać.



Usłyszawszy to, Marcik zerwał się gniewny i kufak podniósł w górę.

— Tak śpiewają! — krzyknął — no to my im rozpuszczonej gęby przymkniemy.

I zaczął badać ojca, gdzie mógł słyszeć o tem. Zbyszek powiadał, że na rynku w Krakowie nietrudno było o tem posłyszeć, iż głośno Niemcy prawili, jako im pod polskim panem żyć nie można, bo ziemianie i rycerstwo górę biorą, każdy ich szarpie, a u Łoktka lada ciura lepszy, niż pan wójt krakowski.

— Bo inaczej być nie powinno! — rzekł Marcik.

Zbyszek, choć sami byli, trwożliwie jakoś głos zniżał.

Dodał poufnie, że słuchy chodziły, choć próżne może i ływe, iż się mieszczanie już ze Ślązakami zwachali, aby Łoktka wygnać z Krakowa. Drudzy obawiali się, by z Czechami nie mieli porozumienia.

Marcik zmilczał, ale w duchu sobie rzekł, że rozumiał teraz, o czem Greta przestrzegała i pomyślał, że pilniej było w Krakowie sięść, niż na Pomorze śpieszyć. Spisek przeciw księciu oburzał go tak, iż krwawą zemstę poprzysiągł zawczasu.

Z niewielu słów ojcowskich nabywszy strachu, Marcik ledwie parę dni dał się trzymać w Wieruszycach — pilno mu było nazad.

Miasto znał dobrze z tych czasów, gdy jeszcze w Łowczej siedzieli, o mieszczanach wiedział, jak który myślał, w Krakowie więc na straży trwać trzeba było.

Na rękę zresztą mogło być, że się od Greta nie potrzebował oddalać.

Wybierał się już, gdy dzień jeden dla słoty go wstrzymano, ale niecierpliwość w nim rosła i nazajutrz dodnia, choć deszcz prosił jeszcze, popędził śpieszniej, niż do Wieruszyc jechał.

Książę Łoktek podczas był w Krakowie, chociaż go układy i spory o Pomorze, traktowania z przewrotnymi krzyżakami ciągnęły gdzie indziej.

Marcik zastać go chciał i mówić z nim o tem, co słyszał.

Zaledwie dobiwszy się po ślizgocie do Krakowa, gospodę znalazłszy jaką taką na Okolu, gdzie go nie znano, opowiedziawszy się jako ziemianin z pod Bochni, Marcik nazajutrz na zamek biegł.

Tu już teraz nie takie były pustki i zniszczenie, jak przed laty. Dwór stanął wielki, na którym księżna mieszkała i Łoktek czasem przebywał. Trzy kościoły szybko podniosły się na Wawelu. Gród dokoła opatrzony był mocno i warowny.

Wprawdzie ks. Władysław i żona jego wspaniałości dawnej tutejszych panów nie potrzebowali dla siebie, ani się starali o nią, ale dla narodu samego i obcych ludzi musieli dwór trzymać wielki, a występować po królewsku, o koronę się kusząc.

W dni uroczyste stroiło się co żyło i wdziewało barwę pańską, a na powszednie pan, pani i słudzy ich w prostych kożuszkach się nosili, ani ich wielkości było poznać.

Księżna Jadwiga, niezbyt już młoda, a długiem cierpieniem, gdy w Radziejewie u mieszczanina kryć się musiała znękana, nawykła do prostego obyczaju, wołała się odziewać skromnie.

Dziećmi zajęta, dla których miłość miała wielką, sama im prawie była piastunką i sługą. Nierada zdawała je na ręce obcych, niechętnie na chwilę odchodziła od nich.

Oboje państwo żyli jak mogli, jako ludzie wszyscy, nawykłszy do niedostatku, przy którym chleb smakuje czarny. Żywot też na dworze dwojaki był. Gdy sami zostawali, jak ziemianie zamożni obchodzili się chlebem powszednim, nie dbając o wystawę i zbytek. Gdy obcy ludzie na dwór ich przybyli, legat papieski, poseł krzyżacki albo ziemianie zdala, wówczas dobywano, co było najlepszego i najwspanialszego. Służba szła po szaty świąteczne, Jadwiga zrzucała szarą suknię codzienną, książę przyoblekał szkarłatny.

Ledwie posłowie byli za bramą, wracali z radością do sukni i stołu zwykłego.

Ład na zamku panował, jakiego tu dawno nie było, skinienia słuchać musiano, a od karności wymawiać nikt się nie śmiał.

Czasy dla księcia nastały ciężkie, — groźne niemal. Czuł, że dopóki korony nie włoży na skronie, wszyscy się przeciwko niemu targać będą. Ślężacy i Niemcy po staremu drwili zeń i odgrazali się, część duchowieństwa i biskup był o niechęć podejrzany. Czuwać musiał. Miał on swych wiernych, ale swawola zawsze więcej jedna przyjaciół niż surowość i karność.

Ci, co lękać się go musieli, nienawidzili skrycie. Nie miał sposobności być okrutnym, a przeczuwano, iż nie-ubлагanym być potrafi.

Niemcy, w oczy mu patrząc, czuli ciarki, przechodzące po plecach.

Nakładano na nich coraz nowe pobory, cła, pożyczki, daniny, a wymówki nie było; wójt kłaniał się posłuszny, ale sztywny i milczący. Zbierały się zewsząd chmury, a książę, zajęty swem Pomorzem i krzyżakami, nie widział ich lub lekcewazył.

Ranna była godzina, dziedzińce pełne, choć nie gwarne, bo się tu cicho sprawiać musiano. Służba i straż chodziły spokojne, poważne, uporządkowane — każdy w swem miejscu.

Stały konie panów, którzy do księcia przybyli, zbliśka w podwórzu, innych dwory rozmieszczono pod dachami, czeladź spoczywała po izbach jej przeznaczonych, gdzie nikt z głodu nie marł, ale zbytku dla nikogo nie było.

Książęcy skarb i tak ledwie starczył na mnogie wydatki.

Marcik, który konie i ludzi tych, co do pana przybywali zwykle i na dworze jego bawili — znał dobrze, witał się z dworzany kasztelana Wierzbięty, Zbigniewa z Brzezia, Ratulda Gryfa Trepki, zwanego Żyłą, Petrosława z Mstyszyna, młodego Prandoty z Kozieglów, Ja-

kóba z Koniecpola, Ligezy z Bobrku, Dąbrowy z Rostkowa i innych.

Stała tu z innymi, czekając i rozglądając się po królewskim grodzie, który mało co inaczej i lepiej wyglądał nad ziemiańskie zamki. Wszystko tu znova wznosić było potrzeba, a Łoktek, mało dbając o majestat, wołał siłę rzeczywistą, niż jej blaski, i żołnierzy w obozie, niż grzywny w skarbcu.

Tych też rzadko było najrzeć u niego, bo byle grosz przyplynał, półkowników rozechwytywali. Ciężyły podatki na miastach, a Kraków stękał na nie.

Nierychło goście z zamku rozjeżdżać się zaczęli; Marcik, który tu wszystkich znał, poszedł do Stroibierza, ochmistrza księcia, pytać, kiedy z nim na osobności mógł się rozmówić.

Musiał poczekać, aż go po obiedzie bocznemi drzwiami wprowadzono do pańskiej komory.

Stał Łoktek, jakby wybierał się wychodzić, bo nigdy nie spoczywał i znużenia nie znał, a gdy go rada i mówienie zmęczyło, szedł do żołnierzy opatrywać ich porządek, kazał pisać listy, albo wołał przychodzących z doniesieniami. Tych zaś zawsze było dosyć z różnych stron, szczególnie od Pomorza, z Kujaw i Wielkopolski.

Zobaczywszy Marcika, uśmiechnął się książę.

— Już się wylizał? — rzekł — chwała Bogu, do pułku ci się chce?

Marcik westchnął.

— Miłościwy książę — odezwał się — choć ja w obozie chętniej służę, ale na teraz wołałbym zostać w Krakowie. Coś mnie tu niedobrego zawiewa; z Niemcami, mieszczany ostrożnym być trzeba. Ja się z nimi znam, wszystkim kąty wycierał. Myślę, że mi każeć tu posiedzieć i oko na nich mieć.

— Hm — odparł książę — mnie się widzi, że ci tu pewnie jaka podwika pachnie!

— Nie... miłościwy panie, dla żadnejbyś służby się nie wyrzekł — rzekł smutnie uśmiechnięty Marcik. — Podwika mi nie pachnie, ale Niemcy śmierdzą.

Łoktek zbliżył się doń.

— Wiesz ty co? — spytał.

— Mało albo nic... ale w powietrzu jest coś. Żle na nas patrzą, piszcza, kurczą się o podatki, bodaj, żeby nie knuli albo z Czechem, albo ze Ślązakiem. Biskup licha wart, a wójt jeszcze gorszy...

Kręcił głową, ksiązę dumał.

— Niebardo mi się spiskom chce wierzyć — rzekł po chwili — a no... nie zawadzi czuwanie. Maszli sposób na Niemców, aby z nich ciągnąć, co myślą... zostań... rób co chcesz. Ale beczynnienie zostając w Krakowie, podasz się w podejrzenie, bo oni też nosy mają. Weź na zamku urząd jaki, będziesz miał co czynić... a na miasto zajrzeć dość czasu.

— Zostanę przy zamkowej straży — odezwał się Marcik. — Niech wasza miłość przykaże, aby mnie zbyt służbą nie wiązano, abym wolniejszym był.

Stali chwilę milczący, a Łoktek się namarszczył.

— Niemcy! ci Niemcy! — zamruczał — kiedy my się od nich oczyścimy... Tu i wszędzie mnie przesładują. Sasy, Brandenburscy, krzyżacy, i po własnych miastach, co ich jest jak mrowia. Wszyscy oni się z sobą znają, za jedno trzymają, a nas, tak jak my ich, nienawidzą.

Gdy tych słów domawiał, oznajmiono, jakby wywołanych, dwu wójtów krakowskich dziedzicznych, Alberta z bratem Henrykiem.

Marcik, jako do dworu należący, stanął u drzwi, aby popatrzeć i posłuchać, z czem przybywali.

Szli wójtowie, dumnie, butno, poubierani jak dostojne pany, od jedwabów i złota. Albert starszy przodem, niosąc się jak wojewoda lub kasztelan jaki.

Twarz jego ułożona, zimna, wejrzenie przenikające, miały w sobie coś obudzającego nieufność, zdradzającego niechęć.

Łoktek przyjął ich obliczem surowem.

— Miłościwy ksiązę, — odezwał się Albert, czyniąc głęboki pokłon — przychodzimy do was prosić o miło-

sierdzie nad miastem naszym. Upadamy pod ciężarem ucisków wszelkich, a tu nam handel jeszcze sandeczanie hamują, od miasta lada kto odrywa grunta, na których dla miłości waszej zakładają ogrody i zagrody... Kupiectwo jęczy i skarży się.

Książę, jak w tęczę nieporuszonym wzrokiem patrząc w wójta, dał mu mówić do końca i długo się rozwodzić nie przerywając.

— Miejcie cierpliwość — rzekł wreszcie. — Ja bronić się muszę i utrzymać przy swoim, oganiając nieprzyjaciółom na wsze strony.

Skończy się troska moja i dla was lepsze nastąpią czasy, miasto odetchnie, gły ja spoczne. Dopókim ja niepewien swego i wy lepszego bytu nie możecie mieć. Pomagajcie mi, aby się złe prędzej skończyło.

Odezwał się Henryk młodszy z grawaminami różnemi, skarżyli się naprzemiennie, stękali; książę stał zimny, niemal szydersko patrząc na nich.

— Mili moi — rzekł — cobyście powiedzieli, gdybym ja też przed wami moje żale, a wiele ich słusznych mam, rozwodzić zaczął? To się na nic nie zdało, ja moje, wy swoje brzemie dźwigać musicie. Powtarzam wam, pomóżcie mi, abym pokój miał, to go wam dam.

Albert wtrącił zaraz, że pieniędzy nie mieli i wymaganych dać nie mogą.

— Ja ci też nie mam, a potrzebuję pilno — przerwał Łoktek. — Łacniej wam ich dostać, niż mnie.

Twardym go tak znaleźli, iż Albert zamilkł wkońcu. Stali czas jakiś, jakby czekając łaski, ale nie otrzymawszy nic, pokłonili się posępni i odeszli.

Wprost u podsienia na konie pysznie poodziewane siedli i namarszczeni pojechali na miasto do wójtowego dworu, w którym czekali na nich ci, co ich do zamku wysłali.

Stali u wnijscia Herman z Raciborza, Suderman, Pecold z Rożnowa, Hincza Keczer i kilku innych, kupcy najbogatsi, którzy tu rej wiedli — wszyscy niespokojni i poruszeni.

Zdała zobaczywszy wójta, oczyma go badali pilnie



i po znaku, jaki im dał Henryk, domyślili się, że — powracali z niczem.

Nawykli byli dawniej do tego, że ich szanowano, ustępowano im, ważono wielce, kłaniano się, bo oni tu i ich grosze królowały.

Dopiero Łoktek pokazał im, że za gości i przybyśzów ich miał, od których wymagał posłuszeństwa i ofiary.

Starszyzna była oburzona.

W ulicy, gdy Albert zsiadł, nie poczynano rozmowy; Herman z Raciborza pierwszy pośpieszył za wójtem; za nim cisnęli się inni.

Gdy się w izbie górnej znaleźli, a Albert zwierzchnią suknię zrzucił i kołpak zdjął, obejrzał się po nich i drzwi zaraz opatrzone, aby nikt nie podsłuchiwał.

Otoczono ich kołem z ciekawością wielką. Albert musnął się po twarzy bladej ręką białą.

— Od księcia się nic spodziewać nie możemy — rzekł — próżnobyśmy się łudzili. Niecierpi Niemców, litości nad nami mieć nie będzie, wyginiemy tu pod jego rządami, albo wynosić się musimy. U niego miecz jedynem prawem.

— Tak, — potwierdził Herman — tak! dawno potrzeba było myśleć o sobie.

Popatrzyli na siebie z pewną trwogą, Albert rękę podniósł.

— Pod przysięgą wielką żądam od was posłuszeństwa i milczenia. Innego pana potrzeba nam i mieć go musimy. Z tych polskich rządów i polskiego prawa trzeba się uwolnić.

Wszyscy zamruczeli potakująco.

— Ślżaka musimy tu wprowadzić — dodał Albert. Nikt się nie sprzeciwił.

— Łoktek porozrywał swe siły. Biliśmy go stąd, z Sandomierza precz wyrzucili i z kilku gródków, w których on ma przewagę, pójdzie znowu na Łaczkę.

Chociaż wójt Albert mówił to z wielką siłą przekonania, jakby wierzył w niechybne spełnienie swych

planów, na twarzach znaczniejszej części mieszczan od malowała się trwoga.

— Hm — zamruczał Hincza Keczer — nim się na to ważyć będziemy, dobrze rozrachować się trzeba, bo pan to jest zuchwały i odważny — i uparty. Sprawa z nim niełatwa.

Wójt uśmiechnął się pogardliwie.

— Zuchwały jest — odezwał się — ale siła jego zuchwalstwu nierówna. Dajmy tylko sobie ręce wszyscy, gotujmy ludzi do tego, że ważyć coś trzeba, aby się z niewoli wykuć.

— Pewno, że ze Ślązakiem którymkolwiek lepiej by nam było — odezwał się Suderman. — Dziś nie to, co za Czarnego Leszka, gdyśmy tu panowali, musimy tu ustępować Polakom. Dziś my słudzy. Język sobie nawet dla nich łamać musimy.

Albert, nie słuchając, zadumał się.

— Ślązakowi — dodał — Czechy pomogą. Duchowieństwo ma też znaczenie i moc, a biskupa Muskatę za sobą mamy. Nie daruje im Biecha — Liczcieżno, gdy się za ręce wezmą Ślązak, Czechy, Brandenburczyk, krzyżacy, biskup i my.

Lik ten sprzymierzonych rozjaśnił oblicza wszystkich, oprócz Keczera... Pecold i Herman w dłonie uderzyli, śmiejąc się.

Herman ostrożny podszedł ku drzwiom na zwiady.

— Czasu nie potrzeba tracić — mówił Albert. — Do Opola do księcia Bolesława ja sam będę docierał, z biskupem się porozumiem, do Czech i do krzyżaków śłać trzeba, aby nie folgowali. Osaczym go.

Spojrzał na Hermana z Raciborza, który głową dał znak, że gotów jest na rozkazy.

Pecold z Rożnowa rzekł głośno:

— Pojadę gdzie trzeba.

Szeptano pocichu, rozdzieliwszy się na gromadki.

Narada rozpoczęta rychło się ukończyć nie mogła... Wiele drobnych rzeczy było do obmyślenia.

Nakoniec, gdy się już miano rozchodzić, brat wójtów, Henryk, rzekł, do koła się zwracając:

— Nim się to spełni, co powinno, kłaniać się im nisko potrzeba, aby nas posadzić nie mogli, a jutro, pojutrze ostatnie grzywny, nałożone na nas, zapłacić. Niech myślą, żeśmy jarzmo przyjęli.

Herman przeciw grzywnom się oburzył.

— He? — zawołał. — Gardło im nienasycone zapychać! Poco? Zwłóczyć! zwłóczyć, a tymczasem...

Albert potrząsnął głową.

— Trzeba coś dać, aby ich uspić — rzekł. — Nie zapłacimy ile żądają — poniesiemy połowę, mówiąc, że więcej znaleźć nie mogliśmy... Na drugą zyszczyemy zwłokę.

— Połowę! — potwierdził Suderman. — Chciwi są, wezmą i to; — nim się reszty doczekają, już ich stąd wymiotą.

— Dobrze i tak — rzekł Herman — a teraz — język za zębami i nisko się kłaniać, nisko do ziemi a małymi czynić, póki ich szatani stąd nie wyniosą.

— Suderman — dodał Albert — pojedzie do Sandomierza namawiać mieszczan, aby to czynili, co i my, a opolskiemu się oddali. Henryka poślę do Sącza, abyśmy i tych do przymierza wciągnęli.

— Z sądeczanami trudno będzie — odezwał się Hincza, który widział więcej trudności, niż inni. Radziłbym ich nie zaczepiać, bo to wrogi nasze. Byle Kraków na prawo szedł, oni pewno w lewo się odbiją. Z nimi braterstwa nie będzie.

Albert, który miał się za rozumniejszego od Keczera, ramionami poruszył.

— W Sączu my też swoich mamy — rzekł krótko — porozumiemy się. Gdyby ich nie było, osiedlim umyślnie. Na Sączu mógłby się trzymać, a i o Poznaniu nie zapomnimy, aby mu go odebrać...

Tak szeroko zakreślony plan spisku wkońcu panów radnych zaślepił i wbił w dumę.

Albert zdał im się mężem zdolnym walczyć o lepsze z małym księciem.

Patrzali nań z poszanowaniem, jak na swojego pana i księcia, czując, że to, co teraz objawił, dawno

w nim mieszkać musiało, miało czas dojrzeć i przyszło w swej godzinie. Nowe życie w nich wstąpiło.

Wójt Albert, powiódłszy oczyma dokoła, znalazł na twarzach wszystkich wyraz czci i wiary w siebie. Jeden Hincza Keczer oczy trzymał wlepione w podłogę i dumiał, ale przed większością milczał.

Herman ścisnął rękę Alberta, Pecold z Rożnowa dworował mu, Suderman śmiał się w nadziei, że Polaków wyżeną i czysto-niemieckie zaprowadzą panowanie.

Wójt Albert był w tej chwili istotnie królem i władcą miasta, którego skinienia wszyscy słuchać byli gotowi.

Jak apostołów, rozpuścił swą radę, zalecając milczenie i ogleńność.

### III.

W szynku przy browarze w Grodzkiej ulicy, niedaleko rynku, piwo, choć nie świdnickie było, ale własnego wyrobu, słynęło przecie z tęgości i tłustości, a ci, co z Łoktkiem w Gdańsku bywali i kosztowali tam onego sławnego, jak smoła czarnego i gęstego — twierdzili, że piwo Szeluty mu nie ustępowało.

Co on tam do niego mieszał, jak je warzył, czem przyprawiał, iż tak smakowało, a nie kwaśniało nigdy i długo stojąc, stawało się jak miód, wytrawniejsze coraz — było jego tajemnicą. Słody sobie sam robił, zacierę własną ręką wykonywał i to tak, że skreću jego nikt dopatrzyć nie mógł.

Do Szeluty zbierali się i tacy, co w miejskiej piwnicy bywali.

Miał szynk jego dogodności wiele, bo tuż był rzeźnik, który różnego dostarczał mięsiwa. Najeść się i napić u niego było można. Gorzał zawsze ogień w izbie szynkowej, dwie babę krzątały się głośno, śmiejąc się i żartując około kociołka i patelni. Najmniej jedną starał się Szeluta mieć młodą i przystojną, bo doświadczył, że to piwu dodawało smaku.

Rzadko też tu kiedy pusto bywało, a zawsze wesoło.

Gościem stałym był tu niejaki Czelustka, którego całe miasto znało, bo od lat kilkudziesięciu, dawniej na zamku, teraz w mieście błaznował. Żadne lepsze wesele nie obeszło się bez niego.

Był to czas na wesołków i błaznów, bez których miasto żadne, dwór, możny pan, ucztą się nie obchodziła. Dlatego i my tak wielu ich malować musimy. Należą do obrazu wieku.

Czelustka był błaznem osobliwym, dokazującym nie tylko głową, ale całym sobą. Ręce jego, nogi, głowa chodziły nie tak, jak u innych ludzi, ale wyłamane były jak u lalki, tak wykręcały się, łamały, gięły, iż nieraz się zdawało, że człek pójdzie na kawałki. Był w sobie niezmiernie chudy i długi, twarz miał pociągłą i wiecznie się śmiejącą.

Nie stąpił kroku jak inni, zawsze to nogi przed się wysuwając na sążeń, to ręce wyciągając w górę, w dół zakładając je, robiąc niemi ruchy osobliwe. Skóra na głowie całej chodziła mu jak pożyczana, ruszał uszami, każdym zosobna, a gdy smutną minę zrobił, trzeba było pękać ze śmiechu.

Polak był, ale po niemiecku się doskonale wyuczył na dworze Czarnego i błaznował, jak kto zażądał, po niemiecku, czy po polsku. Niekiedy nawet z popsutą łaciną się popisywał, żeby okazać, jak mądrym był.

Spojrzyć tylko na Czelustkę dosyć było, aby się śmiać — bo postawą obudzał wesołość.

U Szeluty znali go, cieszyli się nim goście wszyscy i bardzo być może, że przemądry piwowar karmił go i poił, aby gdzie indziej nie chodził. Drudzy też z gości często rzucili mu coś, aby ich dobrze ubawił.

Oprócz wszystkich innych sztuk i sztuczek, bo piał jak kogut, szczeakał jak pies, śpiewał jak ptacy, mruczał jak kłapouch, Czelustka każdego człowieka minę i mowę naśladował, tak przejmując głos, że mu się wydziwić nie mogli ludzie. Przed Polakami wyśmiewał Niemców, przed Niemcami Polaków... nie szanując nawet księży, których śpiew powtarzał, jakby się go uczył.

Czelustka miał swój kąt na ławie, siadał w nim, gdy nie miał nic do roboty na ziemi, nogi podnosząc tak, że mu kolana twarz zasłaniały, a rękami się obejmując za nie. Wydawał się maleńki, bo siedzącego ledwie trzecia część była tego, co stał. Tym sposobem odpoczywał, spał nawet i zdawało się, jakby nogi trzymał, by mu nie uciekły.

Suknie miał bodaj jeszcze te dawne, które mu księżna Gryfina sprawiła, wytarte, poplamione, połatane. Rodzaj kaptura brunatnego kładł na głowę i ramiona, gdy mu chłodno było, i tak chodził.

Mnichy się pono niektóre na niego za ten kaptur gniewały i zdzierano mu go nieraz, ale długimi opatrzone nogami, uchodził zawsze, a u Szeluty znał takie kąty, z których nikt go dobyć nie mógł. W potrzebie chował się między kadzie w browarze.

Panowie radni niechętnie do Szeluty uczęszczali, tak samo jak ziemianie do ratuszowej piwnicy. Tu i tam przecież trafiały się wyjątki. Z zamku ludzie i wojskowi rychlej tu się znaleźli, niż pod ratuszem, a Marcik też zdawna, jak wiemy, do Szeluty uczęszczał.

Z mieszczan zaglądali tu ci, co niebardzo dobrze byli z rajcami i panem wójtem.

Jakiegokolwiek panowanie rzadko się bez sprzeczki obchodzi. Ci, co rej wodzą, radzi sobie — ci, co słuchać muszą, mruczą.

U Szeluty często słowem bryzgano ostrem — choć sam gospodarz otyły, spokojny, milczący człek z wielkim guzem na czole — nierad był słuchać tego, sam wszystkim równo kłaniając się i będąc powolnym.

Różne plotki miejskie dla bliskości Ratusza i Dynusza, kędy ławnicy sądzili, najpierwej się tu dostawały na wysadki; kto komu sprzedawał dworzyszcze, dwór oddał w połowie lub cały, kogo rajcy z miasta wyświecić kazali, gdzie co ukradziono, komu w nocy krwawych sińców nabito, albo i łeb rozplątano — najpierwej tu się dowiedzieć było można.

Prawda, że nieraz pogłoski te były fałszywe, że niejeden zmyślił, co mu puścić było potrzeba, ale przy



piwie dobrze jest zakąsić cudzą biedą. Ta zawsze przedziwnie smakuje!

Śmiech popijano piwem czarnem, a piwo zajądano plotką. Czelustka z nich, jak dobra prządka z kądzieli, wysnuwał doskonale żarty.

Zimą czasami tylko w mrozy wielkie, — latem szerokie drzwi Szeluty nigdy się nie zamykały. Nie miały tego zwyczaju i na noc chcąc je zawrzeć, potrzeba było gwałt zadawać, aby się zeszły pod jeden drąg niewoli.

W pół dnia następnego Marcik się tu znalazł, pilno rozglądając, czy kogo ze znajomych nie zobaczy. Ludzi było mało i niewielkich. Z glinianego kufla pił powoli Frycz, pisarz ratuszowy, który to gęste piwo bardzo lubił, choć gospodę niekoniecznie.

Zaledwie się tu ukazał, opadano go pytaniami, jako wszystko wiedzącego — a zdradzić wielkie arcana i tajemnice miasta — niebezpiecznem było! Pachło to wygnaniem, a co gorzej, — więzieniem wprzód.

Frycz, jak każdy człowiek, co się sobie wielkim zdaje, dumny był i mocno zamknięty. Szanowano go też Osobliwa rzecz — mąż w urzędzie ratuszowym trzymający pióro, wielkiej miłości pono dla Niemców nie miał, choć napół z nich pochodził.

Z Marcikiem znali się tak dawno, iż naówczas Frycz, wielkiej swej nie przewidując przyszłości, jeszcze z garnuszkciem u szyi do szkoły u P. Marji chodził, a Suła już się z kordzikiem kręcił po ulicach Krakowa — powiadając, że życie wszystkiego uczy, a szkoła nikogo mądrym nie uczyni.

Taki był człowiek.

Zobaczywszy pana pisarza, Marcik się zaraz zbliżył ku niemu, choć teraz urzędnik żołnierza niewiele sobie ważył. Spotykali się rzadko, bo drogi ich daleko się rozeszły.

Obok Frycza siedział, a bodaj go i poił Niklasz z Zawichostu, kupiec, który żelastwem handlował.

I tego znał Marcik, bo to był czas, gdy się Niklasz

zalecał do Grety, jak wielu innych, ale zobaczywszy, że progi nie na jego nogi, wysokie i przepędziste, dobrowolnie poszedł precz i inną mieszczkę brzydką a bogatą zaślubił. On i teść jego, Wigand z Lupczyc, mieli teraz wspólny sklep, bodaj nie największy w rynku.

Żelazo miało naówczas inną wartość i inną cenę, na wsi ludzie kawałek jego niemal narówni ze srebrem cenili. Kruszec ten drogi Niklasz i Wigand prowadzili z różnych stron, bodaj z Węgier.

Niklasz z Fryczem byli na bardzo cichej rozmowie, pochyleni głowami ku sobie, gdy Marcik się do nich przybliżył.

Choć żołnierza się obawiano i szanować musiano, ale w głębi duszy każdy mieszczanin czuł się od niego lepszym. Dawno go nie widywali, Frycz spytał:

— Musieliście kędyś z wojskiem bywać?

— A juści, to moje rzemiosło — rzekł Marcik. — W Poznaniu mnie Ślżak postrzelił haniebnie, musiałem się lizać.

Popatrzeni nań, jakby śladu rany szukając, że jej nic nie zdradzało.

— Ach! — ozwał się Niklasz — bodaj już raz te wojny ustały. Wam, jak wam, zawsze się z nich coś okroi, a naszemu handlowi wojna drogi zabiera. Po gościńcach rozboje. Co nam czeladzi nabija, a towaru nałupią!

— Ha! gdzie drwa rąbią... znacie przysłowie — rzekł Marcik. — Czy sądzicie, że nam się wojny nie naprzykrzyły? nam i wojowniczem panu naszemu? Jemu też teraz, gdy Bóg syna dał, a ziemi ma dosyć, czasby spocząć.

Niklasz mruknął:

— A pocóż mu się chce coraz więcej?

Frycz pił i milczał.

— Bo mu się ona należy — rzekł Marcik. — Dobry to pan, ale biedny, bo mu pokoju nie dają.

Niklasz dziwnie zamruczał.

— Już bo i niemłody!

— Pół wieku przeżył — prawił Frycz.

— Prawda — mówił Suła, — a na nim ani lat, ani tułactwa nie widać. Dobry pan, a nie wszyscy go tak kochają, jak należy.

Stało się cicho, bo rozmowa była drażliwą. Czelustka zerwał się z ławy, zbliżył, głowę wykrzywił, ręce wyłamał i zawołał głosem piskliwym:

— Żyw niech będzie drugie pół wieku — ale dajcież piwa!

Wszyscy się rozśmiali, choć nie było z czego.

— Ja bo nie wiem, jak go nie kochać — mówił Czelustka, głos mieniać osobliwie. — Mieszczanie krakowscy nie wiedzieli, gdzie grosze chować, a on ich tak podbiera, jak pszczoły. Biedactwoby się podusiło w ulu.

Znowu się śmiano, ale Marcik mu pogroził.

— E! ty niezdaro!

Niklasz zapatrzył się w pułap, Frycz w kubek, niby nie rozumieli.

— Skądżebyśmy brali, jeśli nie stamtąd, gdzie jest — dodał Marcik.

Żartowali chwilę jeszcze z Czelustką, gdy Frycz, może zaniepokojony obrotem, jaki rozmowa przybrała, wstał, utarł wąsy, dał znak Niklaszowi, że mu do Dyn-gusza pilno — i zemknął.

Czelustka powrócił na swoje siedzenie w kącie, a Marcik pozostał z Niklaszem, który go nie unikał.

— A cóż tam wasza Greta? — spytał.

— Jam ją rzucił — odparł żołnierz.

— Albo ona was?

— Może i to być — zaśmiał się Marcik. — Nam żołnierzom zaloty do mieszczek się nie udają, — tak, jak księciu naszemu zgoda z wami.

Niklasz bystro mu spojrział w oczy.

— Czegóż ty chcesz? Alboż zgody niema?

— Posłuszeństwo jest, ale miłości i zgody niema — mówił Suła. — Nie trza kłamać, bo wy go nie kochacie.

Niklasz się oburzył.

— Jakto? jakto? — zaczął szeplenić. — Może być, że się w mieście tacy znajdują, co szemrzą, ale więcej takich, co wolą jego, niż innego.

— Chyba nie ci, w których żyłach niemiecka krew płynie — rzekł Marcik. — Który z was, jak wy, albo i Frycz Polakiem napół jest — przecie dla gromady z Niemcami trzymać musi.

— Hm — odparł cicho Niklasz, — bo ich tu więcej jest, przy nich moc i siła, a nas — garść.

Marcik napił się i zebrało mu się na szczerość.

— Żal mi was, — rzekł — bo wy z Niemcami razem przepadniecie.

To mówiąc, wstał i chciał się oddalić, gdy Niklasz za wiszący rękaw go strzymał i posadził obok siebie. Twarz miał wylękłą.

— Wiecie co? hm! — spytał cicho.

— Nie wiem nic! — odparł Suła, — ale czuję coś. Uchowaj Boże, Niemcy z nim zadrą — krwawo się to skończy.

Niklasz chwilę siedział zadumany smutnie.

— Kto wie? — przebaknął. — O licho nietrudno! Ale — co potem? co potem?

— Co potem? — odparł Marcik. — Żle potem będzie. Wy, co rozum macie, powinniście zapobiec, aby licha nie nawarzyli.

Niklasz mu się do ucha nachylił.

— Albo my co wiemy? — szepnął. — Albo nam co powiedzą? My — jak w jamie.

— Cóżście wy — malowani?

— Nas garść! — powtórzył Niklasz, ręce rozstawiając.

— Przeciebyście na zamku znaleźli poparcie?

— Przeciwno swoim? — żebyśmy się jeszcze z sobą jedli?

Potrząsał głową.

Pili znów piwo, milcząc, gdy wszedł Paweł z Brzega i zażądał też kufła.

Kiwnął głową siedzącym i zbliżył się ku nim. Nie powiedzieli nic, lecz z milczenia ich wywnioskował,

iż coś z sobą mówić musieli, czem się z nim dzielić nie chcieli.

— Co tam słyszać u Greta? — spytał Marcik.

— No — myślę, że chyba na was czeka — rzekł Paweł wesoło. — Jużście się byli rozeszli na wieki, a teraz znowu pono dobra zgoda, he?

— Kolecie mi w oczy Gretę — odparł żwawo żołnierz, — a świat cały powiada, żeście sami w synowicy rozmiłowani!

— O! o! — śmiał się okrągły Paweł. — Albo się zapieram! Miłowałbym ją, gdyby chciała — czemu nie!

Niklasz, który słuchał roztargniony, jakby nie wiedział, o czem mowa, trącił Pawła, chwytając za rękę.

— Wójt na zamku bywał; nie wiecie, z czem powrócił?

— Owszem — rzekł Paweł — z tem wrócił, z czem pojechał. A łatwo było naprzód zgadnąć, że inaczej nie może być. Utrapiąca wojna pieniądze ssie. Któż ma dawać, jak nie my?

— Rychło i na nas skóry nie stanie! — zawołał Niklasz.

— A lepiej było za Czecha? — odparł Paweł.

Na tem się skończyło. Niklasz, szepnąwszy coś na ucho Marcikowi, wstał. Ten, choć piwa miał dosyć, dosiadywał. Zostali sam na sam z Pawłem, o którym wiedział zdawna Suła, iż z wójtem i zaciętymi Niemcami nie był w zażyłości wielkiej.

— A co, panie Pawle — odezwał się, — zły wiatr od zamku wieje na miasto? Słyszeliście? Wójta podejrzewają, że księciu nieżyczliwy i że gotów mącić.

— Nie wiem nic — odpowiedział Paweł. — Ja się o nich ocieram mało, a oni mi nie zwierzają się z niczem.

Gwarząc, wyciągnęli razem w ulicę i doszli aż na Rzeźniczą... Marcik do Greta myślał iść, on do domu.

Znalazł wdowę wielce poruszoną czemś i niespokojną; zobaczywszy Marcika, Kurcwursta precz wyprawiła i zbliżyła się doń żywo.

— W samą porę przychodzicie mi, a to gotowam była ślać po was.

— Cóż za szczęście! — rozśmiał się Suła.

— Nie myślcie tylko, żebym ja za wami tęskniła — odparła nadąsana. — Wy na zamku usnęliście; nie wiecie nic, nie widzicie! Albert coś knuje.

— Myśmy o tem wiedzieli już — rzekł Marcik — ale zawsze, Bóg zapłać za dobre słowo! Nie wiemy tylko, jak radzić na to, bo się kryją i tają, nawet swoim nie wierząc.

— Mieście się na baczności! — dodała Greta.

Nie byłby może ufał bardzo Marcik przyjaźni pięknej wdowy dla swojego księcia, gdyby nie wiedział zdawna, jak nienawidziła wójta Alberta. Mówiono, że niegdyś łaskawem okiem nań wejrzała, a stary wdowiec rozmiłował się był w niej wielce, ale dumny panek do ołtarza iść nie myślał i miłość tę za zabawkę uważał.

Greta czuła się tem mocno obrażoną i darować mu nie mogła, że ją za niegodną uznał podzielenia jego dostojęstwa i losu. Niecierpiała Alberta.

— Tego naszego królika, pana Alberta — mówiła z przejęciem wielkiem — ani wy, ani nikt nie zna, jak ja! Jemu się marzy o takim prawie do Krakowa, jak Łoktkowi do korony. Dziedziczni są panowie nasi: on i brat jego nas za poddanych i niewolników uważają. Albert dumny jest, przebiegły i chytry, a na odwadze mu nie zbywa. Wasz pan dla niego za mocny — musi sobie powolniejszego szukać, aby sam nad nim panował... Mówię wam — wy go nie znacie!

— Święta to prawda, piękna Greto — odparł Marcik — i tem trudniej nam z nim, że my tylko bić się umiemy, a chytrości tropić nie potrafim.

Greta białemi ramionami poruszyła.

— Śmieszno mnie dawać wam radę — rzekła — lecz jeśli najmniejsze podejrzenie macie, a siła przy was, czemużbyście nie mieli jego zrzucić, choć dziedziczny jest, a drugiego posadzić w jego miejsce?

— Hm — odparł tą porywczością trochę rażony



Marcik. — Pewnie, że dla nas Paweł byłby lepszym wójtem, bo lepszym jest człowiekiem, ale pana Alberta to trzebaby na czemś gorącym pochwycić, aby go ukarać. Będziemy wietrzyli zdradę.

— Tak — rozśmiała się Greta — a nim wy ją zwietrzycie, on i wam i miastu licha nawarzy!

Marcik popędliwość niewieścią policzył na karb niechęci ku Albertowi. Greta tymczasem, coraz bardziej się ożywiając, prawila swoje.

— Dajcież radę, co czynić! — rozśmiał się Suła.

— Ja? — zawołała wdowa. — Przecież wy mężczyźni krótsze włosy, a dłuższy rozum mieć powinniście!

Od słowa do słowa ucierali się z sobą napół żartobliwie, pół serjo. Przebiegła niewiasta, gdy Marcik dopytywał, z kimby w mieście mógł się sprzymierzyć, komu zaufać — wreszcie, ruszając ramionami, poczęła:

— Krótkowłosey mój panie. Ja na waszem miejscu szukałabym w mieście takich ludzi, co siedzą w niem, a do wójta nie należą i są mu solą w oku!

Niedomyślny Suła ludzi takich dojrzyć nie mógł, dumiał i przemyślał napróżno.

Dawszy mu się trochę wymęczyć odgadywaniem, Greta krzyknęła nareszcie:

— Pójdźcież na Żydowską ulicę i zapytajcie o to Muszy lub Lewka — oni wam powiedzą.

Marcik dopiero teraz zrozumiał i uradował się.

— Bóg z wami! — zawołał. — Niema to jak niewiasty, gdy człowiek sam sobie rady dać nie może. Wy wielki rozum macie!

— A wy go u mnie nie spodziewaliście się znaleźć? — zapytała szydersko.

Pochlebilo jej to jednak i zbliżywszy się do Marcika, dodała ciszej:

— Z Muszą, z Jozsem, z Lewkiem, z nimi wszystkimi, ile ich jest, możecie o tem mówić otwarcie. Wasza sprawa, a ich — jedna. Albert nienawidzi Żydów, oni jego, bo ani spraw ich nie sądzi, ani porządku mię-

dzy nimi nie trzyma. Oni należą do zamku, a wszystko wiedzą i nic nie ujdzie ich oka.

— Znacie bogatego Muszę? — spytała w ostatku.

Marcik wprawdzie spotykał Izraelitę na zamku, ale bliżej go nie znał; między słynącym z dostatków, handlującym pieniędzmi i klejnotami Muszą a ubogim żołnierzem jakież mógł być stosunek?

Przystęp do starego był trudny. Uchodził on w owym czasie za głowę wszystkich Izraelitów, osiadłych w Krakowie. Na Żydowskiej ulicy dom jego stał jak twierdza obronna, ogromnym opasany murem. Sam on z drzewa był zbudowany, ale opasanie kosztowne z kamienia mogło bodaj oblężenie wytrzymać, a wieści chodziły, że Musza miał chodnik podziemny, którym w razie niebezpieczeństwa mógł się wymknąć.

Tak wyuczony i pobudzony Marcik, nacieszywszy się dnia tego znowu widokiem czarnych oczu, choć mu się od Grety odchodzić nie chciało, pożegnawszy ją, na Żydowską ulicę wprost powędrował.

Musza, który, jakżeśmy mówili, kamieniami drogimi, złotem i srebrem handlował, nie był dla lada kogo przystępnym. Nie miał on ni kramu, ni sklepu. Trafiano doń przez innych, a do domu kto się chciał dostać, musiał mieć znanego przewodnika.

W sile wieku, choć niemłody, poważny, krzepki, Izraelita po swojemu był dumny. Odbijała się na nim potęga bogactwa, które posiadał. Żył zamknięty. Mówiono, że większą część czasu nad księgami jakimiś trawił i złoto robić umiał.

Marcik szedł do niego niezbyt śmiałym krokiem, czując, że sprawa ta cała na jego rozum i ramiona była za ciężka. Lecz przy całej jego prostoduszności nie zbywało mu na przebiegłości pewnej. Ludzi poznawał instynktem i ten sam instynkt uczył go sposobu postępowania z nimi. Najtrudniej było dostać się do Żyda i wiarę w nim obudzić.

Właśnie u wrót stanął i miał do nich zapukać, gdy wewnątrz posłyszał ogromny gwar, hałas i dziwne krzyki, tonem i głosem do tych, jakie słyszał w ulicy nie-

podobne. Sprzeczano się namiętnie, lamentowano, napół śpiewając.

Przysłuchiwał się jeszcze, gdy wrota się uchyliły i cała gromada ludzi poubieranych dziwacznie, odartych, w kapeluszach śpiczastych, z włosami z przodu długimi, a z tyłu wygolonymi, w płaszczach długich i łachmanach, zbита w masę, klóćąc się, wywijając pięściami, miotając się gorączkowo, wyparła się z dziedzińca.

Zapalone oczy, pieniające się usta, ręce poruszane gwałtownie okazywały, że spór jakiś wileki toczyć się musiał, albo wyrok został wydany. W pośrodku tego tłumu siedł człek blady, którego inni szarpali, pięści mu pod nos podsuwali, popychali, jak skazanego winowajcę.

Cała ta gromada składała się z dzieci Izraela.

Wrótny miał za nią zawierać bramę, gdy Marcik śmiało wszedł i rzekł, że z zamku jest przysłany od księcia do Muszy, aby z nim mówił.

Spoglądano nań z nieufnością, potrząsano głowami; — widocznem było, że gromada, która wyległa na ulicę, zostawiła tu po sobie jakieś wzruszenie. W głębi w oknie domu widać było poważnego mężczyznę z czarną, nieco siwiejącą brodą, w aksamitnej czapeczce na głowie, wyglądającego za odchodzącymi. Był to Musza, który po oznajmieniu Marcika zaraz do siebie wpuścić kazał.

Izba, w której go przyjął, skromnie ale dostatnio była urządzona. Proste kobierce okrywały ławy, sprzętu było mało — szafa jedna stała w kącie.

Milczącym ruchem ręki gospodarz pozdrowił wchodzącego.

— Jestem sługą księcia Władysława — ozwał się Marcik — wojowałem z nim długo i miłuję go. Krótko wam powiem, z czem przychodzę, bo gładko a wiele mówić nie umiem. Mieszczanie Niemcy knują coś przeciwko naszemu panu — jawna to już rzecz. Myślą sobie pewnie nowego szukać na Śląsku lub Czechach.

Musza, niby zdziwiony, zlekka głową potrząsał.

— Knuje się coś — powtórzył Suła. — Księżę za mało o to dba, ale my, słudzy jego, i na mieście co jest pocziwych, boimy się. Wy też do wójtowych nie należycie, powinniście pomóc nam, aby, uchowaj Boże, nie dopuścić zdrady.

Skończywszy, podniósł nań oczy; Izraelita stał spokojny, zamyślony, jakby potrzebował długiego zastanowienia się, nimby odpowiedział.

— Skąd wam ten strach przyszedł? — zapytał.

— Z miłości dla naszego pana — rzekł Marcik — i z tego, co po mieście już gadają, niedarmo...

— A nasz miłościwy pan wie o tem? — spytał Musza.

— Wie tyle, co i ja — ale waży lekko.

Żyd poruszył się, ręce za pas założył, oczy w ziemię wlepił.

— A czegoż wy od nas chcecie? — pytał.

— Pomocy do wytropienia tej zdrady — odpowiedział Marcik. — Macie swych ludzi, swe drogi, łatwiej niż my wiedzieć możecie, co się u wójta gotuje.

Musza głową potrząsał, słaby uśmieszek zarysował się na jego ustach — tak, że ledwie z pod gęstego zarostu domyślać go się było można.

Zapanowało przeciągłe milczenie.

— Za wiele od nas chcecie — rzekł wkońcu Izraelita. — Sami mówicie, że wójt nam wrogiem jest. Rada i ława — wszystko nieprzyjaciele, jakże my zbliżyć się i badać ich możemy?

Nie czekając na odpowiedź, gospodarz wskazał siedzenie, a sam, ocierając czoło chustą, która u pasa wisiała, mówił dalej.

— W mieście gadają? — Cóż mówią? skąd ten niepokój?

— Poczciwsi mieszczanie, obawiając się rozruchu i zemsty, wietrzą już spisek. Mówią, że Albert pod pozorem handlu swoich zaufanych w różne strony rozsyła. Dzień i noc u niego obrady tajemne. Są poszlaki wielkie!

Izraelita zdawał się niepewny, co ma począć i mówić — wahał się.

— Cóż my możemy? — ozwał się, — my biedni Żydzi? my, co się opłacać musimy, aby nam wolno było powietrzem oddychać i wody wziąć u studni, my, których raz wraz podejrzewają o zbrodnie, o czary, o bezbożność, my, co się bez osobnego znaku w ulicę pokazać się nie możemy? My żadnej mocy nie mamy.

— Wy — odparł Marcik rezolutnie — macie rozum, przebiegłość — i pieniądze, które najwięcej znaczą.

Musza pogardliwie ruszył ramionami.

— A tak! — rzekł — pieniądz to jest jedyny oręż nasz, którym się bronić musimy — ale też jest on największym nieprzyjacielem naszym, bo wszyscy nań czyhają.

Z przeciągającej się tak rozmowy nic nie mogąc wydobyć dla siebie, Marcik zaczynał się już niecierpliwić, chciał mocno nacisnąć na Żyda, aby mu stanowczą dał odpowiedź, gdy do izby wszedł siwy, podobnie do gospodarza ubrany mężczyzna w wysokiej czapce śpiczastej, nie zdejmując jej, i dopiero, obcego ujrzawszy, którego zmierzył okiem niechętnem, powoli zsunął z głowy nakrycie. Poczęła się między nim a Muszą żywa, w niezrozumiałym języku rozmowa.

Przybyły był wzrostu znacznie mniejszego, brodę miał siwą, a w twarzy jego, niemilego wyrazu, źle ta jona niechęć się malowała.

Ze spojrzeń, rzucanych na siebie, Marcik zmiarkował, że mowa o nim była między nimi.

Był to możny też Izraelita, handlujący towarami wschodnimi, którego Lewkiem zwano. Ten, rozmówiwszy się z gospodarzem, poruszył ramionami, czapkę swą wziął ze stołu, zukosa spojrzał na Marcika, i, nie odezawszy się doń, wyszedł z izby.

Marcik zżymał się niecierpliwie.

— Mieszkacie na zamku? — spytał go Musza.

— Tak jest, do dworu księcia i załogi zamkowej należę.

— A dopytać się tam o was można?

— Pytajcie o Marcika, Zbyszkowego syna, Sułę, z Wieruszyc pod Bochnią, — odezwał się gość z pewną dumą — a traficie do mnie?

Izraelita badał go, słuchał, ale ogłędny, nie wyga-  
dywał się z niczem. Cekał jeszcze Suła, gdy w sieni  
dały się słyszeć głosy sporne. Musza do drzwi pośpie-  
szył, otworzył je i nakazująco odprawił natrętów, któ-  
rzy natychmiast zmiłkwszy, w dziedziniec wyciągnęli  
i tam znowu żwawo się kłócić zaczęli. Musza widocznie  
był sędzią i rozjemcą dla swego ludu.

Na zapytanie powtórne, czy się może jakiej spo-  
dziewać pomocy, Suła otrzymał odpowiedź wymijają-  
cą i obojętną.

Zmarszczył się i miał wynijść, nie tając przykrości,  
jakiej doznał, gdy Izraelita począł go łagodzić, powta-  
rzając, iż sobie sami ledwie mogli radzić, a nikomu  
być pomocą nie zdołają.

— Co my możemy biedni! — powtarzał. — Sie-  
dzieć możemy cicho, by się nikomu nie narazić. Zamek  
nas nie broni od wójta... a nasza swoboda taka, że nas  
z obu stron cisną! Co my możemy?

Marcik, już się nie oglądając na przeprowadza-  
jącego, zburzony wybiegł w ulicę.

#### IV.

W parę dni potem Marcik, który błądził ciągle nie-  
spokojny, bo mając coś na sercu, beczynnym wysie-  
dzieć nie umiał, włócząc się od piwnicy ratuszowej do  
Szeluty, od browaru jego na ulicę Rzeźniczą i do Mi-  
kołajewskiej bramy, aby podpatrywać, co się w wój-  
towym dworze dzieje, dostał języka, iż Albert w drogę  
się dla jakiejś wyprawy handlowej wybiera. Wiedział  
także, iż prawa jego ręka Herman z Raciborza, w po-  
dróż jakąś tajemnie się wybrał, a Pecold z Rożnowa  
także się do niej gotował.

Wszystko to byli najwięksi przyjaciele i najczyn-



niejsi pomocnicy wójtowi, ludzie, na których pilne miał oko. Czuł, że ten rozjazd podejrzanych nie mógł być przypadkowym.

Wiedząc, że Greta nieprzyjazną była wójtowi, Marcik pobiegł do niej, ażali i tam się czego nie dowie.

Nie zastał ją samą; zabawiano się u niej, jak zwykle. Stryj Paweł z Brzega, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichostu siedzieli za stołem. Piękna zawsze gosposia, rada się pośmiać, popisać z dostatkiem i gościnnością, zachęcała do kubków, dolewała sama, podsuwała mi-sy z łakociami, które na stole zastawiano.

Rozmowa toczyła się wesola, pusta, bo Greta taką lubiła; — starych i młodych na pokuszenie wystawiać, rozum im odejmować, do szału pobudzać było jej naj-ulubieńszą rozrywką. Naostatek wydrwić tych, których wywiodła w pole i pozbyć się — wprawiało ją w humor najlępszy.

Wejście Marcika ostudziło trochę rozmowę nieco ożywioną. Dość było jego skłopotanej twarzy, aby drugim wesele odebrać.

Greta natychmiast otarła kubek, naląła i podała mu go... Od śmiechu była jak wiśnia rumiana, a przy ustach różowych i płonącej twarzy piękne jej ząbki białe śliczniej jeszcze połyskiwały i czarne oczy paliły ogniściej, niż zawsze.

Pierś rozkołysana poruszała rąbkiem białym, którym tak była przysłonięta, aby do przypatrywania się pobudzić. Cały w blachach i haftach gorset sztywny kibić jej i okrągłe kształty uwydatniał na pokusę starych wielbicieli.

Choć już pierwszą świeżość młodości straciła była Greta, ponętę w sobie miała jeszcze taką, iż począwszy od stryja, wszyscy z zachwytem w nią wlepiali oczy. Paweł z Brzega, jako opiekun, więcej sobie pozwalał niż inni, chwycił ją za ręce białe, przyciągał ku sobie, mrugając, pokazywał Niklaszowi i Hinczy.

Bystra niewiasta poznała zaraz z oczów Marcika, iż tym razem może nie dla niej samej tu przychodził. Chciała się dowiedzieć, co robił. Wprawdzie wszyscy

tu swoi byli, lecz w szerszym kółku o drażliwych rzeczach mówić się obawiano. Hinczy Keczerza niebardzo była pewną, nawet nie wiedziała, z kim trzymał.

Mówiono o poławianych przy łaźni żydowskiej mężobójcach, których już na ratuszu trzymano w więzieniu, a ławnicy ich na śmierć sądzić mieli. Na cmentarzu też u Panny Marji w nocy schwytano podejrzaną niewiastę... To były nowiny miejskie.

Marcik słuchał, ale mało go to obchodziło.

Niklasz sprzeczał się, że wdowa Erlichowa nie miała prawa do połowy dworu i jatek na Grodzkiej, a Keczer wiedział, iż w księgach stało, jako mąż jej to przykazywał. Pół zaś ławki oddał za duszę swą do św. Trójcy.

Wśród tego paplania latały na piękną Gretę gorące wejrzenia; szepty, śmiechy i mrugania je przerywały.

Marcikowi znudziło się tego słuchać i przerywając historję wdowy Erlichowej, o której utrzymywano, że za młodego parobka, służącego u niej, zamąż wychodzić miała, rzekł nagle:

— Dokądże to pan wójt jedzie, nie słyszeliście?

Niklasz i Paweł zerknęli ku sobie.

— Alboż jedzie? — zapytał pierwszy.

— Mówią, że wyjeżdża, no i dużo jakoś panów radnych w różne strony rusza — odparł Marcik, kładąc nacisk na to szyderski. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold albo się już porozjeżdżali, lub są na wyjeździe. Czegoś im pilno bardzo.

Greta patrzyła nań, dając znaki oczyma.

— Alem ja dziś u pana wójta był, — rzekł Paweł z Brzega — o żadnej podróży mowy nie było.

— Hm — rzekł Marcik, — albo to o każdej podróży się mówi?

— Juści prawda, — śmiejąc się, rzekł Keczer — gdy się dowiem, kędy tanio towar kupić można, jadę sam, nie trąbiąc o tem na rynku.

— Żeby nasz wielowładny pan wójt — przerwała Greta — sam miał jechać za kupią — temu nie uwierzę. Dziedziczny nasz władca za wielki pan na to, ma i bra-

tów i swatów mnogo, co go zastąpią radzi. Gdy się sam w podróż puszcza, musiałby towar być wart tego.

— Nie takie to wielkie pany — sprzeciwił się Ni-klasza. — Niedawno urosli. Ludzie pamiętają, gdy ojciec ich za Czarnego sam łokciem mierzył w kramiku. Dorobili się tej wielkości po obronie zamku.

— Tak, ale teraz wójt dziedziczny, drugi ksiązę — odparła Greta. — Podoba mu się wasza albo moja głowa. każe ją ściąć i nikt mu nie powie nic. Myśmy jego ludzie. Rajców ma, jakich chce. Ławników też — a mia-  
sto w kieszeni!

— O! o! o! — poczęli wszyscy wołać chórem. — Jeszcze do tego nie przyszło...

— Przyszło już! — odpowiedziała Greta stanowczo. — Robi z nami i z miastem, co chce.

— Ale my też do rady należym — rzekł kwaśno Paweł.

— Ale cóż wy i rada znaczący? — zapytała gorąco Greta. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold, sługi jego i zauszniczy rej wodzą, a wy — siano za nimi...

Wymówki te nie podobały się gościom, pospuszczali głowy; Greta tem skwapliwiej kończyła:

— Pan wójt u nas królem!

Milczenie, które nastąpiło potem, przerwał Marcik.

— Nasza gospodyni prawdę mówi... Tak ono jest!

Goście zakłopotani kwaśno poruszać się zaczęli. Żartował jeden i drugi, obróciwszy się do wdowy i powynosili się. Marcik i Paweł tylko pozostali.

— Ciekawaby to rzecz była dowiedzieć się — wznowił Marcik — dokąd się pan wójt wybiera? dokąd jego pomocnicy? Dopytać się nie mogę.

— Trudno — odpowiedziała Greta, — bo za czterema jechać wślad jednemu niema sposobu... ale... przecież, gdybyś sobie wybrał z nich którego...

Marcika myśl ta tknęła, wypił wino, śpiesząc, spojrział na wdowę i zegnał się.

Greta rozumiała, iż miał jej usłuchać.

— Przychodźcie do mnie częściej — zawołała, odprowadzając go do progu.

Suła był zawsze do podróży gotowym. Ruszył zaraz wprost przed dom wójtowski, pod którym przez cały dzień do nocy dużo ludzi siadywało, a drugie tyle uwiijało dokoła. Chciał tu dostać języka. Weisnął się w tłum, nadstawiając ucha, usiłując naprzód dowiedzieć się, czy wójt już nie ruszył.

U wrót podwórzowych czeladź rozповідаła, że dopiero wieczorem do Miechowa się wybierał.

W Miechów ten nie wierząc wcale, Marcik też skoczył na zamek po konia i, służki nawet nie biorąc z sobą, stanął tak u Mikołajewskiej bramy na czatach, aby mu się wyjeżdżający wymknąć nie mógł. Sądził bowiem, że najbliższemi wrotami Albert wyjechać musi.

Wieczór był szary, gdy ujrzał z kamienicy wyciągającego wójta, ale, przeciw zwyczajowi, tak niepozornie przyodzianego, z orszakiem tak lichym, iż gdyby o nim nie wiedział i nie czatował nań, nie poznałby go pewnie.

Skrywszy się u wrót, Marcik wyczekał, aż się gromadka ta odbiła trochę i zwolna podążył za nią.

Musiał jednak posuwać się ostrożnie, trzymając się zdala, aby go nie poszlakowano.

Pusto było dokoła. Sama godzina, którą sobie wójt do wyjazdu wybrał, podejrzanym go czyniła.

Więcej jeszcze to, że z miasta na błonia się wydobywszy, począł przedmieścia okrążyć, snuć się, jakby bez celu, jak tropiony zając kluczyć, aż wreszcie wydobyl się na gościniec, który ku Pradze i do Czech prowadził.

Marcik nie poprzestał na tem, chciał być zupełnie pewnym tego.

Wprawdzie dla samotnego człowieka okolice miasta po nocy niebardzo były pewne, ale miał dobry kawał miecza u boku, obuszek u siodła, konia mocnych nóg i szparkiego chodu — postanowił ścigać dalej.

Wójt, na szeroki wybrawszy się gościniec, począł mimo nocy szybko się naprzód posuwać. Marcik tro-

chę się zakłopotał, bo nagle z wielkiej drogi zwrócił Albert na małą boczną, wiodącą do osady na gruntach miejskich założonej i do miasta należącej.

— Tropić, to tropić do ostatka — rzekł w duchu Suła. — Zobaczymy, czym go posądził napróżno.

Wschodzący księżyc pogoń ułatwił. Konia tylko musiał uśmierzać, bo zbyt mu się rwał naprzód, czując te, które ich wyścigały.

Przy słabym blasku dojrzał goniący, że wójt skierował się ku dworowi w zaroślach i tu się zatrzymał. Ludzie pozsiadali z koni. Pochyliwszy się nieco, na jaśniejszem niebie ciemne ich postacie miał jak na dłoni.

Gonić dalej było już niebezpiecznie, stanął więc w gąszczy tak, aby niewidziany mógł zobaczyć, co się tam będzie działo. Stał tak na czatach dosyć długo. Wójt mu zniknął, konie tylko jego widać było przed chatą. W oknach jej ogień gorzał i ludzie z łuczywami obiegali dokoła. Gwaro się zdawało i ludno, jakby tam na wójta oczekiwano.

Księżyc zaczynał się podnosić. Marcik stał i czekał. Wtem nagle konie ruszyły z pod dworku, ale zamiast iść w dalszą drogę, wróciły się nazad, tak, że ludzie przejeżdżać musieli około stojącego Suły.

Strach go ogarnął, aby mu koń jego do tamtych nie zarżał. Położył się na nim, aby nie był spostrzeżony, lice ściągnął i czekał.

Ludzie wójtowi wracali zwolna. Oko żołnierskie, nawykłe śledzić z zasadzki, dostrzegło zaraz, że wójta między wracającymi nie było.

Czeladź swobodna śmiała się i gwarzyła, do Krakowa powracając.

— Głupiś! — mówił jeden z pacholków do drugiego — albo to on tam jedzie, gdzie mówił!

— To dokądże!

— Co ci z tego?

— Ano, gadaj, gdyś poczał!

— Jam bo słyszał, jak z bratem Henrykiem umawiali się przed stajnią, że do Pragi, czy do Ołomuńca muszą...

— A co on tam będzie kupować?

Rozległ się śmiech szyderski, Marcik już więcej pochwycić nie mógł. Ścieżka, którą jechali, zakręcała się, znikli mu z oczów, dochodziło go tylko ciężkie stąpanie koni.

Suła całą teraz uwagę zwrócił na chatę, około której stał wóz kryty i kilka koni dla jezdnych. Pod noc pewnie dalej ruszać nie chciano, gdyż wkrótce w chatcie światła gasnąć zaczęły. Marcik z konia zsiadłszy i wolno go uwiązawszy w gąszczy do drzewa, pieszo się przekradł pod dworek, ostrożnie, jak złodziej. Szczęściem, że psów przy niej nie było.

Czeladź koczowała około wielkiego wozu i koni, leżąc na ziemi.

Mógł się tak zbliżyć i kawałkami rozmowę jej pochwycić. Mówili o drodze do Ołomuńca i o trakcie, na który się wybierać mieli, bo wielkim gościńcem pan jechać nie chciał.

Tego już dość było dla Marcika, aby się upewnił, że z Czechami zdradę knuto, nie potrzebował dowodów więcej.

Do miasta powracać za późno było; postawszy czas jakiś, wrócił do konia i zwolna ku gościńcowi się kierując, postanowił gdzie na błoniach przenocować, bo po zawarciu bram do Krakowa się już dostać nie mógł.

Rad był, że nie jeździł darmo, a choć chłodna noc do kości go przejmowała, pokłusował nazad wesoło.

Na gościńcu już, jakby nie wiedzieć skąd jechał, nagonił i dotarł do wójtowej czeladzi.

Posłyszawszy za sobą tętent konia, ludzie się trochę ulękli i chwycili za obuchy, bojąc się napaści jakiej, gdy Marcik ich rażno pozdrowił, — i jakby się obłąkał, o drogę pytać począł. Udawał nieświadomego sługę jednego z panów, mieszkających w Krakowie, którego za potrzebą jakąś wysłano.

Czeladź wójtowa drwić z niego zaczęła. Jechali tak



razem. A że pacholętkowie do karczemki miejskiej na nocleg dążyli, Suła się do nich uwiązał, głuptaskiem się czyniąc, aby coś w rozmowie z nich wydobyć.

W gospoǳie pod miastem, zwanej Kojcem, osławionej z tego, że się w niej zbierały włóczęgi, kostery i ludzie z miasta wyświeceni, co się w Krakowie pokazywać nie mogli — paliło się jeszcze, hałas był w niej okrutny.

Po nocy samemu tu bezpiecznie nie było, ale przy miejskiej czeladzi nie miał się Marcik czego lękać.

Trafili właśnie na to, gdy cała opita gawieǳ karczemna wyszła z łuczywami przed gospoǳę oglądać zabitego człeka, który się tam nie wiedzieć jak znalazł. Widać było żółkłego już trupa, z przyschlą na piersiach raną, głową potłuczoną i zeszpeconą, — odartego napół. Niektórzy poznawali, że to był Berjasz roztruchacz, i szeptano, że go ktoś dla pary szkap, które prowadził, zamordował.

Wypadek ten, który gdzie indziej uczyniłby był wrażenie, tu przyjmowano, jako rzecz powszednią — obojętnie. Gospodarz tylko, straszny zbój, z twarzą płachtami obwiązaną, tak, że mu z pod nich jedno tylko oko widać było — czarny, osmolony, mruczał, że trupa należało wywlec gdzie indziej, aby mu na szynk biedy nie naprowadził.

Przytomni targowali się, ile miał piwa postawić za tę przyjacielską usługę.

Gdy czeladź wójtowa, którą zaraz poznano, nadciągnęła — mieszałi się trochę goście karczemni, a gospodarz stęknął, że mu jeszcze więcej piwa dać przyjdzie, aby i ci milczeli.

Marcik, jakgdyby do nich należał, trzymał się swych towarzyszków Ci, którzy go po nocy za sobą jadącego dobrze widzieć nie mogli, dopiero teraz, gdy się rozpatrzyli w rycerskiej postawie i twarzy Suły — spostrzegli, że się na nim oszukali.

Koso spoglądali nań i kwaśno.

Okolo karczemki tej musiał Marcik z tą gawieǳią stanąć na nocleg. Przypatrywano mu się, czyby go spoić

i obedrzeć nie można, albo kłótnię wywołać i napaść nań, ale czeladź wójtowa i śmiała postawa żołnierza odwiodła od tej pokusy.

Dodnia dopiero, gdy Rzeźniczą bramą pastuch było wyganiał w pole i wrota otworzono, wjechał Marcik sam, niepostrzeżony do miasta i dostał się na zamek, gdzie legł spocząć po męczącej podróży.

Zaspał tak dobrze, iż się nie przebudził, aż go Jurgaś wyrostek, za rękę szarpiąc, zmusił do wstania, wołając, że się o niego dowiadywano.

Miał Marcik komorę własną na zamku, ale w niej ludzi przyjmować nie było gdzie. Zerwawszy się, co prędzej chciał do studni biec, aby wiadrem wody, wyłanem na głowę, orzeźwić się, gdy w progu zobaczył Muszę.

Trzeba się więc było rozmówić, choć miejsca po temu nie umiał znaleźć; wyszli oba w podwórze, gdzie się podsluchanymi być nie lękali.

Musza wcale inaczej teraz i z pewnem zaufaniem, jak do dobrego znajomego, zbliżył się do Suły.

— Wiecie, — rzekł zcicha — iż Albert, wójt, wczoraj kędyś wyjechał?

Uśmiechnął się Marcik rad z siebie.

— Wiem, — odparł Marcik — nawet dokąd i domyślałem się poco. Śledziłem go trop w trop i nade dniem dopierom powrócił.

Musza, trochę zdziwiony, głową pokiwał.

— Dokądże? — spytał.

— Do Ołomuńca lub do Pragi.

Żyd się uśmiechnął.

— No, więc i to wiedzieć musicie, o czem ja was ostrzec chciałem — dodał, — że Herman z Raciborza i Pecold wyjechali także. Jeżeli on do Ołomuńca, oni do Sandomierza, Wrocławia lub Opola.

Spojrzeli sobie w oczy, Marcik głową potwierdzał. Byli z sobą teraz w zupełnem porozumieniu i zgodzie.

Po kilku zcicha wymienionych słowach Musza pożegnał się i odszedł, oświadczając się z gotowością na posługi.

Marcikowi śpieszno było teraz do Greta. Na zamku trwożyć tem, o czem się dowiedział, uważał za przedwczesne; chciał wprzód być pewnym swego.

Grete zastał, gdy się jeszcze przystrajała, bo się wybierała do kościoła iść, a gdy z domu za próg wychodziła, musiała się zawsze tak ubrać, aby na nią patrzano. Ludzie też nie tylko ją palcami wskazywali, ale szli za nią i zabiegali jej drogę. Do kościoła towarzyszył jej zwykle Kurcwurst, ale nie w błazeńskim stroju.

Greta rzuciła zasłonkę, którą właśnie upinała i zawołała na Kurcwursta, aby jej Gamrota przyprowadził.

Kto był ten Gamrot, Suła nie wiedział wcale, nie znał go...

Wdowa, zbliżywszy mu się do ucha, szepnęła żywo.

— Gamrota nie znacie? Nie wiecie, że brata jego wójt Albert przez zemstę za siostrę wziąć kazał, w więzieniu trzymał i ledwie za usilną prośbą księżnej zamiast na gardle karać, z miasta wyświecić kazał. Gamrot wam przeciw wójtowi usłuży, a ja za niego stoję.

Mówiła gorączkowo i lice jej pałało.

Sprawiwszy to, odeszła nazad do porzuconego stroju i opinać się zaczęła, bo do kościoła ślubowała się dnia tego i musiała iść.

Gamrot nadszedł wpředce.

Człek był młody, przystojny, ale z pierwszego nań wejrzenia domyślił się w nim Marcik warchola i niepokojnego kłótnika. Niegdyś możni Gamrotowie, gdy się im dwór i kram spaliły, zubożeli, a że brata wójt wygnał z miasta, jemu swój upadek przypisywali.

Radzi byli pomścić się, a oprócz tego młody chłopak ujęty był przez Grete i rozkazów jej słuchał.

Żwawo na wychodnem poznałomiła ich z sobą.

Ubogo odziany Gamrot, w fartuchu, bo gdzieś u rzeźmieśnika był w terminie, inaczej na chleb nie mogąc zarobić — ochotnie się Marcikowi stawił.

Gospodyni, kazawszy im dzban postawić, poszeptawszy jednemu i drugiemu, na Kurcwursta skinęła i wyszła.

Siedli za stół milczący, przypatrując się sobie, aż

mieszczanin, widząc Sułę nieskorym do rozmowy, sam zaczął.

— Kazali mi służyć wam — rzekł z uśmiechem. — Może się i przydam naco? Miasto znam, dawniej i mnie więcej ludzi znało.

Westchnął i popił.

— Jeżeli co przeciwko temu zbójowi Albertowi, który nas zgubił, potrzeba począć — uderzył się dłonią w piersi — ja z wami!

I rękę doń wyciągnął.

Poczęli się badać i porozumiewać wzajemnie. Gamrot okazał się pojętnym, bystrym i ochotnym. Przedewszystkiem na prześladowcy rodziny swej zemstę wyrzucił pragnął.

— Możecie mnie posyłać, gdzie zechcecie — rzekł, — wśliznę się wszędzie. Tutejszy jestem, oba języki dobrze umiem i uszy mam.

Naradzali się więc, jak podzielić między siebie czuwanie nad ludźmi, gdzie się spotykać mogli, kogo Gamrot powinien być mieć na oku.

Rozmowa przeciągnęła się u dzbanka tak długo, że Greta miała czas z bliskiego powrócić kościoła i znalazła ich za stołem jeszcze. Zobaczywszy ją, Gamrot uradowany, że czynnym będzie, dopił kubka, zaśmiał się i wybiegł na miasto. Zostali sami, Greta pytała go, jak mu się nastroczony podobał.

— Niczego — odparł Marcik — ale gorący bardzo i łatwo się zadzierać musi. Z człowiekiem, jak z garnkiem rozbitym (bo mało który cały), potrzeba wiedzieć, dopóki z niego wody nalać, aby nie wyciekła.

— Zresztą — dodał — dobry chłop zda mi się, dziękuję wam za niego. Będzie nas kilku na oku ich trzymać, zjedzą licha, jeżeli się nam wymkną.

— Wójtą pilnujcie najpierwej! — dodała Greta gorąco — ten jest, który wszystkich burzy.

Z tej poważnej rozmowy Suła, któremu dawna miłość powracała, przeszedł do zalotów i wspomnień dawnych, do przysiąg, jako ją i teraz miłował strasznie, a wdowa się śmiała.

— Miłujcie! — rzekła — miłujcie! — Kto wie, jak mnie żaden książę ani wojewoda nie zechce, może, doczekawszy siwego włosa, gotowam się wam dać wziąć.

Oczy błysły Marcikowi, huknął:

— Jam bo przysiągł, że moją być musicie!

Zmarszczyła się Greta, popatrzyła nań, ramionami potrząsała i śmiała się znowu.

Gdy tak kłócili się i godzili, a wdowa cytę wzięwszy, dla rozrywki brzdąkać i podśpiewywać zaczęła, wszedł codzienny gość, Paweł z Brzega. Zbliżała się godzina, gdy i inni ściągać się tu byli nawykli.

Drzwi coraz to się otwierały i jeden ze znajomych przybywał, niosąc plotkę z ulicy.

— Wójt pojechał do Miechowa! — rzekł Niklasz, któremu się zdawało, iż nowinę przynosił.

Ktoś inny powiadał, że do Wrocławia, trzeci, że do Sącza, aby się z mieszczanami o handlowe sprawy porozumieć.

Marcikowi, który słuchał, wytrzymać już było trudno dłużej.

— Dalibyście pokój tym gadkom — rzekł. — Nie za lada sprawą wasz pan wójt nocą z miasta ruszył... choć wy o niczem nie wiecie. Pod nosem waszym frymarczy wami — a wyście ślepi i głusi. Dobrego wam pana Pan Bóg dał, który wszystko, co Czarny darował, strzymał. Pokoju pod nim zażywacie — a tego wam mało!

Zdumieli się trochę słuchający tym wybuchem, nie rozumiejąc, co znaczy. Greta próżno znaki mu dawała, aby milczał, — piwo szumiało w głowie.

Tymczasem pomiędzy gośćmi nie wszyscy pewni byli jednej myśli. Marcik, mało bacząc na to, prawil śmiało.

— Wójt, jak wójt, — mówił — samby on nic nie znaczył, ale ma swoich, którzy mu pomagają... i zda się im, że naszego pana tak łatwo pozbyć, jak drugiego! Byle się nie zawiedli, a drogo tego nie przypłacili!

Wszyscy milczeli, — Suła mówił rozochocony:

— Słyszałem ja raz gadkę jedną, którąby panu Albertowi nie wadziło powtórzyć. Szedł raz człek, niosąc na plecach kupione mięso, aż mu się na drodze trafiła grusza, na której był owoc dojrzały. Myśli tedy sobie — wleżę na nią i nabiorę do torby. Położywszy więc mięso na ziemi, nuż się drapać na gruszę — tymczasem pies przyskoczył i mięso pochwycił. Śpiesząc z drzewa, łakomiec spadł i kości jeszcze połamał. Aby tak i drugim nie było, którym się gruszek chce, choć mięso mają.

Niektórzy ze słuchających śmiali się, bajce radując. Tuż około Marcika siedział mieszczanin, którego Paternoster zwano. Miał to nazwisko ze szkoły jeszcze, przyłgnęło doń i zostało.

Posądzali go niektórzy, iż wójtowi zausznikiem i szpiegiem był, a donosił mu, co kędy posłyszał. Ten, ułożywszy minę, począł pytać Marcika.

— Tak źle o panu wójcie trzymacie?

— Nie kryję tego, że mu nie wierzę — odparł Suła, nie widząc, iż Greta znaki dawała, aby milczał. — A nie tylko ja, ale na zamku wszyscy nie ufają mu i na oku mają.

Paternoster, mały i giętki jak włos, układny bardzo, skrzywił się i skulił.

— Widzi mi się — rzekł, — że to nań niechętni potwarzami ciskają. Szanuje on pana i dobrze mu życzy, a że swojego miasta i ludzi swych ochrania i broni, co za dziw? Na to on jest i my go płacimy.

Marcik zamiast odpowiedzi zaklął głośno.

Schmurzył się Paternoster.

— Nie daj Boże — szepnął — na wysokiem miejscu siedzieć, z góry i z dołu wszystko pada na człowieka — tak i z nim.

To rzekłszy, Paternoster czapkę z pod stołu wyjął, skłonił się dokoła i powoli wysunął.

Ledwie się drzwi za nim zamknęły, Greta, nadąsana, wpadła na gadułę.

— Otóż sobie języka puścił! — zawołała. — Nie wiecie, że ten siedzi u wójta za uchem?



— Co mi tam! — odparł Suła.

— Ostrzeże go, aby się na baczności miał.

Marcik mało się zdał dbać o to.

— Niech go ostrzegają, niech robi, co chce — krzyknął, — ręk naszych nie ujdzie ten zdrajca.

Paweł z Brzega markotny był także, iż się to u nich przygodziło. Wójta sobie narazić nikomu zdrowo nie było, mścił się i nękał, a Gretę i tak w posądzeniu miał, iż wrogą mu była.

Na Marcika się nachmurzyli wszyscy, co spostrzegli, czapkę nałożył i na zamek wrócił.

## V.

Od opisanych wypadków kilka tygodni upłynęło. Wójt Albert powrócił był właśnie ze swej tajemniczej podróży.

W Dynguszu rankiem zbierali się ławnicy i pisarz Frycz gotował się do notowania, co mu każą. Sprawa Gamrota miała przyjść pod sąd.

Zaraz po powrocie wójta wiertelnicy, z nakazu pewnie, pochwycili w browarze u Lichego chłopaka zuchwałego, *in flagranti*, gdy Niemca jakiegoś w kości ogrywał. Podpiły a zuchwały porwał się do korda i jednego z pacholków ciął przez łeb haniebnie, drugiego ciężko ranił. Byłby może potem zdołał ujść i z miasta się wymknąć, ale sam dowódca straży, Veit, był wpogotowiu z posiłkiem. Sześciu się nań rzuciło, powalili, związali, zbili i z wielkim triumfem w biały dzień na postronku poprowadzili do ratuszowego więzienia. Wielkie zbiegowisko ludu mu towarzyszyło.

Jadący właśnie ulicą Marcik natknął się na tę kupę, poznał Gamrota swego i złość go porwała niezmierzona, bo czuł, że nań czyhać musiano, aby go zgubić.

Dostać się pod sąd ławników człowiekowi, którego wójt nienawidził, a rad się był pozbyć, była to pewna śmierć. Za wielką łaską przez wstawienie się królowej lub którego z książąt ledwie się czasem udało gardło-

wą karę zmienić i winowajca, ochłostany, wyświecony był z miasta na zawsze. Jeśli się ważył potem powrócić, choćby w orszaku książęcym lub pańskim, chwytano go i ścinano.

Za grę w kości, choćby fałszywe i za rany choć nie krwawe, zwykle na gardle karano; — ale po schwyceniu Gamrota rozeszło się zaraz po mieście, iż niewiasta, imieniem Hanusa, skarżyła go o córkę, którą on gdzieś kiedyś uwieść miał, a młynarze z Gierlachowego młyna świadczyli przeciw niemu, iż był winnym gwałtu.

Z tą złą nowiną o pojmaniu Gamrota przybiegł Marcik do Greta, która ręce załamała.

— Wójt powrócił — rzekła — a to najlepszy dowód, iż doniesiono na Gamrota, że wam służył... Teraz wy miejcie się na baczności!

— Ho! ho! — krzyknął Suła — mnie, książęcego sługę, ważyłby się kto tknąć?

— Jeżeliście mu solą w oku — odparła wdowa — znajdzie on sposób i na was.

Greta trzęsa się z gniewu i bladła.

— Nieopatrny a zuchwały człecze — poczęła. — Słuchaj dobrej rady, nocą się po mieście sam nie włócz, bez broni nie chodź, strzeż się zwady i zgiełku. Nasadzi na cię zbójów, a ma takich, którzy, zabiwszy, zbiegną przy jego pomocy do Wrocławia lub do Sandomierza. Tam parę miesięcy pochodziwszy wolno, cichaczem wrócą i nikt im słowa nie powie. A uda mu się was gdzie przydybawszy, wziąć, wsadzi do ciemnicy, do której ludzkie nie dojdzie oko.

Straszyla go Greta, a Marcik obojętnie słuchał i mruczał:

— Mnie? mnie?

— Was i stu takich, jak wy — dodała wdowa. — On w mieście panem. W więzieniu na ratuszu trzymać was będzie, ani przy Dynguszu, ani w żadnej bramie, gdzie lada kogo wiertelnicy sadzą — ma on swoje własne lochy, o których żywa dusza nie wie, a kto się do nich dostanie, światła Bożego nie zobaczy.

Mówiła, a przytomny Paweł głową i ramiony potwierdzał. Sułę niełatwo zatrwożyć było, ale wkońcu wreszcie poszły mu ciarki po skórze. Tajemne owe więzienie, gdzie zawsze gotowy kat ściąć mógł lub udusić, a w niem pogrześć — przeraziło go.

Mówiono o studniach w domu wójtowym, nie dla wody podobno robionych, kamieniem okładanych, kółkami żelaznemi najeżonych, żelaznemi zamykanych drzwiami, w które ludzi strącać miano. Miasto miało tajemnice swoje. Nie wszystkich sądzić było można i karać publicznie, za niektórymi książęta się wstawiać mogli, więc tych, których się pozbyć chciano, tracono bez wieści i rozgłosu.

— Że na Gamrota czatowano — mówiła Greta, — że z umysłu go wzięto, a teraz mu postawią niepoczciwą Hanusę, która poświadczy, co każą, aby go o gardło przyprowadzić — to pewna... Wójta już ostrzeżono! — Pilnujcie się wy! — powtórzyła wdowa — pilnujcie!

Po tem ostrzeżeniu markotny wrócił Suła na zamek. Około ratusza jadąc, słyszał, jak rozprowadano, iż Gamrota jeśli nie stracą, to co najmniej ochłószczą i końmi za miasto wywloką.

Niewiele znaczyły kości i rany, ale za gwałt, o który oskarżała Hanusa, głową trzeba było płacić. Wołali już nasadzeni pod ratuszem świadkowie, iż Gamrot nałogowy kostera był, a matek i dziewcząt wiele się nań skarżyło i ludzi kaleczył ustawicznie i t. p.

Przygotowywano umysły do tego, by lada lekką karą wywinać się nie mógł. Ale gotował się też Marcik księżnę Jadwigę prosić, aby za winowajcą wstawiła się do wójta i życie mu ocaliła.

To prawo łaski nie było wprawdzie nigdzie zapisanem, ale miejski sąd i rząd nigdy pośrednictwa takiego i prośby nie śmiał odrzucić.

Do księżnej przystęp tak był łatwy, jak do Łoktka. Wiele sama wycierpiałwszy, dobra ta pani litościwą była. Od czasu narodzenia syna w nim żyła i w córeczce Elżbiecie, która ślicznie rosła pod jej okiem. Dwoje dziecię całą stanowiło pociechę, bo książę rzadko doma

posiedział długo. Z niemi, zamknięta w swych izbach, życie spokojne pędziła.

Pani już była niemłoda podówczas, wzrostu słusznego, pięknej postawy, wychudzonej twarzy, wczesnie zmarszczkami pokrytej, tęsknego wyrazu oblicza. Lata te, gdy mąż jej zmuszony z kraju uchodzić, do Rzymu szedł na pokutę, a ona w Radziejowie ukryta, żywiona przez litościwego człowieka, tając się z sobą, żyła jak uboga niewiasta, często zmuszona rąbki własnymi prac rękami, gorzkiemi łzy oblewając, — lata te ciężkie wyrwały się z niezatartemi piętny na jej twarzy. I choć Bóg jej małżonka powrócił, pocieszył potomstwem, posadził na stolicy, kazał się spodziewać korony — pozostała ową smutną wygnanką z oblicza.

Na zoranej pługiem żelaznym ziemi, choć ją zielone trawy i kwiaty okryją, zostają blizny na zawsze.

Dwór pani nie był wielki ani świetny. Niewiasty przed nią nie nawykły były padać na kolana, śmiały się do niej, mówiły do niej poufale. W komnacie krośna, dzieci, kolebki, obrazy pobożne, zabawki chłopaka i dziewczynki — całą jej były ozdobą. Kilka razy na dzień przychodził kapelan Stanko odmawiać modlitwy.

Właśnie księżna trzymała na kolanach małego Kazimierza, a ksiądz czytał coś pobożnego, gdy Marcik oznajmił się z pilną sprawą do pani.

Często się do niej udawano o łaski różne — nie było w tem nic dziwnego.

— Miłościwa pani—odezwał się, stanąwszy u drzwi, Suła — ważyłem się dopraszać pilno, bo o ludzkie idzie życie. Mieszczanie i wójt zgubić chcą człowieka, który księciu naszemu służył, dlatego właśnie, iż mu był wiernym. Obrzucono go potwarzą. Ratować trzeba!

— Osądzony już? — spytała księżna.

— Jeśli dziś nie wydadzą wyroku, najdalej jutro,— mówił Marcik — bo z tem pewnie śpieszyć będą, by im ofiary z rąk nie wydarto. Niech miłość wasza wstawi się za nim...

Kapelan Stanko o sprawę Gamrota rozpytywać zaczął. On zwykle bywał od księżnej posłem do mieszczan, gdy ratować było potrzeba, jemu i teraz powierzyła księżna ocalenie Gamrota.

Marcik gorąco błagał i mocno nastawał.

Gdy się to na zamku działo, wójt Albert, ledwie powróciwszy, już o wszystkim wiedział, co pod jego niebytność sługi wyszpiegowały, i dawał stosowne rozkazy.

Z jego polecenia w istocie Gamrot był pochwycony i co rychlej z ukaraniem go miano pośpieszyć.

Zausznicy Alberta schodzili się doń na radę. Znaleźli się tu znowu przy drzwiach zamkniętych Herman z Raciborza, Suderman, Pecold i Hincza Keczer.

Widać było z pochmurnej twarzy wójta, że niebardzo rad z podróży swej powracał. Słuchał naprzód doniesień pomocników swych, którzy opowiadali, że w Sandomierzu mieszczanie gotowi byli pójść za krakowskimi i toż czynić, co i oni.

Z Sącza poseł przywiózł bardzo słabą nadzieję, aby na mieszczan rachować można. Słuchać nawet nie chcieli namowy tych, których za nieprzyjaciół i współzawodników mieli.

Sącz z Łoktkiem trzymał jawnie i nikogo innego znać nie chciał.

Ze Śląska przywieziono tylko wiadomość, że Bolesław, do którego słano, pamiętny sromu, jakiego doznał, gdy Łoktek przed dwudziestu kilku laty pobił go i wziął w niewolę — mścić się był gotów i pragnął odwetu. Ochotę miał wielką, ale i obawę niemłą. Znając księcia, wiedział, że zapasy z nim nie przyjdą łatwo.

Chciał sam z wójtem mówić, a upewnić się, iż go mieszczanie na sztych nie wystawią. Z nim też nic jeszcze nie umówiono pewnego.

Gdy kolej przyszła na wójta, który do Czech jeździł, ofiarując Kraków i inne ziemie, mające się poddać Bolesławowi, jako lenne koronie Wacławów, Albert począł, ociągając się:

— Nie udało mi się dokonać, com zamierzał tak, jak zamierzałem. Jechałem, jak wiecie, polegając najwięcej na Ulryku Boskowiczu i jego powinowatych, iż mi u króla Jana Luksemburczyka pomogą. Tymczasem trafiłem na to, iż król właśnie wyprawę przeciw Boskowiczowi przedsięwziawszy, zamki ich zdobywał, wicherzycieli do posłuszeństwa zmuszając. Z samym królem Janem, gniewnym, iż mu się poddani buntowali, mówić było trudno. Odgrażał się na małego księcia. Ślżaków też nie chce mieć, powiadając, iż sam przyjdzie odbierać, co mu należy.

Wójt zamilkł chwilę i dodał:

— Mniejsza o Czechów, którzy w domu mają co czynić... Nie przyjdą rychło... Bolesław nam starczy, tego ja skłonić muszę.

Wszyscy tedy potwierdzili, iż nikt z Bolesławem lepiej sobie nie poradzi nad wójta, nakłaniając go, aby nie zwlekał. Jechać mu trzeba było koniecznie.

— Tak — odparł Albert — ale już mnie na oku mają, już się domyślają czegoś, tak że kroku stąpić trudno.

Zadumał się, spuściwszy głowę.

— Bądź co bądź — zakończył — uczynię, co powinienem.

Herman z Raciborza zagaił, aby w sprawie Gamrota wysłuchać Paternostra, który czekał u wschodów. Wprowadzono go zaraz.

Potulny, uśmiechnięty, łyskający oczyma, usłużny donosiciel, wdzięcząc się do wszystkich, ledwie wszedłszy, począł tak szybko zdawać sprawę z podsłuchów, iż go rozumieć nie było można. Albert kazał mu milczeć i na pytania odpowiadać.

Ciągnięto więc badania z niego, a z tych się okazało, iż Gamrot był na podsłuchach zamkowego wysłańca, niebezpiecznego Marcika Suły, ulubieńca księżęcego, który w mieście stosunki miał, chodził, podglądał, spiskował, z Pawłem z Brzega i synowicą jego się zmawiał, u nich przesiadywał i t. p.

Paternoster wiedział o tem, że Musza Żyd służył



Marcikowi, a Izraelici wszyscy przeciw mieszczanom byli.

Wójt Albert, wysłuchawszy, rzekł zimno, iż dla przykładu winnym Gamrota na gardle ukarać było potrzeba. Radzono, aby z tem śpieszyć, gdyż domyślano się łatwo, że z zamku za nim się wstawią.

Narada ta, w której zdania były różne, przeciągnęła się dosyć długo, chociaż wszyscy za wójtem szli, a o środek tylko spierali się, jakby go potępić i natychmiast karać można.

Sprawa ta była pomniejszej wagi, i Paternoster wkrótce nazad iść musiał, a spiskowi sam na sam radzili.

Poddanie miasta było postanowione. Ślężacy mieli podstąpić pod Kraków w chwili, gdy księżę znajdować się w nim nie będzie, a załoga słaba na zamku zostanie. Księżna sama Wawelu obronić nie mogła, na którym biskup miał się znaleźć z ludźmi swymi i do otwarcia wrót pomagać.

Muskatę wcześniej sprowadzić chciano do miasta, a Ślężaka postawić wpogotowiu, aby na dany znak przybywał.

Wiele jeszcze do czynienia, do przewidzenia i przygotowania zostawało. Niektórzy frasowali się i lękali, jeden wójt w sprawę swą wierzył i był pewien, że ją doprowadzi do skutku.

Lekceważenie, jakie mu Łoktek okazywał, drażniło jego miłość własną, żelazna dłoń małego księcia ciążyła mu, chciał jarzmo to zrzucić koniecznie. Wierzył w rozum swój i siłę i przy pomocy Ślężaka spodziewał się pożyć przeciwnika.

Nierychło panowie radni po jednym wysuwać się zaczęli ze dworu wójtowego i rozeszli do domów. Postanowiono, czasu nie tracąc, kończyć rzecz rozpoczętą.

Marcik, chociaż go Greta ostrzegała, więcej siedział w mieście, niż na zamku. Ostrożniejszym był tylko, dwóch silnych pacholków prawie zawsze prowadził za sobą i oręza nie odpasywał. Nie zmienił

trybu życia wcale, chodząc do Szeluty, przesiadując w ratuszowej piwnicy, to po innych browarach, a kumając się, z kim się nadarzyło.

Dopóki wójta Alberta nie było w mieście, szło mu dosyć dobrze, po powrocie jego zmieniło się z nim obejście ludzi. Unikano go i milczano.

Siedział przeto, uparcie uszu nadstawiając.

W piwnicy ratuszowej zasłyszał, że Gamrota nierychło sądzić miano, bo mu różne kryminały zadawali ludzie, dla których świadków ściągano, Hanusy córkę sprowadzono z Bochni, młynarzy z różnych młynów powołać było trzeba, bo się rozeszli.

Gdy noc zapadła, Marcik ludzi miewał przy sobie, bo wójtowi nie wierzył. Mniej teraz mógł do Grety zaglądać, bo Paweł z Brzega ostrzegł go, iż na nich patrzą, i nie chciał go mieć tak częstym gościem. Greta się nie lękała o siebie, jednakże Marcikowi zaleciła, aby boczną furta przychodził i ludzkich oczów nie ściagał.

Trzy dni upłynęło, a sprawa Gamrota ucichła jakoś, zdawała się być odłożoną. Suła próbował dozorcę i wiertelników przekupić, aby go dopuścili choć się rozmówić z więźniem, żadną jednak ofiarą wymóc tego na nich nie mógł. Obawiali się Alberta.

W chwili, gdy Marcik, ubezpieczony już może, najmniej się złego spodziewał, Żyd Lewko dał mu nagle znać rano, że dnia tego Gamrota sądzić i natychmiast kaźnić miano.

Nie tracąc chwili, biegł Marcik na ratusz, kapelana księżnej ciągnąc za sobą — ale wójta rozkazy, a posłuszeństwo ławników i urzędu miejskiego sprawiły, że gdy wskok na rynek przybiegli, znaleźli na nim takie zbiegowisko, tłum, wrzawę, ścisk, iż im się przebić było prawie niepodobna.

Kapelan Stanko, który dla pośpiechu konia dosiadł i herolda pańskiego wziął za sobą z chorągwią, choć kazał nią powiewać, trąbić i wołać, aby go słuchano, ani spojrzeć nań nie chciano.

Łakoma zawsze krwawych widowisk ciżba falą

ogromną na rynek się wylała, którego środek tylko pozostał próżnym.

Widzieli zdala, jak z rękami wtył związanemi wyprowadzili pacholkiwie biednego Gamrota, za którym też szedł kat Gregor z rękawami zakasanemi i pękiem różg w rękę. Dwóch oprawców smagało już krwawe jego plecy i pędziło winowajcę, który, jak ludzie mówili, skazany był pod różgami obiec trzy razy rynek dokoła, nimby ostateczna kara na nim dokonana została.

Kapelan Stanko, niosący łaskę księżnej, dobijał się z nią napróżno. Spotykał najdziwniejsze, jakby umyślnie stawiane mu przeszkody. Ludzie głusi zastępowali drogę od zamku, których rozpędzić było niepodobna, wozy, kłody drzewa zagradzały.

Już po raz trzeci, ciągnięty na sznurze, winowajca, padając co chwila na kolana, rynek obiegał, a ciżba okrutna tej krwawej drodze męczeńskiej przyklaskiwała, wrzeszcząc, gdy kapelan Stanko dobił się nareszcie do ratusza, ogromnym głosem wołając, że od księżnej jedzie i rozkazując się do wójta prowadzić.

Ten stał na ratuszu w oknie, patrząc z góry, jak smagano wroga. Napróżno kapelan Stanko domagał się, aby wykonanie wyroku wstrzymano.

Rozgniewany już duchowny z powagą posła księżęgo i kapłana, krzyknął do wójta, że pani domagała się ułaskawienia.

Albert wysłuchał go obojętnie i niemal lekceważąco.

— Jakąż to mam łaskę uczynić? — zapytał. — Łajdak ten przecie na śmierć skazany nie jest. Ochłoszczą tego zbója, od którego w mieście spokoju nie mieli ani mieszczenie, ani niewiasty uczciwe, i końmi go za wrota wywloką, by się tu więcej nie śmiał pokazać.

Kapelan Stanko wiedział dobrze, iż to wywlekanie końmi najczęściej się uduszeniem i śmiercią kończyło; począł więc gwałtownie nalegać i domagać się, by chłosta natychmiast ustała. Nim wójt przystał na to zmuszony, z okna ratuszowego chustą znać dając oprawcom, tymczasem już w drugim końcu rynku naprze-

ciw Panny Marji oprawcy do gotowych koni, na których siedzieli, przywiązali na sznurze Gamrota, zale dwie się już trzymającego na nogach, krwią oblanego, i poczęli go ju, jak trupa, wlec w oczach rozpaczającego i wołającego o pomstę do Boga kapelana.

Stali na ratuszu panowie radni przy wójcie, równie jak on obojętni. Kapelan Stanko, w którym się krew poruszyła, obrócił się do nich i zawołał:

— Patrzcie i pomnijcie, aby dnia pomsty Bożej was tak nie wywlekano za miasto.

I podniósłszy rękę ku niebu, nie patrząc już na nich, Stanko wyszedł drżący od gniewu i żalości.

Marcik, który się z nim rozstał u wnijscia do ratusza, nie zsiadając z konia, przebił się przez tłum w chwili właśnie, gdy oprawcy omdlałego Gamrota ciągnęli na Florjańską ulicę. Mieczem dobytym zamierzył się Marcik, krzyknął i zmusił ich, że stanęli, w tejże chwili sznur jednym przecinając zamachem.

Wtem i pacholek z ratusza nadbiegł z rozkazem, aby winowajcę, nie wlokąc dalej, z miasta wyświecić.

Związany, zbiczony, potłuczony okrutnie, Gamrot leżał bez zmysłów. Oprawcy poziadali z koni, mieli go pochwycić, gdy Marcik, z obnażonym mieczem stojący, groźbą, że łby poucina, zmusił ich do ustąpienia.

— Księżna pani na zamek go wziąć kazała! — wołał — będzie-li żyw, to go wyświecicie! Wara mi go dotykać!

Czeladź Marcika znalazła się pod ręką i kilku ciurów zamkowych; ci wnet odepchnęli oprawców i tłum, i Gamrota, który dawał znaki życia, wzięwszy na opończę, pośpiesznie ku zamkowi ponieśli.

Marcik na straży z dobytym mieczem tuż przy nich jechał, nikomu przystępu nie dając. Wołano wprawdzie z okien ratuszowych, aby Gamrota do więzienia miejskiego oddano, ale Suła nie zważał na to, odgrazając się ciągle, że kto go się tknąć waży, przyplaci życiem.

Stojącego opodał u drzwi herolda z chorągwią przy-

woławszy, kazał mu ją nad niesionym rozpostrzeć i bezpieczny pod tą osłoną, do zamku z nim jechał.

W zmorzonym głodem i więzieniem, zbitym okrutnie Gamrocie tlała jeszcze życia iskierka. Ludzie tamtych czasów, lepiej zahartowani, więcej wytrzymać mogli, więc póki tchu stało w człowieku, zawsze nadzieja była, iż życie powróci.

Dopadłszy do wrót na Wawelu, Marcik już był bezpiecznym, bo tu stopa miejskiego pacholka stąpić nie śmiała. Ludzie książęcy, w ciągłych zatargach z nimi, z życiemby nie puścili wójtowego sługi.

Zaraz przy wrotach, w izbie stróżów, Marcik złożyć kazał pobitego, wodą go cucić i obwiązywać. Nie-rychło nieszczęśliwy oczy krwawe otworzył i jęk wydał żałosny.

Od stóp do głów był zbaczony, posieczona w pasy skóra na nim w kawały odpadała. Ci, co z ranami na wojnach byli obcy, przełękli się, patrząc nań, bo nigdy tak strasznych nie widzieli.

Posłano więc po doktora Raclawa, aby na ratunek przybywał, a tymczasem, kto co umiał i mógł, radził i robił.

Mieszczanom nieprzyjaźni zamkowi ludzie okrucieństwem wójta do szaleństwa byli wzburzeni. W mieście tymczasem tłum nie rad był, że mu krwawe widowisko przerwano, nie doczekawszy się spodziewanego końca.

Szczęściem dla chciwych straszego dramatu, pod pilatem stał uwiązany drugi winowajca, mniej występny rzezimieszek, któremu naigrawać się mógł tłum i piaskiem mu sypać w oczy.

Pilat miejski (pręgierz) był to słup z obręczem żelaznym, naksztalt kuhy przy kościołach wystawiony. Przywiązywano doń winowajców, często przez dzień cały i dłużej zmuszonych w męczarniach i sromie stać na oczach nielitościwego gminu.

Dwóch mniej winnych dnia tego bez smagania wyświecono, wiodąc ich z postronkiem na szyi pod dozo-

rem kęta i oprawców za wrota z groźbą ukarania na gardle, jeřliby do miasta wrócić śmieći.

Nierychło po tem widowisku tłumy się zwolna rozpływać poczęły po sąsiednich browarach.

Większa część widzów tak samo na księżnę i na zamkową swawolę wyrzekała, jak w zamku na okrucieństwo mieszczan.

Herman z Raciborza, który dom miał w rynku i wŹszystkiemu się wygodnie z okna przyglądał, zżymał się przeciw mieszaniu się władzy księżęcej do spraw miasta.

— Wyliże się ten zbój — mówił do pisarza Frycza, — a będzie-li żyw, da się nam we znaki, bo zuchwwały jest, bystry, a mścić się zechce. Pachółkowie go dobić byli powinni, bo na śmierć zasłużył!

Paweł z Brzega, milczący i chmurny, w czasie wykonania wyroku na ratuszu się znajdował i nierychło do domu powrócił. Zastał tu Gretę, która już o wszystkim wiedziała, a okrutnym pałała gniewem. Źal jej było Gamrota, a Marcika bezcześciła, że na czas z pomocą nie śpieszył.

Napróżno stryj jej szeptał, że wójt zawczasu ułożył tak wszystko, aby od zamku zaprzecć drogę i kapelana jadącego z łaską nie dopuścić. Greta przy swem stała, że Marcik powinien był znaleźć sposób ratowania tego, który z jego przyczyny cierpiał.

Kara, w ten sposób wymierzona na Gamrocie, była jakby wyzwanie zamku. Albertowi niezupełnie się powiodło, lecz pewnym był, iż pobity nie wyżyje.

I zginałby pewnie marnie, gdyby nie kanonik Raclaw, który, wprędce przybywszy, przy sobie go opatrywać kazał, rany zalewając balsamami, które on jeden miał.

Krzyczał przewracany z boku na bok poraniony Gamrot, zaklinając, by mu spokojnie umierać dano, ale go nie słuchano. Obwiązanego potem ludzie zanieśli do izby na zamku, gdzie Marcik wziął go pod swoją opiekę.

Pozostawiwszy tu Jurę swego, Marcik wybrał się



choć pod wieczór do Greta, chcąc się przed nią wyflumaczyć ze wszystkiego i donieść, że Gamrota miał nadzieję przy życiu utrzymać.

Zle go wdowa przyjęła, napadłszy nań z pięściami u drzwi, co zniósłszy Suła, opowiedział jej, jaki spisek był uknuty, aby ich nie dopuścić do ratusza.

Uspokoila się, słuchając, ale odgrażała przeciw wójtowi i jego pomocnikom okrutnie, a Marcik jej w tem pomagał.

Oboje razem łajając i przeklinając, zasiedzieli się do późna i Suła się nie opatrzył, gdy noc czarna się stała. Był sam jeden, miecz tylko mając i obuszek na obronę w powrocie na zamek.

Greta, gdy się odchodzić zabierał, ulękła się o niego, chciała mu parobka swego dać, ale Marcik wstydził się okazać obawę, straży przyjąć nie chciał i śmiejąc się, wyszedł ze dworu.

W ulicy się znalazłszy, postrzegł dopiero, iż ciemność była tak wielka, że drogę trudno mu było dojrzeć. Oczy się wprzód po świetle do tego mroku przyzwyczaić musiały.

W większej części domostw ognie już były pogaszone, od niektórych tylko pasami padały blaski i z wnętrów dolatywały głosy.

Zdała rozeznąć było można ciężki chód wiertelników, którzy swe kwatery obchodzili. Niemało razy drogę tę po nocy przebywszy, Marcik śmiało posuwał się dalej, trzymając się tylko pod domami, aby suchsze przejście znaleźć po deskach.

Już był dobry kawał odszedł od dworu Greta i Pawła, gdy mu się zdało, że poza sobą usłyszał szepty jakieś i ciche ludzi stąpanie.

Z tyłu za sobą nieprzyjaciela mieć nie nawykły — stanął, rozpatrując się i czekając, lecz — wszystko ucichło.

Zdało mu się, że owe szepty kędyś z za okiennicy któregoś dworka pochodzić musiały — i spokojnie dalej kroczył. Ulica trochę kręta, nierówna, szersza, to węższa, właśnie się w jednym miejscu najciaśniejsza

stawiała, a Marcik ku ścianie się zwrócił dla uniknięcia kałuży, którą postrzegł świecącą w mroku, gdy zdało mu się, iż prawie oddech ludzki przy sobie poczuł tuż blisko. Nim miał czas odwrócić się, nagle ręce mu wtył wyłamano obie, usta zawiązano chustką i już powrozami pętano mu nogi.

Bezsilny rzucił się, targnął pęta z całej mocy, aby je zerwać, ale ci, co go pochwycili, tak byli zręczni i silni, iż na ręce go porwawszy, opończą wielką obwinęli całego, o mało nie udusiwszy, i nieść poczęli szybkim krokiem.

Oczy miał zasłonięte, usta zawiązane, ręce skrepowane postronkami — był więc w mocy napastników i bronić się im nie miał sposobu.

Przyszły mu na myśl i obawy Grety i powieści owe o lochach, o studni, tajemnych morderstwach wójta Alberta; nie spodziewał się więc już dobyć z rąk oprawców, czując się zemsty ofiarą. Westchnął tylko do Boga o duszę swą, pomyślał o ojcu i matce, obraz Grety przesunął mu się przed oczyma — czekał końca.

Niesiono go śpiesznie, ale już zmiarkować nie mógł ani w którą stronę, ani jak daleko. Okryty i związany, powietrza nawet koło siebie nie czując, leżał napół bezprzytomny

Ludzie niosący miotali się, rzucali, biegli, stawali, — nagle ścisnęli się, głowa jego uderzyła o coś twardego i rzucono go o ziemię... Słyszał szeptu gorączkowe, śpieszne, niespokojne, potem nastąpiło milczenie — drzwi zatrzaśnięto.

Gdzie się znajdował, niepodobna mu było odgadnąć, pod sobą czuł tok ubity, więc musiał być w budynku jakimś... Godzina śmierci zdawała się odroczoną...

## VI.

Na zamku oczekiwano dopóżna powrotu Suły. Trafiąco się nieraz, iż wrócić z miasta nie mógł, lub nie chciał, nie było więc nic nadzwyczajnego, iż do rana się nie zjawił.

Jurga, ulubione jego pachole, nie kładnąc się spać, ciągle prawie do wrót chodził, to w progu izby stał — wyczekując na pana. Nad rankiem dopiero położył się zdrzemnąć, spodziewając się na pewno powrotu o dniu, ale południe nadeszło i minęło, a Marcika nie było.

Niespokojny Jurga, wiedząc, gdzie go najczęściej szukać było potrzeba i znaleźć można, pobiegł naprzód do Greta. Gdy go wdowa zobaczyła, wprzód nim usta otworzył, krzyknęła przestraszona:

— Pan mój od wczora na zamek nie wrócił! — wyjąknął Jurga.

Greta patrzała, nie mogąc wymówić słowa. Pewną już była prawie, iż czatowano nań na drodze i ubito. Kurcwesta posłała po Pawła. Stryj nadbiegł zaraz, zbladły z trwogi — nie widział ratunku. Marcik zgubiony być musiał.

Jawna rzecz, że to była sprawa Alberta. Co się działo w tem sercu Greta, którego tajemnic nikt nie znał, Paweł, patrząc na nią, zrozumieć nie mógł. Widywał ją w sporach i sprzeczkach z Marcikiem, lekceważącą jego zaloty, wyśmiewającą się z niego. W tej chwili posadzał nawet, iż miłować go musiała. Twarz jej blada, czerwieniała, mieniała się. Strach z niej znikał, energia wystąpiła. Krzyknęła na starą sługę, aby jej szubkę podała i zasłonę, zabierała się wychodzić z domu.

— Dokąd że ty? dokąd? — ledwie dosłyszonym głosem spytał Paweł.

— Nie pytaj! — zbyła go krótko.

Kurcwestowi, który się z nią wybierał, kazawszy pozostać, wybiegła w ulicę z zaciśniętymi ustami, z gójącymi oczyma, wprost do dworu wójtowego. Nie zawsze go tu było można zastać, przesiadywał to na ratuszu, to po folwarkach miejskich, to młyny oglądał, to się zamykał gdzie dla narad tajemnych. Lecz Greta miała przy sobie kaletę, nie żałowała grosza, siadła na ławie, rozesłała ludzi — i w pół godziny chłopak ją wprowadził na górę do wójta.

Szła śmiało, spojrzawszy tylko naprzód, czy samego zastała. Przystąpiła doń z dumą i odwagą.

— Wiecie, poco przychodzę — odezwiała się.

Wójt pogardliwie ruszył ramionami.

— Tak, wiecie. Znam was i wyście mnie znać powinni. Człowiek ten, za którym przychodzę — od lat wielu zalecał się do mnie, — nie chciałam go, — ale życie mi jego potrzebne. Mówcie — żyje on?

— Kto? — odparł wójt szydersko — bo już ci chyba o Gamrocie mowa. Wiedziałem ja, że dużo miłośników mieliście, ale o tym — nie. Gamrotą na zamku szukać, tam o nim wiedzą.

— Nie za Gamrotem przychodzę — odpowiedziała Greta.

Wójt się uśmiechał.

— U mnie na ratuszu siedzi tylko dwóch złodziejów i dziewczka, co swe dziecko udusiła — rzekł szydersko.

Gniewne oczy, zaiskrzzone, podniosła na niego wdowa.

— Wójcie! — zakrzyczała — wiem, że moc macie, ale i słabych drażnić nie trzeba. I muchy kasaają!

— Ja się ani wilków, ani much nie boję — rzekł Albert, marszcząc czoło i zwolna poczynając się po izbie przechadzać. — Czego ode mnie chcecie? pocoście tu przyszli? Miłośników i druhów dosyć macie — jani dla was za stary — kogóż wam mam dać?

Greta w boki się wzięła.

— Marcik Suła z zamku wczoraj był u mnie — rzekła. — Wyszedł późno, sam, z ulicy zginął — na zamku go niema. Jest to ulubiony księcia sługa.

— A ja mam wiedzieć, gdzie się zapił i leży? — zawołał wójt gniewnie. — Co mnie taka szuja obchodzi? Mnie? Spytajcie Veita i wiertelników.

Greta mierzyła go oczyma piorunującymi, trzęsąc się z gniewu.

— Wójcie Albercie — rzekła dobitnie, — wy najlepiej wiecie, gdzie ten człowiek się podział. Stało się z nim co — na was to spadnie!

— Ja mam za pijanicę i zbójów a włóczęgów, co się po mieście mojem tulają, odpowiadać? — oburzył się wójt. — Choćby sto razy sługą księżęcym był — co mnie do niego? Niech na miasto po nocach, po szynkach się nie włóczy!

To mówiąc, wójt poszedł do stołu, odwrócił się od wdowy i chciał jej okazać, że dłużej z nią rozmawiać nie myśli. Greta śmiała była i uparta.

— Ja was za nim proszę — dodała głosem nie pokornym, ale nakazującym. — Ja proszę was, wójcie Albercie. Wy wiecie, co się z nim stało. Zabito go?

— Nie wiem! — grzmiącym głosem zawołał wójt. — Jam wójtem nie głupich spraw takich! Znaliście tego ciurę. Chodził po mieście, aby nasze tajemnice podsłuchiwać, a na zamek je wynosić! Jeśli go gdzie porąbała hałastra — czy to do mnie należy? — Ma, na co zarobił.

Coraz gniewniej poruszało się łono, dyszała pierś podrażnionej niewiasty, — obojętność wójta gniew jej wzmagала.

— Tak! — wołała — was to nic nie obchodzi! Wy nie wiecie nic! — a wiedzieliście, gdzie był i co robił. — Nie na rękę wam był — nie! Na zamku nikogo nie posadzą, tylko was. — Macie tam już wrogów, przyczynicie ich sobie więcej. — Czy z tem wam kiedyś dobrze będzie? — Rozśmiała się. — Ja nie wiem!

Albert urągliwie odwrócił się od niej.

— O mnie głowę miejcie spokojną! — rzekł. — Byłe miły wam żołnierz się znalazł, a ja go wam nie dam, ni żywym, ni trupem. — bo go nie mam!

I drzwi jej wskazał.

Greta pożegnała go wejrzeniem tylko; drzwiami za sobą cisnąwszy, — wyszła.

Albert długo patrzył za nią, zadumał się i śpiesznym krokiem wybiegł do izby, w której czekali zawsze pacholkiwie.

Na zamku o Marcika niepokój był wielki. — Wiedzieli wszyscy, iż miał sobie zwierzone nad miastem czuwanie, — gdy się okazało, że zniknął, natychmiast

rozesłano ludzi z rozkazem, aby wszystkie gospody, kąty, szynki, browary, łaźnie i domy, w których się ludzie zbierali, przetrzęśli.

Jurga na swą rękę, zapłakany i znękany biedak, przybrawszy czeladzi dwoje — włóczył się i krzątał.

W mieście już się była wieść rozeszła głucha, że książęcego sługę porwano, czy ubito, za to, iż swojego pana sprawy pilnował.

Na ratuszu panowie radni, ławnicy, Veit chodzili niespokojnie, bo do nich wpadali ciągle z zamku nasyłani, groźnie się upominając o to, że człowiek książęcy, dowódca części załogi, przepadł na mieście.

Veit ramionami poruszał — nie wiedział o niczem. Wiertelnicy, którzy tej nocy byli w ulicy Rzeźniczej, wyprysnęli się, że tam nikogo nie spotkali i nie widzieli.

Kasztelan do wójta poszedł z tem, iż miasto odpowiadać będzie, jeśli się co złego stało książęcemu słudze. Wójt kazał odpowiedzieć dumnie i zuchwale:

— Za pijaniców i kosterów, co się po szynkach włóczą — miasto odpowiadać nie może.

Gdy się to działo, młody ziemianin z Sieradzkiego, ze wsi Brzega, nad Pilicą, imieniem Zbrozek, z rodu Jastrzębców, którego pan ojciec przysłał był do Krakowa za kupnem sukna i bławatów, słysząc, jak u Szeluty rozpowiadano o Marciku — bacznie bardzo przysłuchiwać się począł.

Zbrozek z Brzega chłopak był ledwie pod wąsem, krew prawa, stara, ziemiańska, gorąca. Wyrosły, jak dębczak, w ramionach krzepki, jak żubr, zdrów, z okiem strzelistym, wesół, rad życiu — ciekaw był wszystkiego.

Przysłany po raz pierwszy do Krakowa dla wyprawy siostrzynej i przyborów do wesela, że nigdy nie bywał na takich godach miejskich, jakie tu znalazł, nie mógł wytrzymać, aby wszędzie nie zajrzał i każdej rzeczy, dla siebie nowej, nie spróbował. Więc i po gospodach i gdzie gęźby słyhać było a wesele — cisnął się rad.



O znajomości w Krakowie nie było trudno. Jeden go mieszczanin zaprosił na ucztę, drugi na zrękowiny córki. Tam się niewiast napatrzył pięknych, a zalotnych jak Greta, ówdzie ludzi dobrej myśli. Czas mu wesoło schodził w mieście i nad Pilicą nieśpieszno było. Gdyby ojciec pytał, miał gotowe tłumaczenie — że koń zakulał. Był to człek, choć po młodemu rad się zabawiać, razem też wielkiego serca.

Gdy u Szeluty Jurga i czeladź zamkowa rozpowiadać zaczęła, iż pan ich zginął z ulicy Rzeźniczej, wyszedłszy od wdowy, Zbrozek pilno ucha nadstawił.

— Z ulicy Rzeźniczej szedł? — spytał.

— Tak, od Arnoldowej wdowy — odpowiedziano.

— Kto was tam wie, jaka wdowa! — począł Zbrozek, — ale dość, że z Rzeźniczej ulicy. — Ja wam może coś powiem, bom ja wczoraj późno na koniu stał u rogu tej ulicy, gdzie mnie jedna wasza jejmość obiecała wpuścić, a potem z okna wydrwiwała, iż jej zawie-rzyłem. Stałem zły, jak djabeł. Aż oto — patrzę, historia się dzieje.

Wychodzi z bramy, a mógłbym pokazać, z której, człek słuszny, i — jak mi się zdało po nocy, rycerskiej postawy — kroczy sobie powoli. Patrzę nań, choć we mroku był. Tuż za nim suną ludzie ostrożnie, jakby się nań zasadzili. Nastawiłem ucha, co to będzie. Idzie on, to przystanie, to powoli dalej się posuwa, zbóje za nim na palcach, a on ich ani słyszy, ani widzi. Myślałem, żarty stroją. Przyskoczyli doń tuż i nagle — krzyknąć nawet nie miał czasu, jak go chwycą, zakneblowali czy co, obrzucili płaszczem, porwali na ręce — niosą. Dopierom zmiarkował, że to nie psota, ani żadna igraszka i począłem biec za nimi w trop.

Ci ze strachu jak zaczęą kręcić po zaułkach, po opłotkach, a niosą, nie rzucając tego człeka, a niosą. Poszli takimi wertepami, że mnie z koniem za nimi wywinać się było niesposób. Tylkom widział, jak za Okolem do pustego jakiegoś budynku dopadli i tu mi znikli.

— I nie koniec — dodał Zbrożek, — bo dopatrzysz, że ja nadażam za nimi na upartego, wybiegli z tej szopy i rozproszyli się w różne strony. A co się z tym niesionym stało... nie wiem.

Ciekawość mnie brała, więc się długo do tego budynku dobijałem — ale jakby pusty był. Nie odezwał się nikt i zdaje się, że w nim chyba ludzi nie ma... bom tam trwał prawie dodnia, myśląc, że łotry powrócą, a no, i dzień się zrobił, nikogo nie doczekałem.

Wszyscy pilno słuchali Zbrożka, aż gdy skończył, przyskoczył Jurga, na miłość Boską zaklinając, aby im ten budynek, o którym mówił, ukazał.

Zbrożek niepewny był, czy go pozna, czy trafi na drogę, którą jechał, ale widząc dużo ludzi rozgorączkowanych, proszących, zrywających się, na konia siadł i sam nabrawszy ochoty, ruszył szukać miejsca, w którym był nocą.

Wypadło tedy ich kilku, a ciekawej gawiedzi kilkunastu szukać, prawdę rzec — wiatru w polu.

Budynków, podobnych do tego, o którym mówił Zbrożek, była niezmierna moc. Przypomniał sobie tylko, iż przy tamtym wierzba stała pooblamywana, stara. Błądzili, błądzili poza Okolem, aż Zbrożek krzyknął:

— A on tu — ot jest! jak Bóg miły! — poznaję, — wierzba stoi.

Jurga z innymi do drzwi się rzucili.

Szopka była na błoniu do miasta należąca, w której wiertelnicy siano dla koni chowali i różny sprzęt swój, dobrze zbudowana z drzewa i na kłodę zamknięta.

Nie było sposobu otworzyć, musieli wrota łamać, choć mogli z tem biedy napytać. Ludzi dosyć było, wzięli się razem do kłody, nie pytając, i odbili.

W środku ciemno było, Jurga pierwszy wskoczył wewnątrz, szukając, patrząc, i wnet krzyknął, bo pod nogami ujrzał jakby jakieś zwierzę ogromne, które się słabo poruszało.

Dopiero ochłonawszy ze strachu, dojrzał, że coś żywego było opończą obmotanego. Lękali się rozwijać, bo

lichu wiedziało, co tam siedzieć mogło, aż jeden noża dobywszy, sukno przeciął i w środku zobaczył związanego człowieka. Jurga po odzieży poznawszy swego pana, padł na kolana przy nim.

On ci to był. Leżał już ledwie żyw z gębą zakneblowaną, siny, z żyłami naprężonemi na czole, nie mogąc się ruszyć, bo ręce i nogi miał powrozami pokrępowane.

Wszyscy, jak jeden, ze zgrozą i radością krzyčeć zaczęli, a Zbrozek, który więcej od nich wszystkich miał przytomności, wziął się co żywiej do Marcika, sznury rozcinając, gębę rozwiązując i po wodę śląc, aby go nią oblać.

Suła mówić już nie mógł; że go długa męczarnia nocna nie dobiła, winien był silnej naturze swojej. Złamany był jednak i tak osłabły, że choć go rozplątano, zwolniono, o swej mocy dźwignąć się nie mógł.

Zbrozek był mu pomocą wielką, bo reszta gawiedzi zaraz się z wielką nowiną o tem odkryciu rozproszyła po mieście.

Co prędzej potrzeba było biednego ratować, położyć, napoić, nakarmić; więc Zbrozek konia swojego podprowadził, we dwu z Jurgą wsadzili go nań. Chłopak sukno, w które znaleźli go obwiniętym, zabrał jako lice i podtrzymując osłabłego pod ręce, udali się do pierwszej gospody, jaka wpobliżu się znalazła.

Gospodynią w niej była wdowa Kanczorka, do której różni się ludzie schodzili, bo piękne dwie córki miała, które razem z nią gościom posługiwały. Nie w najlepszej dom ten był sławie, bo Kaśka i Magda jak śliczne były, tak śmiałe i wyszczekane, a choć różnie o nich i o matce mówiono, którą wdową mianowano, lubo najstarsi ludzie nigdy o mężu jej nie słyszeli — chodziło tu mnóstwo i księży i klechów, mieszczan i wszelkiego zawołania ludzi. Szynkowała miód i piwo, a znalazło się i co zjeść u niej. Wieczorami gędzba bywała, śpiewy, tany, nierzadko i guzy, bo około płochych dziewczyn ludzie się rozbijali.

Kanczorkę tę już kilka razy na ratusz ciągano, że

się tam u niej różne rzeczy działy — ale wielu znacz-nych ludzi, a nawet z kapituły niektórzy, bronili jej, rękując, że pocziwą była i — gospoda stała otworem.

Wesołej gospodyni i jej córkom gość taki potłu-czony niekoniecznie był miłym, lecz zato Zbrozek, chłopak młody, żwawy, dobrze nabitą potrząsający ka-letą, umiał je sobie pozyskać, a Jurga opowiadał o pa-nu, że na zamku miał znaczne dowództwo. Musieli więc ich przyjąć.

Kaśka pobiegła zaraz polewkę zagrzać dla osłabłe-go. Położono go na łóżku starej Kanczorki, która w po-czątku za wielką to obrazę sobie poczytywała, żeby na-niem miał mężczyzna legnąć, ale zobaczywszy grosz — zmięкла.

Ciekawy to był dom, stojący niby w nowej uliczce, zdala od drogi, w sadzie ukryty, budowania staroświec-kiego. Dołem miał mur gruby, dosyć wysoko podnie-siony, w którym baby miały schowania różne, a na-niem dopiero stała budowa z belek w słupkach, z da-chem wysokim, z oknami gęstemi i drewnianym kogu-tem na dachu. Wiechy przy nim nie było, tylko w ogro-dzie na drągu koło złamane.

W środku z sieni izba była długa, duża, jak zwy-kle po szynkach, w niej komin i kuchnia, ławy i stoły. Z tej wychód prowadził do drugiej mniejszej, przezna-czonej dla lepszych gości, a dalej komory jedna i druga, kędy baby sypiały, osobno matka, osobno córki.

Po Kanczorze i po nich widać było dostatku dosyć, bo i stara ubrana była czysto, a w uszach miała kolce złote i córki chodziły postrojone, w pasach, w spódnic-ach z sukna cienkiego bramowanych, w cienkich gźlach szytych, koralach i paciorkach. które im piersi okrywały, w wieńcach z trzęsidłami złożonemi i kosach przeplatanych wstęgami. A pierścieni na palcach mia-ły mnóstwo.

Starsza i młodsza głosy miały krzykliwe, śmiały się nieustannie, a oczyma rzucały zuchwale, jakby się nikogo w świecie nie bały.

Gospoda, gdy do niej weszli, nie była pustą; za sto-

łem siedział wikarjusz z jakiegoś kościoła w czapce wysokiej, człek lat średnich, ostro patrzący, z krzywą głęą; dwu kupczyków z miasta, młodzież rozochocona, podżyły rzeźnik, który miał pono jejmość w opiece, jako powinowaty, i kilku żołnierzy z zamkowej załogi.

Gdy wprowadzono Marcika, a rozniosło się zaraz co za jeden był, poczęli się wszyscy cisnąć do izby, w której go na łóżku umieścił Zbrożek, dopytując. Jurga ledwie się mógł pozbyć natrętów. Z miasta, dokąd ludzie zanieśli o nim wiadomość, przybywali też ciekawi. W gospodzie zrobiło się ciasno i wrzawliwo, bo dziewczęta śmiały się i krzyczały tem głośniejsze, im więcej ludzi ich słuchało.

Zbrożek, który opowiedział Sule, w jaki sposób go ocalił, nawzajem dopytać się od niego chciał, jakim sposobem mogły go pochwycić łotrzyki. Trudno było co dobyć z niego.

— Mnie — odpowiedział Marcik — we łbie się wszystko pomieszało, ledwie się mogę opamiętać, jak to było. Znienacka rzucili się i naprzód głęą mi zatkali, żem tchnąć nie mógł, dalej i oczy zakryli, ręce i nogi skrępowali. Czuję tylko, że gdyby nie wy, coście ich gnać zaczęli i nastraszyli — jużby mnie żywego na świecie nie było.

Do ucha zaś pochyliwszy się, zeznał Zbrożkowi, iż nie kto inny, tylko wójt i Niemcy mieszczenie w ten sposób się go pozbyć chcieli.

— Żeby was, miły bracie — dodał, — Bóg nie przyniósł na mój ratunek — skończyłbym żywot mizernie. A nie żalby mi go było, bom w nim wiele szczęścia nie zaznał, ale panu miłościwemu radbym służył — bom jemu trochę potrzebny. Wam, zbawco mój, dopókim żyw, a tchu we mnie stanie, nie zapomnę, żeście mi życie wrócili.

Dopiero polewki się napiwszy ciepłej, którą mu Kaśka przyniosła (a stanęła z nimi bajdurzyć i zęby do Zbrożka wyszczerzać), gdy śmiech niewieści posłyszał i wesoło się zrobiło w komorze — Marcik począł do siebie przychodzić.

— Wiecie co — odezwał się, na łokciu opierając, nawpół do Zbrożka, napół do dziewczyny, — takim się czuję słabym, że chyba bym starego miodu się napił!

— A ja, choć nie słaby, do miodu też stanę — rozśmiał się Zbrożek.

— Jak mnie mecha we środku lepiej zagrzeje, a po kościach pójdzie, może wstać będę mógł — dodał Suła.

Spojrzeni oba na Kaškę, która, śmiejąc się, paciorki sobie poprawiała — skłoniła główkę na znak zgody i pobiegła po miód. A na progu stanawszy, odwróciła się do nich, wołając:

— Dam takiego, że trupaby wskrzesił! Po nim Gołasz, co ma lat więcej siedemdziesięciu, śpiewa i gotów w umizgi iść!

— Takiego dawaj! — krzyknął Marcik.

Dobra myśl wracała. Tuż ze Zbrożkiem pobratymstwo sobie przysięgli na wiek wieków, a Suła dodał:

— Zemrę-li bez potomstwa — Wieruszyce ci moje oddam!

Śmiali się i ściskali, a całowali.

Na znak drużby zaraz helmy z sobą pomieniali; Suła byle na zamek, chciał zaraz przyjacielowi jedyny łańcuch, jaki miał, na niezabudź darować.

Przyniosła Kaška mechę, która w istocie dobra była i tęga tak, że zaraz we łbach zaszumiało.

Marcik poczuł łamanie w kościach, co było podług niego dobrym znakiem, iż mu czucie powracało, bo wprzód jak drewno był. Zbrożek mniej pił, bo jak powiadał, słabą miał głowę.

Krzepili się tak jeszcze, gdy już z zamku towarzysze Suły nadbiegać zaczęli z radością wielką, bo go kochali wszyscy, przynosząc mu tę wieść, że księżna z ocalenia jego bardzo rada była i przykazała na zamek przenieść, aby w mieście złym ludziom znowu nie popadł w ręce.

Wszyscy w zamku mówili o tem głośno, że nie kto inny, tylko wójtowi słudzy sprawcami być musieli. Szeptano o tem u Szeluty, dodając, że księżę pewnie



na mieszczanach mścić się będzie. Rajcy miejscy i starszyzna klęła się, że o niczem nie wiedziała.

Wysłani z zamku prawie gwałtem wzięli Sułę od Kanczorki, a że mimo miodu o swej sile iść nie mógł jeszcze, bo nogi odrętwiałe włókł za sobą, wynieśli go na rękach, a potem po wojskowemu, płaszcz między dwoma końmi rozwiesiwszy, na nim go złożyli i podtrzymując, na Wawel prowadzili.

Zbrozek też dał się namówić i szedł za nim.

Na Wawelu dopiero dowiedział się Marcik, że wczorajszego wieczora kursor przybiegł od granic, a książę, wiadomość jakąś odebrawszy, ranó musiał z ludźmi wyciągnąć, niewiedomo dokąd. O Marcika się dowiadywał, chcąc go może zabrać z sobą.

Jego też żal brał, że znowu na zamku zostać musi tak jak beczynnym — ale obiecywał sobie, byle siły wróciły, za księciem pośpieszyć.

Na zamku witano Sułę, jakby z drugiego świata powracającego, ciesząc się, że żyw był, a dopytując o dziwną przygodę. Nie wszyscy wierzyć chcieli, aby mieszczanie ważyli się porwać na zamkowego sługę, a wielu szeptało, że zazdrosny jakiś Greta miłośnik chciał współzawodnika uprzątnąć.

Przyjmował Marcik przyjaciela, z którym zasiadzieli się aż do przyścia kanonika Raclawa, na wezwanie księżnej przybyłego. Ten opatrzywszy Sułę, obmacawszy go, smarowanie dał jakieś i rzekł, śmiejąc się, że tacy, jak Marcik, od tak małej rzeczy nie giną.

Miał stary lekarz to przekonanie, jak powiadał, iż im kto więcej w życiu cierpiał, tem więcej przecierpieć może.

Wieczorem już Marcik jeść zażądał, a nazajutrz do łaźni się gotował, która na wszystkie choroby u niego najskuteczniejszą była.

Greta nierychło dowiedziała się o ocaleniu Marcika, dopiero, gdy do niej Jurgę posłał z pozdrowieniem i obietnicą, iż rychło przyjdzie sam opowiedzieć, co się z nim działo owej nocy.

Do niewiast bardzo skory, ofiarował się w poselstwie za przyjaciela do wdowy iść Zbrożek, ale Suła sobie tego nie życzył.

— Dalibyście babie tej pokój i nie zaczepiali licha — rzekł. — Urokliwa jest a Nielitościwa. Ja jej służę już lat wiele, a tylko się drwin i szyderstwa dosłużył.

Zbrożka to nie tylko nie odstręczyło, ale ciekawość obudzić musiało, bo się uparł w poselstwie iść i poszedł.

Gdy się Zbrożek stawiał u Grety, zastał u niej stryja Pawła i kilku zwykłych gości.

Wiedziano o nim tu, iż mu Suła życie był winien, bo gdyby go wczas nie rozwiązano, albo by się udusił, lub nocą zbójcy go dobili. A że różne plotki o całej przygodzie chodziły, obsiedli wszyscy gościa kołem, aby im powiadał, na co patrzył.

Prostemi słowy począł im opisywać, jako w ulicy stał i jak wyglądali ludzie, którzy porwali tak zręcznie Marcika. Z powieści jego wiertelników łatwo się było domyśleć.

Ci bez rozkazu gwałtu takiego popełniać nie mogli, bo choć się trafiało, że czasem na bezbronnych i samotnych napadli, czynili to dla łupu, a na Marciku wielkiego się spodziewać nie mogli. Wiedzieli zaś, na kogo się rzucili, bo nań u dworu Grety czatowali.

Szopa, w której Sułę znaleziono, także przeciw nim świadczyła, bo do niej, prócz nich, nikt przystępu nie miał.

Sukno zaś, w które obmotany był Marcik, zabrane jako lice, tego samego było gatunku i barwy, jakie circulatorom dawano.

Słuchający głowami potrzásali, nie śmiejąc rzecz słowa — bo wójta wszystko obwiniąło, a nikt nie chciał z nim zadzierać. Strwożeni byli. Greta nawet, dobrze nie znając młodego chłopca, strzymała się z tem, co myślała.

Zabawiwszy trochę, Zbrożek do gospody swej w Grodzkiej ulicy pociągnął, nie czekając nocy.

Mieszczanie dopiero, pozostawszy sami, otwarciej się mogli rozmówić. Wszyscy oni, Paweł, Niklasz

i Keczer — zafrasowani byli. Zuchwalstwo wójta dowodziło, że pewnym siebie był.

— Książę z wojskiem wyciągnąć musiał — odezwał się Niklasz. — Na zamku małą pono załogę zostawił — nieobecność Łoktka może się przeciągnąć, bo z krzyżakami ma do czynienia wiele. Tymczasem wójt w pogotowiu. Ślężacy pewnie na czatach... i w mieście nowego pana mieć będziemy.

Wzdychali frasobliwie, Greta ręce łamała gniewna. Wszyscy lękali się, aby miasto nie ucierpiało, a najwięcej ci, których wójt nie lubił i znał jako swych nieprzyjaciół.

Że coś się gotowało, wszyscy to czuli.

Zausznicy Alberta podszeptywali już, że się polskie panowanie rychło skończyć musi i lepszego księcia dostaną. O Opolczyku rozpowiadali niektórzy, że był serca wielkiego, obyczajów niemieckich, pan rozumny i możny, a za sobą miał Brandenburczyków, króla czeskiego i cesarza. Rozumiano, co takie pogłoski znaczą i do czego przygotowują.

Inni prześmiewali małego księcia, jego wzrost, ubóstwo, osamotnienie, przepowiadając, iż znów pójdzie na wygnanie, z którego już nie wróci.

Wszystko to smutną było przepowiednią dla Pawła i przyjaciół jego.

Otyły rzeźnik wzdychał, pot ocierając z czoła.

— Na to my poradzić nie potrafimy, ani temu zapobiec. Musimy siedzieć cicho, słuchać i patrzeć. Czyja siła, tego wola.

Stękali, iż się bez nowych ofiar panowanie nie obejdzie nowe. Rezygnacji ich jedna Greta rozumieć nie chciała.

— A! wy! wy! — zawołała, lamentu słuchając. — Wszyscyście, nie wyjmując Pawła, ciemiegi, do niczego! Wójtowi się za nos prowadzić dajecie, choć widzicie, że was na zgubę wiedzie. Coby ten Albert znał, gdybyście wy serce mieli?

— A co pomoże serce — odparł Keczer, — kiedy

nas kupka, a z panem wójtem gromada trzyma i z nim idzie?

— Z kupki by gromada urosła, gdybyście niedołęgami nie byli! — odezwała się Greta.

Paweł nakazał jej milczenie.

— Daj ty pokój z językiem swym — rzekł. — Ja już różne pamiętam czasy i wiem jedno — nie wdawać się nam chudeuszom w nieswoje! Kto mięso sprzedaje, niech o wołach myśli, kto sukno — o postawie, kto żelazo — o kruszcu... I koniec!

— Co Bóg da, to da! — zamruczeli, rozchodząc się drudzy.

## VII.

Upłynął miesiąc, miało się ku jesieni. W mieście mało się co zmieniło. Marcik, wyzdrowiawszy rychło, pożegnawszy Zbrozka, który nad Pilicę powracać musiał, nie pojechał do Łoktka, choć go do obozu serce ciągnęło, — musiał zostać, aby pilnować zamku, bo jawnie się zamach jakiś gotował.

Musza, Lewek i inni zastraszające przynosili wieści. Na Wawelu załoga była mała, a ksiązę nie miał jej czem zasilić, bo sam ludzi potrzebował.

Wójt Albert, który z długiej jakiejś podróży wrócił, nie chodził, jak dawniej, chmurny i nasepiony, ale z głową do góry, nieustannie się po mieście krzątając.

Veita zostawiono przy dowództwie straży, ale ludzi mu zmieniono, dając różnych Niemców, nie wiedzieć skąd ściągających się i Ślązaków.

U wszystkich wrót, gdzie strażę dzień i noc czuwały, ludzi postawiono nowych, dawnych się pozbywając. Zacieźnych Ślązaków w służbie miejskiej było pełno. Czechom kazano opatrywać rynsztunek i gdzie który do jakiej bramy i połaci muru był przeznaczony ku obronie, aby zawsze w gotowości był dniem i nocą.

Zbroi co było miejskiej popsutej — do płatnerzów dano, pośpiesznie ją przykazując naprawiać. Z tem wszystkim nie ukrywano się, działo się to jawnie.

Kasztelan, wiedząc o tem, pytał coby znaczyło, a wójt odpowiadał śmiało, że miasto zawsze na wszelki wypadek do obrony nieprzyjaciela musiało być wpo-  
gotowiu. Nie było to zresztą złem, bo na zamku szczu-  
płą miał kasztelan załogę, a zdrady jawnej nie chciał  
dopuszczać, choć ją drudzy przepowiadali.

Gdy Marcik przestrzegał — mówiono mu:

— Śni ci się!

Wymógł tyle na kasztelanie, iż choć nie napozór  
nie groziło, pozwolono mu na zamku straż trzymać  
pilną, wrota wcześniej zamykać, ludzi z miasta nie  
wpuszczać bez opowiedzenia, w nocy na wałach warty  
zaciągać.

Sam Suła, wzorem pana swojego, który gdziekol-  
wiek był, strażę osobiście opatrywał nocami — chodził  
po wałach, ludzi obwoływał i za najmniejsze niedbal-  
stwo karał surowo.

Na miasto jeżeli szedł teraz, co mu się rzadziej tra-  
fiało, to tylko we dnie i wracając zawczasu; ludzi zaś  
z załogi nie puszczał prawie i przed wieczorem wszyscy  
na miejscach musieli być.

Na coś się w mieście zanosilo, — Suła wiedział to  
przez swoich. Przychodzili nieustannie ze sprawami  
do sędziego na gród Żydzki, a ci, wszyscy niemal, od  
Muszy i Lewka przynosili ostrzeżenia i pogłoski. Oba-  
wiali się oni o siebie, gdyby, uchowaj Boże, w mieście  
się co zmienić miało.

Jesień już była dość późna, wieczór cichy, pogod-  
ny, piękny. W mieście panował spokój i cisza dziwna,  
jakby wszystko wymarło. Marcik, który po wałach  
chodząc, przysłuchiwał się i rozglądał — nie mógł zro-  
zumieć, dlaczego tak zawczasu w mieście się na spo-  
czynek gotowano. Ruchu w ulicach nie było żadnego.

W kościołach dzwony zaczęły się odzywać na mo-  
dlitwę wieczorną, gdy Sule, który ucho miał bardzo  
czułe, zdało się, iż wdali usłyszał tętent koni gromadny.  
Szło coś, — wojsko, czy stado, ale zwolna, mierzonym  
krokiem... i zbliżało się.

A im bliżej było, tem Suła pewniejszym się czuł, iż

albo księżę z wojskiem powraca, lub inne jakieś ciągną oddziały. Z różnych stron miasta od bram tętent przychodził.

Niepewien, co to ma znaczyć, Suła zbiegł natychmiast do wrót zamkowych, które jeszcze otwarte stały i dał rozkaz, aby je natychmiast zamykano. Straż ruszyła się nastraszona tem, kazał na ludzi zatrąbić, aby się zbierali, a sam pobiegł do dworca.

Wtem z miasta, przed chwilą tak uspokojonego, dolatywać zaczął szmer głuchy i jakby stłumione okrzyki. Poruszało się tam coś.

Suła wdrapał się na dworzec, gdzie stały wyżki umyślnie zrobione, aby z nich dalej widzieć było można miasto i przedmieścia.

Wszedł i spojrzawszy — struchlał. Przez ulice snuły się cicho oddziały jakieś zbrojne, zajmując miasto. Na chorągwiach mógł rozpoznać czarnego orła śląskiego.

Nie było już wątpliwości, zdrada uknuta — została dokonana, miasto poddało się Ślązakom!

Jak okiem mógł zajrzeć Marcik, widział oddziały coraz nadciągające, które spokojnie bez walki i oporu zalewały Kraków. W rynku już głośno okrzykiwano Ślązaka.

Na zamku pozostali — widzieli już wszyscy, iż nieprzyjaciel jakiś zajął miasto, umyślnie mu otwarte. Powstała trwoga.

Kasztelan, Pakosław z Moskorzowa, niedawno naczyniony po śmierci Jana z Buska, wychodził właśnie dowiedzieć się o wrzawę, którą posłyszał, gdy mu Ślązaków zwiastowano.

Zbladł i przystanął chwilę, niepewien siebie, lecz człowiek był serca wielkiego i ducha nie stracił. Zaczął wydawać rozkazy i posłał pacholę po zbroję. Wrota były już zaparte.

Od miasta szumiało coraz groźniej.

Kilku żołnierzy z załogi, których najazd zastał w mieście, przybiegło do furty, prosząc się, aby ich wpuszczono, bo się niewoli obawiali. Otwierać im było



niebezpiecznie. Spuszczono linę z drążkiem i tak ich na górę wciągnęto. Ci już umieli rozpowiedzieć o tem, na co patrzali.

Gdy Ślężacy się zbliżyli, wszystkie wrota zastali naocześnie otwarte. Wójt wyszedł naprzeciwko księcia Bolesława opolskiego ze swoimi mieszczanami w orszaku wielkim, do nóg się księciu pokłonił, oddając Kraków, jako panu i władcy. Niektórzy tylko z mieszczan poukrywali się i domy pozawierali — ale tych było mało. Znaczniejsza część po niemiecku wołała, ochotnie i radośnie przyjmując Ślężaka.

Na ratuszu nawet zgotowane było przyjęcie i wino, gdzie wszystkich, kto chciał, ugaszczano. Żołnierze niektórzy i Jurga na oczy swe to widzieli.

Miasto więc było stracone, bo z opowiadania wnosząc, siła księcia Bolesława była tak znaczna, iż przeciw niej porywać się byłoby szaleństwem. Z zamkiem co począć mieli?

Kasztelan co najprędzej szedł z żalosną nowiną do księżnej.

Jadwiga w pożyciu z mężem przejęła była męstwo i wytrwałość jego. Przetrwawszy wiele, umiała cierpieć. — Pakosław wiedział o tem, ale sam ojcem będąc, litował się niewieście, która o los dzieci zatrwożyć się musiała.

Szedł, lecz im bliżej był, tem zwłóczył więcej, by go kto uprzedził. I stało się, jak żądał, bo sługi wpadły naprzód do księżnej z płaczem, oznajmując, że Ślężacy Kraków zajęli.

Syna pochwyciwszy na ręce, księżna, jak stała, do przedsieni wybiegła. Tu spotkała kasztelana, który całą męstwo odzyskał.

— Brońcie zamku! ratujcie dziecię moje! — zawołała żywo. — Władysław nadciągnie niechybnie z odsieczą. Dopóki się go nie doczekamy, musimy się bronić!

— Miłościwa pani — odparł kasztelan. — Myśmy na to przygotowani, inaczej być nie może.

Księżna przyciskała do piersi dziecię strwożone, lży

pływały jej z oczów, lecz spojrzawszy na Pakosława, którego męska twarz cały swój spokój zachowała — odetchnęła lżej.

— Zamku nie poddamy! — powtórzyła.

— Nigdy! — odparł krótko kasztelan.

Pacholek niósł mu hełm i zbroję, w podwórzu słychać było wołania — księżna wróciła do kaplicy i klękała na modlitwę.

Ślężacy z Albertem obrachowali byli, iż znienacka do zamku przypaść, nimby się tam opamiętano i zebrano do oporu, było dla nich najkorzystniej. Główne oddziały, mało co się zatrzymawszy w rynku, ciągnęły z Fuldem dowódcą i wójtem Albertem ku wrotom.

Wójt w szatach paradnych, po rycersku przystrojony, z pychą wielką wiódł śląskiego dowódcę. Wybrali do swego orszaku ludzi najlepiej uzbrojonych, w błyszczących pancerzach, kuszników niemieckich i najzuchwalszą gawiedź, która, łańcem do miasta wkroczeniem uzuchwalona, szła wykrzykując i odgrazając się napastliwie i tłumnie.

Albert sam stanął naprzeciw wrót, wołając, aby je otwierano.

Pakosław wystąpił przeciwko niemu na wyżki i pochylił się, grubjańsko krzycząc na wójta, który, zaczerwieniony z gniewu, podniósł głowę.

— Skończyło się panowanie wasze! skończyło! — krzyknął Albert. — Wrota otwierać! Poddawajcie się! Obrany jest pan nowy, książę opolki, który miasto zajął. Chcecie-li z życiem ujsć, nie zwłóczcie. — Wrota otwierać!

Niektórzy grozili pożogą, rzezią i śmiercią.

Pakosław dał im krzyczeć, nie odpowiadając, zwrócił się do wójta z pięścią zaciśniętą.

— Ty, zdrajco podły — zawołał, — szubienica cię czeka!

Spojrzał z góry dumnie na Ślżaków i, nie zważając na wrzawę, zszedł z wyżek.

Ludzie na wrotach stojący poczęli odgrazać się, że strzelać będą.

Nie przygotowani do boju Słazacy cofnęli się nieco. Albert blady, niespokojny, w miejscu z koniem się poruszał, chcąc męstwo okazać. Herold trąbił znowu, wzywając na rozmowę, ale Pakosław nie wyszedł więcej, a Marcik, wylazszy na wyżki, od ostatnich słów począł besztać Niemców, plunął na wójta i precz szedł.

Słazacy jeszcze się burzyli i namyślali, a tu wieczór nadchodził ciemny. Rzucili się do wrót, z góry cisnęli na nich gradem przygotowanych kamieni; puszczone kilka bełtów. Musieli ustąpić.

Naradzano się w kupie z wójtem, który wołał ze śmiechem udanym.

— Jutro będą pokorniejsi!

Rozstawiono zdala strażę i Fuld z wójtem zasepio-nym nazad pokłusowali do miasta.

Zawiodła go nadzieja, był bowiem pewien, że zamek, niespodzianie napadnięty, podda się. Siłą go brać nie było łatwo.

Bolesław opolski, obrany pan nowy, z dobrą myślą siedział w ratuszu za stołem, otoczony niemieckimi mieszczanymi, wcześniej zapewniony będąc przez wójta Alberta, iż korda nawet dobywać nie będzie potrzebował dla opanowania Krakowa.

Lat już dojrzałych mężczyzna, jak wszyscy niemal ślascy Piastowie — otyły, wielki, piwem dobrze utuczony, twarzy szerokiej, rysów dosyć łagodnego wyrazu; a choć miał wzrost i ramiona rycerskie, nie okazywał zbyt rycerskiego usposobienia.

Szedł do Krakowa, przekonany, że na drodze nie znajdzie żadnej przeszkody, że weźmie miasto i państwo jak owoc dojrzały. Tak się też stało, i gdy mu wrota otwarto szeroko, a mieszczanie powitali okrzykami, gdy go z honorami zaprowadzono na ratusz, czekał już tylko, aby mu znać dano, że na Wawel jechać może. Był pewien, że na starym zamku zanocuje, oglądał się na wójta, kiedy mu da znać, by na koń siadał i ciągnął.

Wtem zamiast Alberta, który się zatrzymał nieco, wszedł dowódca jego, Fuld.

Ksiązę, spojrzawszy nań, poruszył się, po hełm, na stole leżący, sięgając.

— Na zamek? — zapytał.

— Na zamku — odparł Niemiec, równie zawodem oburzony — ani słuchać nie chcą, żeby go oddać. Z nimi będziemy się musieli rozprawiać. Wały duże i mocne, góra dosyć wysoka i stroma.

Bolesławowi chmura przeszła po twarzy. Oczyma szukał wójta, który, ułożywszy spokojne oblicze, wchodził właśnie. Spojrzał nań z wyrzutem.

— Cóż to? Zamek się opiera? bronić się myślą?

Albert wzgardliwie ramionami dzwignął.

— Niema o czem mówić! — odparł. — Jutro się wszystko wyjaśni. Bronić się nie mogą, ludzi nie mają. Trudno, aby się odrazu poddali — ale popłoch tam wielki. W. miłość zajmijcie dom mój, a jutro...

Ksiązę patrzył już na Fulda, jakby wójtowi nie dowierzał; dowódca zdawał się wątpić.

Albert przysunął się do księcia.

— Księżna z dziećmi znajduje się na zamku, należałoby jej dać wolne wyjście ze dworem. Zechce pewnie swoje mienie zabrać.

Bolesławowi te targi nie były do smaku.

— Inaczej mówiliście i obiecywali mi w Opolu — odezwał się do wójta z wymówką. — Zaklinaliście się, że wszyscy mieszczenie, duchowni, rycerstwo na mnie czeka i nikt się nie sprzeciwi.

— I dziś to powtarzam — rzekł Albert, — ale księżna musi się o swobodę i mienie targować.

Rozmowę pocztą przerwało wołanie, oznajmujące, że biskup przybywał.

Maskuta, który Łoktka unikał oddawna, obiecywał był swe przybycie na dzień zajęcia miasta przez Ślązaka. Spóźniwszy się nieco z przyjazdem, wprost wozem pod ratusz zajechał i, jak stał, w płaszczu, pod którym miał urzędowe szaty, wszedł witać pana, którego pragnął.

Książę powstał, rozstępowali się wszyscy; mały, nie-  
poczesny, przykureczony biskup z wielką gorącością  
i poszanowaniem się przybliżył. Śmiał się i płakał,  
drżał i mruczał coś niewyraźnie; wielką radość widać  
w nim było.

— Skończyło się panowanie antychrysta! — za-  
wołał głosem, który kaszel przerywał. — Niech Bóg  
synowi swemu na tej stolicy błogosławi!

I przeżegnał schylonego.

Książę jedno teraz miał na myśli i, zamiast podzię-  
kować biskupowi — odezwał się niespokojnie:

— Zamek się nie poddaje!

Biskup uśmiechnął się z jakimś politowaniem.

— A! nie dziś, to jutro mieć go będziecie! — rzekł  
wesoło. — Ja tam wejdę do kościoła, a gdy raz się do-  
stanę, postaram się, aby bramy otwarto.

Noc nadeszła i wszystko musiano odłożyć do jutra.  
Bolesław, pocichu rozmówiwszy się z biskupem, kazał  
się prowadzić do dworu Alberta, przygotowanego na  
jego przybycie.

Wojsko, zajmując miasto, choć ono mu się dobro-  
wolnie poddało, poczynając gospodarować, jak w zdo-  
bytem. Mieszczanie dopiero teraz spostrzegli, na co  
byli wystawieni. Ślężacy gwałtem domy opanowywali,  
odbijali kramy, chwyтали, co kto napadł z żywności,  
a kilku pachółkom miejskim po łbie się dostało. Roz-  
sypali się po ulicach z szablem i zuchwalstwem żołdac-  
twa rozpuszczonego. Gościnne przyjęcie w rynku, becz-  
ki piwa i starszyźnie rozdawane wino głowy strudzo-  
nych pozawracało.

Do domu wójta bieżono ze skargami, z narzeka-  
niem, ale służba precz żałujących się odpędzała. Rajcy,  
którzy biegli na ratunek swych sklepów, zostali po-  
chwytni przez żołnierzy i powiązani.

Albert tymczasem, o niczem wiedzieć nie chcąc,  
przyjmował księcia, zapewniając go, iż nietylko za-  
mek podda się jutro, ale ziemianie przybędą okrzyknąć  
go panem, bo Łoktek naprzykrzył się im swojemi wy-  
dzierstwami i samowolą.

Księżę uśmiechnął się, słuchał, rad był i wkońcu zapewnieniom uwierzył, domagając się przedewszystkiem, aby mu zamek oddano. Albert zaręczał, iż jutro wszystko się skończy, byle herolda do księżnej posłano, zapewniając jej wyjazd wolny.

Noc w mieście była bardzo niespokojna. Wiertelnicy nie śmieli obchodzić swych kwartałów, bo Ślężacy ich groźbami precz rozpędzali. Gdy rozedniało, w ulicach naliczono kilkunastu trupów odartych, kilka domów się paliło, tak, że je ledwie hakami rozerwano, aby się pożar nie rozszerzył.

Jak dzień, Hincza Keczer poszedł do wójta, który tej nocy oka nie zmrużył; i on też spokoju nie miał i snu nie próbował nawet.

Chociaż trzymali z sobą i Hincza liczył się do przyjaciół Alberta, nie ufali sobie wzajem i niebardzo się lubili.

— Wiecie, co się na mieście dzieje! — zapytał wchodzący Keczer.

— Żołnierze w nocy pili i dokazywali — nie mogło być inaczej — odparł wójt. — Cóż dziwnego?

— Słyszeliście, ile kramów odbito i złupiono? ilu trupów na ratusz zaniesiono? U Zebiu...a na tysiąc grzywien szkody. Panko Wanczos zabity...

— Chcieliście, — zawołał, unosząc się wójt — aby was uwolnienie z pod katowni Łoktka nic nie kosztowało? Darmo nic nie przychodzi!

— Ale nam może przyjść bardzo drogo — odpowiedział Keczer.

Albert, oburzony tą wymówką, rzucił się. Wtem do drzwi zaczęli szturmować i inni ze skargami i płaczem. Veit, dowódca wiertelników, stawiał się z głową rozplataną i krwawą chustą okrytą. Zniecierpliwiony wójt unosił się, łajał, groził, nie chciał słuchać nic i pędził przychodzących bez litości.

Tymczasem biskup, jak wczoraj przyrzekł, wybrał się na zamek do kościoła, w istocie do księżnej. Kru-cyfer jego szedł przodem, część kapituły mu towarzyszyła.



Na szkarłatami wysłanym wozie podjechał pod wrota wielkie. Krucyfer wołał, aby je otwierano. Tuż za wozem szedł oddział Ślązaków. Wszczęło się pokrzykiwanie:

— Otwierać biskupowi!

Kasztelan się pokazał na wyżkach.

— Ani księdzu biskupowi, ani nikomu wrota się nie otworzą — odezwał się spokojnie. — Wiemy z kim biskup trzyma i co myśli. Jedźcie z Bogiem.

Frejer, kanonik biskupi, podpadł na koniu bardzo gwałtownie, grożąc anathemą, bo nikt nie miał prawa biskupowi do kościoła jego drogi tamować.

Wołanie to nic nie sprawiło. Kasztelan odrzekł krótko i sucho:

— Jedźcie z Bogiem... rozprawimy się gdzie indziej.

Stali tak z wozem, z krzyżem dobrą chwilę, napróżno się zmagając na groźby, aż od wójta nadjechał herold z chorągwią i orłem śląskim na piersiach, w kapie, z trąbą, domagając się, aby go, jako posła, puszczo-no do księżnej Jadwigi.

Odparto go tem, że w żadne rozmowy księżna wdawać się nie chce z najeźdźcami.

Łajano się, jak zwykle, po niemiecku i po polsku; godzina upłynęła próżno i biskup z krucyfiksem musiał na swój dwór z niczem powracać. Na herolda, gdy odjeżdżał, kamieniami sypnięto.

Nadbiegł sam wójt, ale po czasie, gdy nikogo nie było we wrotach, a do niego nikt wychodzić nie chciał.

Księżę Bolesław na dworze Alberta siedział wygodnie u dobrze zastawionego stołu, śmiejąc się, żartując, pewien, że mu lada chwila dadzą znać, aby jechał na zamek.

Niespodziany wypadek zatrzał mu ucztowanie.

Nie wiedząc o niczem, co się stało w Krakowie, przybył do Łoktka Wincenty z Szamotuł rano po zajęciu miasta. Tu dopiero u wrót się dowiedział, że Bolesław śląski w niem się znajdował. Przybywał ze znacznym oddziałem, po pańsku — i Ślązacy, zobaczywszy go,

a domyślając się z kim trzymał i do kogo jechał, otoczyli i uwięzić chcieli.

Z Szamotulskim sprawa była niełatwa, on i ludzie jego wzięli się do mieczów i do obuchów. Tumult się stał u wrót; sam wójt nadbiegł niespokojny, zobaczyć, co się tam działo.

Wielkopolanin szalał, łajał i gawiedź krwawił, rozpędzał. Wójt, znając go i wiedząc, jaki wpływ miał, krzyknął na Ślżaków, aby odstąpili, a sam, zabrawszy Wincentego, powiódł go na rozmowę do księcia.

Bynajmniej nie zlekniiony Szamotulski samotrzeć ruszył z Albertem do jego domu.

Książę Bolesław jeszcze siedział za stołem, gdy wójt mu przyszedł o nim oznajmić, radząc, aby książę starał się go sobie pozyskać.

Za nim zaraz wkroczył Wincenty z taką dumną miną i butą, jakby sobie nowego pana niewiele ważył.

Ślżak twarz mu okazał wielce łaskawą.

— Nie wiecie, widzę, — rzekł — iż ja tu za wolą powszechną i wyborem wszystkich przybyłem? Kraków i Sandomierz sam mi się oddał. Nie prosiłem o to, nie narzucałem się — przyszli mnie prosić, aby się z twardej niewoli Władysława wyswobodzili.

— Zaprawdę nie wiem o tem — odpowiedział Szamotulski. — Lękam się tylko, aby w. miłości w błąd nie wprowadzono. Mieszczanie niemieccy, którzy tu na cudzej ziemi siedzą — może księcia wzywali, ale o ziemianach i rycerstwie, które stoi przy swym panu — nie wiem!

— Zaręczano mi za ziemian!

— A no oni sami cale o niczem nie wiedzą — rzekł Szamotulski. — Miasto wziąć, gdy zdrajcy wrota otwierają, mała to rzecz, ale co miasto, to nie ziemia.

Wójt stał za nim błąd, książę zwrócił się ku niemu.

— Mówcież wy! — zawołał.

Albert się nieco zająknął.

— Krakowscy i sandomierscy ziemianie tak myślą, jak i my! — rzekł krótko.

— Którzyż i jacy? — pytał Szamotulski.

Zmieszany wójt, zamiast odpowiedzieć wprost, począł się jękać.

— To się okaże! My księcia Władysława wszyscy mamy już dosyć, — i wojny i ciężarów i rozbojów wojskowych po gościńcach.

Z pod oka spojrział nań Szamotulski i zwrócił się do księcia.

— Wasza miłość, — rzekł — daliście się uwieść lada jakim zapewnieniom; ale łatwiej było wniknąć tu, niż będzie się utrzymać. Księżę Władysław nadciągnie z siłą znaczną, a ziemianie za nim pójdą.

— Nie pójdą! — gniewnie zaprzeczył wójt.

— Nie możecie wy ręczyć za ziemian, — odparł Wincenty — sprawy miasta a nasze nie jedne są. Wyście Niemcy przybysze, a my tu ojczyce!

Zachmurzył się księżę, słuchając.

Wincenty z Szamotuł tak się stawił śmiało i pańsko, iż Ślązak ani myślał go zatrzymać. Albert podszeptował, aby go nie puszczano, bo wracając do Poznania, popłoch rozniesie, lecz Ślązak nie chciał sobie ziemian narażać i puścił go wolno.

Po krótkiej rozmowie tej Wielkopolanin, na koń siadłszy, do swojego orszaku podążył wprost, nie zatrzymując się w mieście, i natychmiast za wrota wyruszył.

Wszystko, co mówił, głęboko utkwilo w umyśle księcia Bolesława; teraz dopiero widział jasno, że się dał uwieść pięknemi słowy.

Bardziej jeszcze, niż on, rozjąttrzeni byli dowódcy wojskowi, którzy szli na tę wyprawę, jak na wesołą wycieczkę, — wojny się wcale nie spodziewali, a znaleźli na miejscu opór, który ją zapowiadał. Wszyscy narzekali na Alberta, a gniew wywierali na miasto, na mieszczanach za zawód pomsty szukając.

W zamku sposobiono się do upartej obrony; Ślązacy, obchodzący wały, widzieli to i księżę Bolesław, choć mu szturm radzono, wahał się go przypuścić.

Upłynęło parę miesięcy, a ci, co Kraków zdradą opanowali, jednego naprzód nie zrobili kroku. Żywiło ich miasto, zamek się opierał, ziemian nie było widać wcale, kraj poddawać się nie myślał.

Książę Bolesław siedział w domu wójta ze dworem swoim, jadł i pił, dobrze mu się działo — lecz potrosze już się niepokoił. Wojsko jego musiało opłacać miasto, ściągano grosz — końca temu widać nie było.

Wielka z początku radość Niemców zmieniała się powoli w niemniejszy frasunek, oprócz niewielkiej garści tych, co z wójtem trzymała i pochlebiała mu. Albert widział wkoło siebie twarze pochmurne, ludzi milczących i skłopotanych.

Księciu opolskiemu nudziło się czekać, nic nie widząc przed sobą. Rycerstwo obiecywane nie przybywało. Wójt, gdy naciskano, z dnia na dzień je obiecywał, a gdy przyszło je stawić, przyprowadził kilku strwożonych biedaków z okolicy, ujętych przez się, którzy kłaniali się, bełkotali i co najprędzej precz jechali.

Wszelkie usiłowania skierowane były ku temu, aby zamek wziąć, ale siłą dotąd nie ważył się książę Bolesław kusić oń.

Powtarzał ciągle, iż przybył wezwany dobrą wolą narodu i dobijać się niczego nie potrzebuje.

Wójt się spodziewał, że Wawel podda się z głodu.

U Szeluty, gdzie się różni zbierali, pocichu i ostrożnie szeptano, że z miasta wielu, co Łoktkowi sprzyjali, widząc, że Ślązak waha i słabnie, nocami żywności na zamek dostarczali. Żydzi też pomagali obleżonym.

Po pierwszej trwodze na Wawelu, po kilku dniach ucierania się u wrót na języki — gdy więcej nie poczynano, otucha wstąpiła w załogę.

Księżna pewną była, że mąż ją nie opuści, a stolicy swej Ślázakowi nie odda.

Wójt nawet w ostatnich czasach znacznie mniej zuchwałym się stawał i skarżył się tylko, że ziemianie go zdradzili. W istocie zaś nikt mu nic nie przyrzekał,

a on ufał, że gdy Kraków w rękach Ślązaków zobaczą, przyjdą mu się pokłonić.

Posyłano swoich po dworach, do brata, do powinowatych, do Sandomierza, aby jednać ziemian, — wszyscy odmawiali pomocy.

Zaczynano się obawiać zemsty Łoktka. W Sandomierzu namówieni przez Alberta mieszczenie poddali się Ślązakom — i tak samo gród się trzymał, jak w Krakowie. W Sączu, naprzekór Krakowowi, uzbroili się wszyscy, miasto stało przy swym panu, gotując broń przeciw Niemcom.

Książę Bolesław tęsknił już za Opolem, chciał wyjeżdżać z Krakowa, zostawując tylko załogę, tak, że Albert, przestraszony, na kolanach go ledwie uprosił, aby pozostał.

Wawel opasany był dokoła, strzeżono, aby nikt z niego, ani doń wniknąć nie mógł — a jednak donoszono wójtowi, że mimo największej pilności, ludzie się przekradali i żywność wciągano... Służący, napojeni, tam, gdzie trzeba było, nie słyszeli nic.

W miarę jak obleżenie się przeciągało, stawało się coraz wolniejszym, ludzie, zmęczeni, zaniedbywali się.

Śmiały Marcik przekradał się, nie wiedząc, jakim sposobem do Muszy, na Okole, zachodził do znajomych, Ślązakom figle płatał, a uleczony Gamrot dzielnie mu pomagał.

Ważył się nawet jednej nocy aż na ulicę Rzeźniczą do Pawła i od niego się z bólem serca dowiedział, że Greta, nie mogąc znieść pokuty w mieście, znowu do Wrocławia do powinowatych zjechała.

Radby ją był widział i dlatego się ważył podkraść do dworu mimo niebezpieczeństwa, ale i za ucieczkę tę ganić jej nie mógł.

— Byle jej tam jaki Ślązak nie zaswatał — wzdychał.

— O to strachu niema, bo ona ich nie lubi — mówił Paweł — zresztą, choćby zaswatana, albo zameżna, byle wróciła, — bo za nią strasznie tęskno, a człowiek do niej nawykł, jak do powietrza.

Zgadało się potem o mieście i o zamku, a Suła tak był pewien odsieczy i przykładnego winnych ukarania, że Pawła tem nastraszył.

— Z Albertem i winnymi niech czynią, co chcą, na co zasłużyli, — westchnął — lecz nas niech oszczędzą. Gdy na miasto padnie straszny gniew pański, zginie-my wszyscy.

Marcik uderzył go po ramieniu.

— Nie bójcie się, będziemy umieli owce zakażone od czystych odróżnić, ale, że zdrajcom przebaczenia nie da, nadto go znam, bym wątpił!

Z każdym dniem popłoch w mieście rósł; woźnice, ciągnący z kupią od Śląska, od Sandomierza, od Torunia, przynosili wieści coraz pewniejsze, iż księżę Władysław zbiera siły przeważne dla odebrania Krakowa.

Księżciu Bolesławowi gościna ta przymusowa ciążyła, codzień się stawał opryskliwszy, wójta witał i żegnał wymówkami.

— Coście to mi obiecywali? Pókiż tego czekania będzie? Zwiedliście mnie...

Choć biskup pracował nad duchowieństwem, aby je sobie pozyskać, znaczna część trzymała się na ubo-czu. On, wójt i książęcy dwór naradzali się po dniach całych i niepokój rósł ciągle.

Muskacie donoszono, iż dobra biskupie Łoktek woj-skiem ciągle zajmował.

Ktoby był następnej wiosny do Krakowa pojechał za tych śląskich rządów — ledwieby go teraz poznał. Miasto, gdyby nie załoga, wyludniało. Z ziemian i rycerstwa nikt tu prawie nie zajrzał. Woźnice i kupcy niebardzo się na gościńce ważyli, bo już Łoktkowi chwyтали ich, a dużo ziemian na swą rękę, korzystając z czasu niespokojnego, zasiadało po gościńcach.

Obyczaj ten napastowania podróżnych za czeskich rządów trochę się był powściągnął, bo surowo się wzięto do łapczywych rycerzy — teraz znów bezkarnie z gródków się dobywali.

W gospodzie kupieckiej, w rynku wozu nowoprzy-bywającego trudno teraz zobaczyć było; połowa kra-



mów stała zamknięta, kupujących brakło, kupcy skarżyli się i sarkali.

Zato około Dyngusza, przy piłacie na ratuszu ciągle było tłumnie i gorąco. Albert grozą starał się mieszczan utrzymać przy sobie. Nie było dnia, żeby wiertelnicy kogo do więzienia nie wlekli, bez chłosty i stawiania u pręgierza dzień jeden nie minął.

Niektórzy śmielsi wyrzucali Albertowi w oczy, iż miasto zgubił, ale kto się głośno odezwał, tego zamykano. W radzie miejskiej połowa ludzi siedziała, milcząc; niektórzy domagali się jakiegoś końca. Albert, jak zwierz w kniei osaczony, rzucał się, kąsał, ale kroku naprzód uczynić nie mógł.

Śląska też załoga, choć ją karmiono, przykrzyła sobie. Fuld, który od pierwszego dnia położenie zrozumiał i wyprawie był niechętny, potajemnie księciu coraz gorsze wieści przynosił. Księżę też codzień był niecierpliwszy i chmurniał.

Wlokło się to nieznośnie dla niego, ale dłuższym jeszcze czas ten mógł się wydawać księżnie. Mimo tajemnie poddawanej żywności, na zamku dostatku nie było. Ludzie chorować zaczęli. Od księcia Władysława przez Żydów tylko głuche dochodziły wieści.

Usłużny i bardzo zręczny Gamrot, który się na najniebezpieczniejsze wycieczki sam ofiarował, wyprawiony z poselstwem nie wracał. Nareszcie w maju jednej nocy, gdy Marcik wały obchodził, usłyszał znak, jaki zwykle dawano, gdy się goniec zjawiał. Pobiegł ku miejscu, skąd go sykanie doszło, i zobaczył Gamrota całego i zdrowego.

Przynosił on pocieszające wieści od księcia, który obiecywał się wprędce i przyrzekał, że Ślązacy precz odejść będą musieli, byle zamek pottrzymał się jeszcze.

Zbudzono księżnę, do której zaprowadził Marcik posła. Zwiastował on, że pan niedaleko już był i rychło miał dać znać o sobie. Ziemianie wszyscy znaczniejsi — sandomierscy, krakowscy, wielkopolscy przy nim stali. Serdecznie też wiarę strzymali.

Na Śląsku Gamrot słyszał, że tam się księcia Bolesława, który zniechęcony był, zpowrotem spodziewano.

Jeszcze się ta rozmowa toczyła w izbie książęcej, która ludźmi ciekawymi się napełniała, gdy na zamku od wałów wśród ciszy nocnej wrzask się dał słyszeć straszny.

Marcik i co żyło wybiegli, chwytając za oręż.

Noc niezbyt była ciemna; w podwórzu się rozglądawszy, Suła ujrzał ponad tynami od strony Wisły coś poruszającego się, jakby gromadę ludzi. W jednej chwili stanął u tynów, kędy zamkowego żołnierza dość już było.

Załoga czujna, szczególnie po nocach — cała była wpogotowiu. Potoczyli się wszyscy ku tynom.

Cicho i zdradnie garść Ślązaków, którą Niemcy, znający słabsze i trudniejsze do obronienia miejsca na zamku, nasłali — próbowała wedrzeć się wewnątrz.

Wpogotowiu stały większe siły, które, gdyby się napaść udała, ze wszech stron uderzyć miały.

Napaść się nie powiodła, bo natychmiast u tynów zjawili się obrońcy.

Marcik tłukł tych, których znalazł wdrapujących się u tynów, innych żołnierze chwyтали, ciągnęli, siekli i brali w niewolę. Pod ręką były kamienie i belki, które na drapiących się po wzgórzu ciskać zaczęto.

Zaczęta wśród nocnego mroku walka trwała niedługo, bo ci, co dalej byli, widząc pierwszych odpartych i pobitych, natychmiast uciekać i rozpraszać się zaczęli.

Rachowano na to, że na zamku długie bezpieczeństwo ludzi musiało uspić i że nikt pewnie napaści się nie spodziewał. Niemcy mogli mieć przekupionych na zamku i przy trwodze z jednej strony na otwarcie wrót liczyli. Wszystko to jednak zawiodło.

Gdy potem ognia przyniesiono, aby więźniów i trupów rozpoznać, okazało się, że najwięcej było ludzi z miasta, których jako sługi wójtowe znano. Marcik, zajadły w pierwszej chwili, wszystkich zdrajców, nie żywiąc, dobijać kazał. Na wałach, naprzeciw miasta,

powznoszono szubienice w najwyższym miejscu, i gdy rozedniało, mogli już ci, co posłali, widzieć, jaki los ich spotkał.

Tak ta noc trwogi i nadziei przeszła na zamku, a gdy książę Bolesław, o niczem nie wiedzący, wstał rano, Fuld mu przyszedł opowiedzieć, jak nieszczęśliwie próbowano dostać Wawelu i jak sromotnie uchodzić musiano.

Przywołany wójt Albert składał winę całą na innych, sam się nie przyznając ani do tego napadu, ani do świadomości jego.

Następnego dnia przybył posłaniec od brata Henryka z ostrzeżeniem, iż wszyscy ziemianie, nie wyjmując krakowskich, stawili się gromadnie w obozie ks. Władysława.

Z tą wiadomością nie śpieszył Albert do Ślązaka. Natychmiast kazał radnych na ratusz wołać, których wiertelnicy niemal gwałtem z domów porwanych pędzili.

W ostatnich tygodniach trwogi i niepewności wójt posiwiiał był nagle, zestarzał, żółć mu zalała twarz, oczy patrzyły dziko. Przybywający z kolei zastali go spartego na stole, pogrążonego w myślach i słowa z niego dobyć nie mogli.

Stali przed nim obaj wójtowie, wybrani przez mieszczan, Ortlieb i Pecold, radni: Jaśko, Tylma, Brant, Winbold i Paweł z Brzega.

Z postawy i wejrzeń ich widać było, że wszyscy przybyli z troską niemałą, a niebardzo byli z sobą zgodni. Paweł z Brzega. Hincza Keczer, opodał nieco się trzymając, poglądali na siebie, porozumiewając się, a oczyma wskazując wójta, jakby mówili:

— Oto winowajca.

Ci na uboczu miejscea sobie obrali.

Wójtowie, jak przystało, wysunięci naprzód, ręce trzymali w kieszeniach, obaj, jak noc posepni. Herman stał tuż przy wójcie, jakby mu posiłkować zamierzał i chciał dodać odwagi. Reszta, spozierając po izbie, słuchała wrzawy, dochodzącej z rynku.

Wójt Albert długo się wahał, nim rozpoczął.

— Trzeba radzić, — rzekł wkońcu głosem stłumionym — ksiązę Bolesław domaga się, sam nie wie czego. Ziemian chce mieć.

Ramionami ruszył.

Nikt się nie śpieszył z odpowiedzią, czekano, co więcej powie. Albert oczyma potoczył dokoła; ciężko mu było przyznać, do czego miasto doprowadził, wołał odpowiadać na wymówki, niż sam się tłumaczyć.

Spoglądał i wyzywał napróżno. Wójtowie podnieśli głowy, Herman z Raciborza, człek gwałtowny, widząc, że Albert się ociąga, począł za niego:

— Musimy radzić o sobie, abyśmy nie mieli biedy. Zdradzili nas wszyscy. Wołali przeciw Łoktkowi, że go za nic nie chcą — że musi iść precz; powiadali, że byle się Kraków zdał, oni wszyscy Ślązakowi moc oddadzą i panowanie. Teraz śpiewają inaczej, a nas zostawili w matni.

Ręką zawinał i rzucił się. Albert, milczący, rozłożył obie ręce szeroko i załamał je.

— Żle jest! — zamruczał.

Wtem Hincza Keczer, podsunąwszy się nieco, zawołał:

— Temu złemu my niewinni. Kto go sprawił, niech naprawia! Myśmy nie chcieli żadnej odmiany. Nie mieszczan to sprawa książąt powoływać i osadzać. Jakieście piwo nawarzyli, takie pijcie. Niestety w tem, że choć nie wszyscy biedę robili, niewinni muszą pokutować z nimi.

Wójt gniewnie się poruszył.

— Wszyscyście tego chcieli — zawołał. — Jabym nie począł sam, gdybym ludzi nie badał. Niewinieniem nic.

— A któż? Może ja? — wyrwał się Paweł z Brzega. — Czyśmy was nie upominali?!

Wójt spojrzał nań namarszczony groźnie...

— Jeśliśmy zawinili, to wszyscy równo... Nikt z nas miastu źle nie życzył.

— Wyście to nie dla miasta robili — począł Ke-

czar ośmielon — ale dla siebie. Chciało się wam większej godności i znaczenia. Łoktek wam był za mocny... roilo się panowanie... Wyście nas w to błoto, a bodaj nie w krew wpędzili; myślcieź, jak wyrwać!

Wójt zgrzytał zębami.

— Jeszcze się nie wszystko skończyło — rzekł groźnie. — Ks. opolski siedzi u mnie i ja władzę mam. Nie rozpuszczajcie gęby, abym wam jej zamknąć nie kazał.

Keczer splunął i tyłem się do niego odwrócił.

— Zapomnieliście, — dodał Paweł z Brzeża — że my tu nie w domu u siebie, w Niemczech, ani na Śląsku, ale między Polakami, wśród których nas garść tylko. Mieli nas dawniej za nieprzyjaciół, cóż teraz?

— Ziemianie polscy sami skomleli przeciw Łoktkowi — rzekł Albert.

— Gdzie? kto? jacy? — podchwycił Keczer. — Postawcie choć jednego! mianujcie go! Przybyłże który poddać się Ślązakowi, pokazał się na dworze? Wszyscy są z ks. Władysławem. Wam się zdało, że gdy opolskiemu Kraków zdacie, złęką się i poddadzą — ale z małym księciem niełatwa sprawa... żelazny człek... nie nastraszyć go i nie zgryźć!

Albert, nie odpowiadając mu, zwrócił się do innych.

— Możemy się jeszcze ratować — rzekł. — Jeżeli zamek dostanie się opolskiemu, wszystko się zmieni. Otuchy nabierze. Ślązacy leniwi szturmować nie chcą, więc nam trzeba się uzbroić i siłą czy zdradą dobyć zamku... Gdy mu zabierzemy gród, żonę i syna, będzie musiał się układać i pójdzie na dział swój, na Kujawy. Na zamek i ziemianie przyjdą — jutro!

— Tak samo, jak dziś! — rozśmiał się szyderczo Keczer. — Dobra rada! popróbujcie! popróbujcie! Wziąć zamku nie weźmiemy, bo u nas czeladzi mało i ta do obuchów i do kusz nie nawykła. Mały książę, jak się dowie, żeśmy mu jeszcze i zamek chcieli odbierać, w pień nas wyciąć każe. Teraz, choćby opanował miasto, może się kto ocali — potem nikt! Dobra rada!

— Rada nie jest moja — krzyknął wójt, obracając

się do niego — nie moja. Ks. biskup Muskata mi ją dał... Ten wiernie z nami trzyma.

— Tak rozumny, jak i my! — szepnął Paweł z Brzega — i taki go, jak nas, los spotka.

Hieronim z Rakocina wystąpił naprzód.

— Wodę warzymy darmo — zawołał głośno i nakazująco. — Ratować się trzeba i głowy słuchać, robić, co wójt każe. Rozdzielimy się, to przepadniemy!

— Tak, czy owak — przepadliśmy! — przerwał Paweł z Brzega. — Niech lepiej każdy siebie ratuje, jako umie — miasta nie uratujemy!

Wójt szydersko usta skrzywił.

— Was piękna synowica, która z Polakami zaloty stroi, uratuje!

Paweł zaczerwienił się cały.

— Choćby i ta, która więcej miała rozumu, niż wy i my wszyscy.

Stali wszyscy pomieszani; wtem dotąd milczący Ortlieb, wójt wybrany, grobowym głosem począł.

— Sprowadziliście do nas Opolczyka, — zwrócił się do wójta — nie dajcież mu uchodzić, nie pozwólcie nas opuścić. Dopóki on tu, myśmy bezpieczni; uchowaj Boże, wyjdzie stąd — niema innej rady, zabierajmy, co kto ma, na wozy i ciągnijmy z nim do Opola, czy Świdnicy. Tu nie mamy co robić.

— Pewnie najlepsza rada — potwierdził Tylman — niema innej! Pójdziemy z nim, ale z torbami żebrać, — nie zabierzemy domów i dworzyszcz z sobą!

— Jeśli wy co straciecie, — ofuknął go wójt — ja pono więcej, niż wszyscy!

— Miasto więcej znaczy, niż wójt i jego mienie! — krzyknął Keczer. — Wójtowie się znajdują zawsze, byle miasto było. Byłyby tu wnuki i prawnuki nasze żyły i żywiły się — a teraz! Przypomnijcie, czem my te nasze prawa i przywileje zdobyli? Leszkowej Gryfiny i zamku broniąc! Teraz tracimy je za zdradę!

— Nikogośmy nie zdradzili! — wybuchnął Albert. — Przyszedł Opolczyk, nie mogliśmy wojować z nim, musieliśmy wrota otwierać.



— A kto Opoleczyka sprowadził? Kto po niego jeździł? Kto mu pokazał drogę? — począł zboku stojący Keczer.

— Popytajcie, co nas ten nowy pan kosztuje! — jak nas ssie! — wołał Paweł.

Gwar rósł, bo za przykładem śmielszego Kecza i inni poczynali mówić odważnie.

Wójt naradzał się z Hermanem z Raciborza, który przytomniejszy i zuchwalszy był od niego.

Po cichej naradzie Albert zwrócił się ku radnym.

— Jestem tu jeszcze wójtem — zawołał — Rady waszej pytałem, a wyście mi wyrzucali głupie odpowiedzi. Dość tego! Słuchajcie rozkazania mego i ks. biskupa... który rozumu ma więcej od nas. Czeladź uzbrajać, zbierać! — zrobić zaraz popis zbroi i ludzi! Kuszników dadzą Ślązacy. Na zamek całą siłą musimy iść!

Spojrzał na słuchających, którzy się nie poruszali. Herman z Raciborza dodał:

— Niech się starsi zbiorą, rozkaz dać na miasto. Wszystką czeladź pozbierać, jest tej gawiedzi dosyć.

— I sklepy, ławki, kramy, warsztaty pozamykać — dodał, szydząc, Paweł z Brzega. — Chleba nie piec, mięsa nie bić, niech Ślązacy głodni po dworach plondrują...

— Słyszycie rozkazanie! — wielkim głosem powtórzył wójt. — Tak ma być, jakom rzekł!

I dodał szybko:

— Ludzi trochę dadzą Ślązacy, biskup też swoich wyśle. Jutro na zamek! Muskata ma swoich stróżów przy kościołach i klechów na zamku — ci pomogą.

Nikt nie okazał po sobie gotowości do spełnienia przykazania tego, tylko Keczer śmiało naprzód wystąpił.

— Czyja wola — rzekł — niechaj czeladź daje; a ja nie puszcze, nie dam i jednego pacholka nie poślę. To ostatnia zguba!

— Ja też! — odezwał się Paweł z Brzega.

Drudzy sobie w oczy patrzyli, ale bali się protestować.

— Nas dwu, mała rzecz — dodał Keczer, — ale gdy się mieszczanie rozmyślą, znajdzie się nas więcej — ludzi nie damy!

— To głowy dacie! — ryknął wójt, wściekle ręką bijąc o stół. — Nim Łoktek wasz przyjdzie, pościnać każe buntowników!

— Próbuje! — odparł Keczer i zwrócił się wolnym krokiem ku drzwiom. Paweł, nie mówiąc słowa, wychodził za nim.

Nie tamowano im drogi — wyszli. W izbie radnej zrobiło się cicho.

Wójt, wargi do krwi gryząc, zwrócił się do Hermana.

— Każcie ludzi zbierać i zbroje gotować!

To rzekłszy, za czapkę pochwycił i groźno powiódłszy oczyma po radnych i wójtach, wysunął się krokiem ociężałym, niepewnym. Herman z Raciborza wnet za nim podążył. Ci, co pozostali, spoglądali na siebie, badając się wzajemnie.

— Próżne to wysiłki — rzekł Oatlieb. — Biskup nam niewiele pomoże, bo tam mała garstka kleszych sług, co ampułki zdalniejsi nosić, niż miecze. Nasza czeladź w szynku bije się dobrze, ale na wały iść i do bram szturmować!

Rozśmiał się gorzko. Tylman rzekł ponuro:

— Wójt bo głowę postradał! Darmobyśmy rozkazy dawali, aby się jeno zbłąźnić!

Zwątpienie ogarnęło wszystkich; wzdychając, rozchodząc się poczęli.

Albert wracał do swojego domu, w którym teraz gościem był, nie panem. Małą ciemną izdebkę zajmował na dole, gdzie droższy sprzęt swój zgarnął. Na zydlu tu czasem drzemał, bo mu rzadko zasnąć dawano.

Ledwie wszedł, gdy pacholę strojne wbiegło od ks. opolskiego, wołając go, jak sługę:

— Do pana!

— Czując, na co zszedł, wójt dzikiem odpowiedział

wejrzeniem, lecz musiał być posłusznym. Wstał zaraz i na schodki wstępować zaczął.

Ks. Bolesław, któremu pobyt w Krakowie dojadł już srodze, bo się tu nie czuł panem — siedział, nudząc się z kilku Ślązakami, w izbie. Stali niektórzy, inni zdala poprzysiadali na ławach. Wszyscy byli powarzeni. Książę trzymał w ręku zrzynek pergaminowy. Domyślając się wójta po chodzie, podniósł głowę.

— Przecież temu kiedyś koniec być musi — odezwał się głosem głuchym. — Wyście nas tu ściągnęli — mówcież... co dalej? Obiecywaliście mi złote góry! Ziemianie mnie nie chcą — czekam na nich napróżno. Sandomierzanie tamtemu się poddali, Sandecz ma w ręku! Gdzież te wasze obiecanki, że go wszyscy mieli porzucić?

W miarę jak mówił, głos księcia rósł, gniew się zwiększał. Siedział pochylony, zaczął się prostować, nadymać, wreszcie powstał i, opierając się oburącz na stole, oczy wlepiając w wójta, ciągnął dalej:

— Sądzicie, że to wam ujdzie bezkarnie? Ziemi nie posiadam, miasto — co mi znaczy to liche miasto wasze i garść handlarzy?

— Com miał, tom oddał miłości waszej — odparł wójt ze stłumionym gniewem. — Obiecywali mi, obiecywałem ja. Mnie zdradzili. Przecież Sandomierz mieliście w rękach, zamek, gdybyście byli kazali go zdobyć, byłby wasz, a za nim poszłaby ziemia.

— Jam nie wojować przyszedł — odezwał się książę — ale brać, co mi się samo oddać miało. Zawojowywać, gdybym chciał, potrafiłbym bez was. Przyszedłem odbierać, co mi należało i co mi gwałtem narzucano!

Albert stał, jak skazany winowajca, milcząc długo.

— Na jutro — rzekł — kazałem czeladź zbierać — i sam ją na zamek poprowadzę. Więcej nadto uczynić nie mogę.

Książę padł na swe siedzenie i sparł się na rękę. Wlepił oczy w wójta. Ślązak Lasota, który, choć Polak, już był całkiem zniemczał, a przy księciu urząd

znaczny zajmował, Alberta zaś niecierpiał — rzekł pogardliwym tonem:

— Obiecywał nam wiele, a tu się tylko ludzie marnują. Często im suchego chleba brak i wodę pić muszą. Szklanki piwa nie mają.

— To niech nie proszą o nie, — wybuchnął książę — niech ławki i komory odbijają i biorą sami. Cóż my głodem dla nich mrzeć będziemy?

— Dawno tak trzeba było czynić! — mruknął Lasota.

Drudzy na ławach zdala siedzący pocichu urągali.

Co się musiało dziać z dumnym człowiekiem, wystawionym na te wymówki i szyderstwa — nie mogącym się uniewinniać, lękającym się narazić — pojąć łatwo. Pot ciekł mu po skroni.

— O tem wy pewnie już wiecie, — zamruczał książę — że ziemianie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy i starszyzna ziem tych jutro mają przybyć do nas — ale nie poddając się, nie!

— Ja o tem nie wiem — jęknął wójt. — Daj Boże, aby przybyli. W. miłość słowy dobremi może ich sobie pozyskać.

— Ja! — krzyknął książę. — Ależ ja wiem od kogo i z czem jadą!

Wstał znowu książę, na wójta popatrzył, odwrócił się do Lasoty, i jakby mu odprawę dał, odezwał się do swoich:

— Na łowy nawet niema gdzie pojechać! Chyba z sobą cały pułk brać! Władysławowe oddziały całą okolicę zajmują. Wytknąć głowy za wrota nie mogę.

Wójt wyszedł pocichu. Ostatnia wiadomość jak piorunem go razila. Zapowiedziani ziemianie i rycerstwo przybywali od Łoktka.

Książę już oddawna nie okazywał ochoty utrzymywania się kosztem wojny przy Krakowie. Mógł miasto wydać na łup Łoktkowi.

Przerażony tem wójt, nie zachodząc do swej izby,

na miasto wybiegł, zawrócił się, konia chwycił dla pośpiechu i sam jeden do biskupa pokłusował.

Muskata lepiej od niego był uwiadomiony; na biskupim dworze trwoga panowała taka, jakby nieprzyjaciół już wkroczył do miasta.

Blady i drżący zaszedł mu drogę.

— Uchodźć muszę — zawołał głosem słabym — gdy mnie tu pochwycą, życia nie jestem pewny.

— Dokąd? — spytał Albert, który byłby go rad jako pośrednika zatrzymał. — Oddziały Łoktkowe po okolicach plondrują. Tu wam bezpieczniej — obronić możecie nas i siebie!

I wnet pomiarkowawszy się, wójt się poprawił.

— Nic nam jeszcze nie grozi.

— Wszystko! — przerwał mu biskup zrozpaczony. — Wracam od księcia — on wojować nie chce, nie myśli. Na Śląsk powróci.

Wójt stał jak skamieniały.

— Ojcze! — odezwał się z boleścią — ojcze! choć wy nas nie opuszczajcie!

Muskata cofnął się na krok.

— Ja nie mam siły, — rzekł zimno — nie mogę. Dajcie mi sposób ujścia stąd. Tu się straszne gotują rzeczy! Przeciwno mnie są wszyscy — jam bezsilny!

Niespokojny biskup zawrócił się nazad ku izbie, z której był wyszedł, powtarzając:

— Uchodźć... uchodźć muszę!

Zdejmował z siebie suknię rękami drżącymi, patrzył na sługi, szukając w nich pomocy, głosu mu brakło, oczy zachodziły łzami.

— Antychryst powraca! — mówił cicho. — Uchodźć...

Albert, pozostawszy sam, jak człowiek, któremu zabrakło myśli i środków ratowania się, upadł na ławę, zapomniawszy, gdzie się znajdował, nie myśląc nawet o własnem ocaleniu, zrozpaczony i odrętwiały.

## IX.

Wrót miasta strzegły straże, ze Ślązaków i pachotków miejskich złożone. Czuwać musiano u nich dobrze, znając Łoktka, który do zuchwałej napaści znie-nacka był łatwy. Smakowała mu ona. Ślązacy nie mieli ochoty ani się bronić w mieście, ani się w niem dać wziąć.

Nazajutrz rano dzień wstał pogodny i ciepły.

Strażom się niebardzo chciało siedzieć w miejscu przykutym — zabawiały się po izbach przy basztach, na miasto śląc po jadło i napitek. Kostery i włóczęgi wlokły się już na codzienną z ciurami zabawę — gdy na gościńcu ukazały się jadące wprost do miasta oddziały zbrojne.

Gromadki były okazałe, strojne i w pierwszej chwili, gdy się do dwu bram razem zbliżyły, Ślązacy, uląkłszy się, w trąby dawali znać, jak o napaści.

Żołnierz, rozproszony po mieście, oddawna ubezpieczony, zleniwiały — zerwał się spłoszony odgłosem trąby, wołającej na gwałt.

Rozruch powstał, jakby już nieprzyjaciół był w mieście. Od wrót, jak błyskawica, popłoch szedł do rynku. Kramy i ławki z krzykiem zamykać zaczęto, ludzie biegali bez tchu, nikt nie wiedział, co się stało. Strach był tem większy.

Od księcia oklep na koniach, bez nakrycia na głowach, bez zbroi — pędzili dworzanie ku wrotom.

W rynku wołano, iż Łoktek już stoi we wrotach. Tylko co we dzwony na gwałt nie uderzono.

Ks. Bolesław zbroję sobie podawać kazał, choć prawie pewien był, iż nadjechali ziemianie.

W ulicach wołano na żołnierzy i trąbiono; wypadali z szynków bezprzytomni, biegnąc po oręż, którego nie mieli przy sobie.

Tymczasem dwa oddziały, co się razem do dwójga bram zbliżyły, nie okazując żadnych nieprzyjacielskich usposobień, stanęły na strzał z kuszy przed wrotami i herold wyjechał, wołając, że rozmowy żądają.



Ludzie na straży poznali, iż Łoktkowy był, bo miał orła jego na piersiach.

Nie było się komu z nim rozmówić, póki Fuld i Lasota nie przybyli. Tym oświadczył spokojnie, iż ziemianie są krakowscy, z Sandomierza, Kujaw, Sieradza, a dopraszają się u księcia łaskawego ucha i rozmowy.

Ks. Bolesław już poniekąd był przygotowany. Rycerstwu odmówić do siebie przystępu nie mógł. Kazał tylko czeladzi za wrotami pozostać, a przybyłych ziemian wpuszczono.

Poczęli tedy wolnym krokiem wjeżdżać mężowie poważni, sędziwi, lat dojrzałych — wyznaczeni znać do stawienia się przed księciem, strojni, wytworni, na koniach pięknych.

Żaden królewski dwór nie powstydziliby się być tak pięknego orszaku. Przy każdym prawie jechało pacholę z tarczą, na której zawołania miały swe godła malowane, albo z kruszczu wysadzane.

Jechał przodem Żegota Toporczyk, rycerz mężny i sławny, wiodąc za sobą innych swego rodu, ludzi z obliczami pańskimi, wojowniczej postawy. Za nim postępowali Trepkowie, będący u ks. Władysława w zachowaniu wielkiem, za nimi Jaksa, Gryfy z Ratuldem, mężem wiekowym, ale jak dąb czerstwym i silnym, Jastrzębiec Mszczuj, podkomorzy krakowski, wiodący swoich, ile ich było w tej ziemi i z Mazowsza kilku. Jechał dalej Petrosław Lis ze Mstyczowa, a przy nim młody jeszcze Prandota z Koziegłów, Szreniawici krakowscy i sieradzcy, a między nimi Kmitowie. Dalej Nałęcze, choć w niewielkiej liczbie, bo z tych dużo za śmierć Przemysławową pokutowało i Abdanki i Pobóg, Przedbór z Koniecpola z Jakóbem sieradzkim. Bogorjów kilku, Ligęzowie z Bobrku, Brogi ze Skarzeszowa, Gozdawy, Strzemieńczycy z Zębocina, Nieczujowie sandomierscy, Role z Wielkopolski, Trzaski z Sieradzkiego, Radwany, Ślepowrony, Dąbrowy z Rostkowa, Wawrzętowie i mnoho innych, których szczytów wszystkich wyliczać trudno.

Nie mało też między nimi było duchownych, którym przód dawano, okazując uszanowanie.

Gdy wspaniały ten, długi pochód rozwijać się począł wśród ulic, Ślązacy, śląski żołnierz i potęga śląska tak jakoś przy nich zmaląła, iż ci przybywający, choć oręża nie dobyli, zdawali się tu panami prawymi, a wszystko reszta cudzem i naniesionem.

Mieszczanie, co z okien i drzwi napoły pootwieranych spoglądali, czuli w duszy, iż o jechali panowie a dziedzice tej ziemi, a z nimi szła sprawiedliwość.

Na twarzach jadących taki spokój panował, a oblicza mieli tak jasne, jakby nie wjeżdżali garścią prawie bezbronną w środek nieprzyjacielskiego obozu.

Milczeniem przyjmowało ich miasto. Niemcy się kryli, niewiasty przerażone płakały; zdało się niewiernym, iż jechało nie ziemianstwo, ale sam Łoktek, ów mały a straszny — a z nim dzień sądu.

Ciągnęli jakby naumyślnie powoli, konie wstrzymując, gwarząc pomiędzy sobą, śmiejąc się, pewni siebie. A że gdzie indziej miejsca nie było, by wszyscy razem zgromadzić się mogli, przeto na rynek przybywszy, tu się ustawiać zaczęli rodami, szczytami, ziemiami, zawołaniami, ze starszyzną na przedzie, która sędziwe stanowiła grono.

Na ratusz zbiegający się mieszczanie, gdy ich tak poważnie wciągających ujrzeni — struchleli od trwogi. Wójt, stojący w oknie, pobladł, zachwiał się i cofnął od niego.

Lasota do księcia biegł, oznajmując, iż ziemianie nań oczekiwali. Uprzedziwszy go, Fuld już dał był znać Ślązakowi o liczbie i powadze poselstwa tego.

Książę niepewnym się okazał, co pocznie. Widać było, że wszelką stracił otuchę. Kazał jednak podać sobie zbroję swoją turniejową, z orłem na piersi, szyszak złożony, miecz godowy, płaszcz książęcy, a dworowi przywdziać szaty i uzbrojenie odświętne.

Już miał na koń siadać, gdy nagle zawahał się i pozostał na wójtowym dworze.

— Niech z między siebie najprzedniejszych mów-

ców wybiorą — rzekł do Lasoty — i przyślą do mnie. Ze stu naraz mówić nie mogę. Wszak jedno myślą, gdy kupą jadą, — dość kilku do rozprawy.

Gdy poselstwo to na rynek przyniósł Lasota, starsi wyjechali na środek, rozmówili się z sobą, porozumieli i wybrali: Żegotę Topora, Trepkę, Maszczuja Jastrzębca, Petrosława ze Mstyczowa i Ligęzę. Młodszego Trepkę wyznaczono na oratora, któremu inni pomagać mieli.

Albert wójt, choć był w trwodze od rana po bezsennej nocy, czując, że i on pociągniętym być może, odział się jak na uroczyste posłuchanie, włożył łańcuch, miecz przypasał i z ratusza tyłami do swojego domu przyszedłszy, na dole czekał. W ulicach starał się nie być poznanym, bo zdrajcą go wszyscy wiedzieli, — obawiał się napaści.

Książę Bolesław stał we zbroi, szyszak w ręku trzymając, w postawie dumnej i pańskiej, więcej serca chcąc okazać, niż go może miał, — gdy weszli oratorowie.

Powitali go ukłonem niskim, z poszanowaniem, Piastowi należnem, choć tam już onej krwi starej, którą pochłonęła niemiecka, ani kropelka się nie odzywała w piersi zamkniętej.

Książę witał uprzejmie, acz po twarzy widać było, że się wielce frasował.

Wystąpił Trepka ze słowem:

— Przychodzimy tu do miłości waszej, od siebie i od prawego pana naszego, księcia Władysława, ziem tych ojczyce i dzieci — z pokłonem i prośbą. Wasza miłość zająłeś dzielnicę, która mu nie przynależy, ale księciu Władysławowi; chcesz ją sobie przywłaszczyć, co jego dostojęństwu i zacności nie przystoi. Wezwali waszą miłość płosi ludzi, ledwie odniedawna tu osadzeni, niemieccy mieszczenie krakowscy, których dobrodziejstwa obsypali Bolesław i Leszek, niewdzięczni a prawa tu niemający... Więc wojna stąd i rozlew niewinnej krwi chrześcijańskiej przyjść musi, bo pan nasz prawy, któremu my wierni jesteśmy wszyscy i wiary

dochowamy, jako całe życie praw swych bronił i nieustraszony był, tak się też nie da strwożyć i bez walki odegnąć.

— Miłościwy panie — dodał stary Żegota. — Pomyślcie sami, co byście czynili, gdyby wam po przodkach odziedziczoną dzielnicę waszą wydrzeć chciano? Bronilibyście ojcowizny do ostatniej kropli krwi. — Tak też pan nasz będzie jej strzegł i walczył za nią.

— A że zdolnym jest obronić się — rzekł Mszczuj Jastrzębiec, — w. miłość to wiesz, boś z nim walczył.

Na wspomnienie o swej niewoli młodzieńczej książę Bolesław zarumienił się, a Jastrzębca nieopatrzniego gorączkę (jak oni wszyscy rodem byli), że się wyrwał ze słowem gorzkiem, wnet drudzy odciągnęli, mówić mu już nie dając.

Bolesław czerwienił się i bladł.

— Jam ci tu nie przyszedł po samowoli — odezwał się. — Ciągniono mnie i wciągnięto, zapewniając, że ziemie wszystkie chcą tego. Jeżeli kto winien, to mieszczenie krakowscy i wójt ich, bo ten mi ręczył, że z wolą wszystkich przybywał po mnie... Nie łakomy jestem cudzego, ale nie godziło mi się odrzucać, co samo się oddawało. A przecież ziemiaństwo krakowskie nie jeden raz panów sobie wybierało i zmieniało!

— Ale Niemcy mieszczenie nam ich nie narzucali! — odezwał się Żegota. — Oni tu przybysze, my — ojczyce.

— Proszono mnie, kłaniano się, domagano — odezwał się Opolczyk. — Ściągnąłem wojsko, niemało miałem straty, a teraz chcecie, abym ustąpił sromotnie?

— Miłościwy książę! — mówił Trepka. — Ustąpić nie będzie sromotą, ale czynem szlachetnym i pocztwym. Waszą miłość ludzie niegodziwi uwiedli i w tę matnię wprowadzili... Wina i srom pada na zdrajców. Waszej miłości zostaje cześć i sława, żeś sprawiedliwym być umiał!

Wyrazy te pochlebily księciu; skłonił głowę, dziękując za nie.

— Nie jestem żadny ani ziemi, ni panowania — dodał, ale sławy swej strzec muszę i będę, a uszczerbić jej nie dam.

— Nie póniesie ona szwanku żadnego — odezwał się stary Toporczyk, — owszem, nowym okryje blaskiem.

— Wojna jest sprawą nieobrachowaną i niepewną — dorzucił Jaksa Ratuld, — komu Bóg w niej poszczęści, niewiadomo. Ziemian nas wszystkich, ile jest Krakowian, Sandomierzan, Sieradzan, pan nasz mieć będzie z sobą. Mimo wieku — krzepki jest, niezmordowany, nigdy w życiu żadnej się walki nie ułękł. Zechceszli w. miłość wojować... z mieszczan pomoc niewielka, a swojego rycerstwa stracić można wiele. Książę Władysław na Kraków ciągnie, aby swój gród, żonę i dzieci odzyskał — ale przelewu krwi nie pragnie i posyła nas ze słowem pokoju.

Stał, walcząc z sobą, książę Bolesław, patrząc w ziemię, ramionami potrząsając; zbroja zdradzała oddech pośpieszny i wewnętrzzną walkę wielką. Wszyscy milczeli, patrząc nań.

Wystąpił opat miechowski, od którego wójta brat, Henryk, majątności trzymał dzierżawą; ten, lękając się o swe mienie, Łoktkowi chciał służyć i odezwał się też, księcia nakłaniając do zgody i pokoju.

Książę przekonany już był i szło mu więcej o sposób, jakim się miał wycofać, niż o sprawę samą, bo ją miał za straconą.

— Widzicie sami — odezwał się, — iż ja uwiedziony zostałem i tak, jak wasz pan, zdradzony, oszukany. Wojny się nie lękam, ale też jej nie pragnę; zawojowywać nie chciałem, zamkum nie brał, choćbym mógł... Szedłem, bo mnie wołano — za cóż mam pokutować?...

— Niech winni a' zdrójcy pokutują, nie miłość wasza — rzekł Jastrzębiec, — przedewszystkiem wójt, który jest wszystkiemu przyczyną. Ten gardło winien dać.

Książę nic na to nie odpowiedział. Chwilę myślał i odezwał się, ociągając:

— Powiedzcie ks. Władysławowi, jak was przyjąłem, zanieście mu i tę odpowiedź ode mnie, że jego ziemi zawojowywać nie miałem zamiaru. Dawano mi ją — zawierzyłem ludziom złym. To cała wina moja!

— Miłościwy panie! — przerwał opat gorąco — niema tu winy żadnej. Nie ten winien, kto zawierza, ale kto zawodzi.

Książę Bolesław weselej patrzył, zawiązała się rozmowa poufalsza. Przystąpił stary Żegota, za nim inni, okazując mu uszanowanie, ochraniając cześć jego, wychwalając miłość pokoju. Wszyscy też radzi byli, że się sprawa daleko lepiej kończyła, niż się spodziewali. Lica się rozjaśniły.

Żegota i Ratuld, mający do tego od księcia upoważnienie, na stronie pocichu umowę z księciem Bolesławem dokonywali, o której warunkach głośno nie mówiono.

Do czego się zobowiązywali w imieniu Łoktka, nie wiedział nikt, ale całe zgromadzenie ziemian porękę dawało, że co przyrzeczono, dotrzymanem będzie.

Gdy na górze się losy nie tylko stolicy tej, ale wszystkich ziem rozstrzygały spokojnie, wójt Albert stał sam, opuszczony od wszystkich, w sumieniu niespokojny, wiedząc, że się przebaczenia spodziewać nie może ani od księcia Bolesława, którego o ciężki zawód przyprawił, ani od Łoktka, zdradzonego. Myślał tylko jak ująć, życie i mienie ocalając.

W izbie swej przyciemnionej rzucał się chodząc, odzież szarpiąc na sobie i jęcząc z bólu. Czasami stawał i słuchał głosów, które go przez drzwi napół otwarte dochodziły z góry, starając się odgadnąć, co postanowi Ślęzak, z czem odejdą posłowie...

— Sromać się będzie precz iść i ustąpić! — mówił w duchu, — książęciem jest, nie da się wygnać ze wstydem... Będzie musiał wojnę prowadzić! a czasu wojny i my, i Kraków mu potrzebny!

Mówił tak, ale sam nie wierzył w taki obrót sprawy i trwoga przychodziła a zwątpienie.



W tej męczarni a niepewności długimi mu się godziny w izbie spędzone wydały, lecz im bardziej przeciągało się posłuchanie, tem więcej wmawiał w siebie, że wojna jest nieunikniona.

Tak naprzemiany rozpaczając i nabierając otuchy, Albert wkońcu zabierał się wychodzić, aby o losie swym rychlej się dowiedzieć, zamyślając, gdyby Bolesław wyszedł, uciekać do Czech, do Boskowiczów, układając tylko środki uratowania nagromadzonego grosza, gdy na górze dała się słyszeć wrzawa jakaś, suwanie nogami, wykrzyki głośniejsze, jakby goście żegnali się z księciem...

Wprędce potem zaczęli posłowie ze wschodów się spuszczać, cisnąć się, stąpając silnie i rozmawiając głośno...

Z pierwszych wyrazów, jakie go doszły, nie mógł się omylić; odzywała się radość i zwycięstwo!...

Albert zakrył oczy dłońmi.

Nim przyszedł do siebie, drzwi, u których stał, rozwarły się nagle z trzaskiem. Fuld wpadł z trzema pacholkami uzbrojonymi.

Dowódca, który wczoraj z wójtem był jeszcze dosyć przyjacielskim, ukazał się wcale innym człowiekiem. Wchodził z brwią ściągniętą, wąsa muskając.

— Książę rozkazał mi was ująć i do więzienia wtrącić — rzekł sucho.

Wyrok ten, po wszystkiem, co doznał przed chwilą, przyjął Albert prawie obojętnie. Fuld, nie myśląc się wdawać w rozmowę, skinął na ludzi, a sam się do drzwi zawrócił. Wójt rzucił się na zydel i sparł o ścianę. Zbrojni stróże stanęli przy nim.

Posłowie powracali do swoich na rynek. Gdy wychodzili z domu wójta, we drzwiach ciżba ogromna ludu czekała na nich ciekawa, wypatrując, co niosą...

Śmielsi rzucali pytania, ale nikt się nie wdał w rozmowę. Twarze wypogodzone, oczy wesołe za odpowiedź służyły.

Gawiedź, popatrzwszy, rozpraszać się zaczęła po mieście.

Tymczasem do stojących w rynku, szczególnie Krakowian, garnęli się i przysuwali dawniej znajomi mieszczanie. Zawiazały się rozmowy, narzekano pociachu — ziemianie milczący byli.

Powracający od księcia do swoich głośno z niczem się nie wypowiedzieli; dawano sobie znaki nieme, szeptano cicho.

Wkrótce rozległo się hasło.

— Na konie! na konie!

— Żegota, nie zsiadłszy nawet ze swojego, przodem już jechał ku wrotom, drudzy śpieszyli za nim...

Miasto, jak rażone strasznym ciosem, martwe stało... Niemcy czuli, że nadchodziła zła godzina. Biegli do domów swoich z rozpaczliwemi ruchy, ręce łamiąc, niewiasty jęczały i zawodziły. Nie wiadano nic, ale przecucie straszne trwożyło.

W ratuszu dwaj wójtowie chodzili po izbie radnej sami, bo Herman z Raciborza, zobaczywszy powracających posłów, wybiegł na zwiady. Na wschodach spotkał pisarza Gotfryda, zbladłego, trzęsącego się, który wyjąknął:

— Alberta pod straż wzięto!

Jak piorunem raził go tem słowem.

Wójt pod strażą, uwięziony, był to wyrok na miasto. Oddawano więc je na łup i pomstę Łoktkowi.

Prawie w tejże chwili dało się słyszeć w ulicach trąbienie. Ślężacy się zwoływali. Konni posłańcy od księcia zaczęli w cwał pędzić po zaułkach i kątach, krzycząc i wyciągając ludzi, jakby nieprzyjaciela mieli na karku.

Miasto przedstawiało obraz dziwny. Od dni kilku panowała w niem jakaś trwoga, rozdwojenie, niepewność jutra... Teraz, jak na dane hasło, co żyło, poruszało się, śpieszyło, usiłując ratować, a nie wiedząc, gdzie szukać ratunku. Ślężacy zbierali się kupami i przeczuwając rychły odwrót, chwyтали, co napadli pod ręką, mieszczanie bronili swej własności, tłumiono zbytnią wrzawę, aby nie wywołać gwałtów i rabunku. Kto mógł, zamykał się w domu, bojaźliwsi chwyтали

kosztowności i pieniądze, szukając kątów, w którychby je ukryć mogli. Sąsiedzi biegli do bliższych dowiadywać się, radzić, obmyślać wspólną jakąś ochronę...

Wieść o uwięzieniu Alberta obiegała już miasto, z przyjaciół jego nikt pewnym bezpieczeństwem nie był. Wszyscy uchodzić chcieli, ale okolica zalana była oddziałami Łoktka. Ślężacy też rozbijali po drogach, łotrzyków pełno było wszędzie. Nie wiedzieć, gdzie skryć się i co z sobą począć było!

Wśród głuchego gwaru, niekiedy rozległ się trzask gwałtownie zamykanych wrót, zapadających wrzędiadźwów. W dziedzińcach roilo się wystraszonymi. Niektórzy wybiegli do klasztorów i kościołów, dla siebie lub mienia swego szukając schówki i opieki.

Z jednej strony, co trzymało z wójtem, Hermanem z Raciborza, i zausznikami jego, cisnęło się do kamienicy w rynku, aby tam radzić o sobie. Przeklinano Opolczyka, łajano Alberta, że nie przewidział wcześniej tak strasznego końca.

Drudzy, Paweł z Brzega, Hincza Keczer, wszyscy przeciwnicy Alberta, głośno się odzywali, że miasto o sobie radzić musi, bronić życia i majątku.

Hincza wołał:

— Radcy nie radcy, wszyscy, kto ma głowę do ocalenia, na ratusz... Trzeba myśleć o sobie; gdy rozjątrzony pan tu wnijdzie, nie czas będzie się tłumaczyć! Na ratusz!

W ratuszu pacholkiowie nie wiedzieli kogo słuchać, ale Hincza i Paweł tak stanowczo podnieśli głos rozkazujący, iż się im sprzeciwiać nie śmiano.

Wyprawiono gońców po tych, co z wójtem nie trzymali. Powołani znaleźli się łatwo, czuli wszyscy nadchodzącą sądną godzinę.

Od Ślżaków wiadano już, że otrąbiono zbieranie się nazajutrz i wyciąganie z miasta, które samo sobie oddane być miało na mściwą prawicę Łoktka.

Pawłowi, który wobec niebezpieczeństwa całą swą żywość odzyskał, przyszło na myśl Marcikiem się po-

służyć. Trudność była wywabić go na miasto, dopóki w niem Ślązak gościł.

Na ratuszu znaleźli się wystraszeni: Hincza Keczer, Niklas z Zawichosta, Pecold z Rożnowa i inni. Gdy tych idących do radnej izby z okna domu swojego w rynku zobaczył Herman z Raciborza, niepokojem tknięty, wyrwał się także do nich.

Ledwie się w progu ukazał, gdy Paweł zakrzyczał:

— A wy tu poco? Z kimeście trzymali, do tego idźcie! Dla was tu miejsca niema!

Herman wstrząsnął się z gniewu; chciał się kłócić, lecz wszyscy odstąpili od niego, jak od zapowietrzonego, i od progu musiał nazad iść, przeklinając i grożąc.

— Mamy ginąć — zakrzyczał, rękę podnosząc, — niechże wszyscy giną, niech ginie miasto całe... Podpalimy go na cztery rogi!

Idący właśnie na górę Hanusz z Muchowa, spokojny człek, usłyszawszy to, zatrzymał go i zawołał donośnie:

— Słuchaj, ty! Niech tylko iskierka błysnie, a ja cię sam przyciągnę i dam obwiesić pod ratuszem... Tak mi Bóg zdrowie daj!

W izbie radnej wrzało narzekaniami.

— Jęczeć i kłać babska rzecz — zaryczał ogromnym głosem Hincza Keczer, — radźmy!

— Gdyby rada jaka była! — przerwał Piotr Moryc.

— Jest rada jedna, że choć się wszystkich nie ocali, niektórym przynajmniej lby na karkach zostaną — odezwał się Paweł z Brzega. — Ślązacy jutro wycho-dzą, my musimy jechać do księcia Władysława, aby mu pokazać, żeśmy nie wszyscy z Albertem trzymali, a prosić i błagać, aby był łaskaw.

— Tak — odezwał się Hincza z Dorneburga. — A on pierwszych, którzy mu się przed oczy nawiną, w gorącości, powiesić każe! Ja go znam! U niego zowie się, że całe miasto winno... Nie przebaczy nikomu! Zemsta będzie okrutna. Ten, co nas zgubił, pójdzie na Śląsk uwięziony i głowa mu się ostoi na karku, z nas żaden niepewien swojej.

— Nie może to być — przerwał Keczer. — Dużo padnie ofiarą, miasta przecież z ziemią nie zrówna, bo mu ono potrzebne!

— Ale Niemców wszystkich przegna precz!

— Nadto nas jest! Pustki by zostały.

Spierali się z sobą. Paweł obstawał przy swoim, aby do księcia ślać posłów i dodawał pocichu, że się spodziewa znaleźć pośrednika, który rozgniewanego Łoktka ułagodzić może.

Zgody na to nie było jeszcze, gdy Fuld, dowódca Ślżaków, wpadł na ratusz, nie tak jak dawniej, gdy tu przychodził na przyjacielską biesiadę, ale jak napastnik.

Za nim parła się gromada Ślżaków.

— Kto tu z was starszy teraz? — zapytał.

— Niema tu starszego, bo wójta trzymacie pod strażą — rzekł Paweł.

— Jest przecie dwóch wójtów jeszcze...

— Tu ich niema!

Hanusz z Muchowa, poważny człek, wystąpił nieco.

— Czego chcecie? — spytał.

— Oplacić nas musicie — zawołał Fuld. — Nie braliśmy żołdu. Książę go nam nie da... Musimy z miasta wziąć. To jego wola.

Spojrzeli wszyscy po sobie.

— My skarbcem nie rozporządzamy.

— Kluczy nie mamy — rzekł drugi.

— Dawno w skrzyniach pustki — dodał trzeci.

Ślżacy cisnęli na Hanusza.

— Skarbiec? gdzie skarbiec?

— Gdzie chowacie skarby?

Nikt nie odpowiadał.

Wtem jeden z zuchwalszych Ślżaków pochwycił za gardło najbliższego stojącego mieszczanina, a za jego przykładem drudzy porwali się do innych. Uchodzili spłoszeni ku drzwiom, ale tu mocna straż stała, odpychając berdyśzami.

Krzyk powstał i wołanie na gwałt, aż jeden duszony powiedział, gdzie jest skarbiec miejski.

W drugiej izbie skrzynia była żelazna, kowana, wielka, do ściany sztabami w mur wpuszczonemi przytwierdzona. Kluczków od niej nie miał nikt, a było ich trzy różnych.

Fuld natychmiast kazał odbijać zamki. Toporów kilka, jakby naumyślnie tam porzuconych, stało przy ścianie, porwali je Ślązacy.

Mieszczanie z obojętną jakąś rezygnacją patrzali na to łupiestwo, nikt nie bronił.

Ze skrzynią, która niemal cała była jak zbroją żelazem opancerzona, trudniej szło, niż się zdało zrazu. Topory żelaza nie brały, a drzewa na wierzchu tak jak nie widać nie było.

Chciwe żołdactwo rzuciło się do skarbcza z taką siłą, że wkońcu zamki prysnęły, wieko pękło, poczęli miotać zeń drzazgi i dostali się do wnętrza.

Wewnątrz skrzynia była podzielona na dwoje. W jednej części leżały pergaminy z pieczęciami przywiesistemi, w drugiej na dnie tułało się trochę praskich groszy szerokich.

Ślązacy ze złością poczęli pergaminy miotać i szarpać, mieczami je ciąć, na podłogę ciskać, nogami deptać. Drudzy rzucili się do srebra i garściami je rwali, tak, że Fuld musiał obuchem po łbach tłuc, aby zmusić do odstąpienia.

Niewiele się tu pożywili, ale miasto miało puhary, bechery, rostruchany, misy srebrne, które też w skarbcu leżały; te wszystkie padły ofiarą. Było kilka łańcuchów złotych i pozłocistych, które mieszczanie dali do schowania, zabrano i te, nie pytając, czyje były. Wkońcu drewniane dno skrzyni pokazało się przysnute pyłem i okryte sukna kawałami.

Z łupem swym, wietrząc jeszcze po kątach, chwytając co lepsze było i zdadne dla nich, Ślązacy, jak trzoda głodnych stworzeń — obrzemienieni nazad się zaczęli z ratusza wynosić.



Niemi i zrozpaczeni stali mieszczanie.

— Sądny dzień! sądny dzień! — powtarzał Hanusz z Muchowa. — Za grzechy pokarał nas Bóg. Ale to początek dopiero.

Ze spuszczonei głowy stali tak długo, aż Hincza Keczer, zobaczywszy poszarpane pergaminy, podarte księgi, połamane pieczęcie, pierwszy począł je z podłogi podnosić z poszanowaniem i w milczeniu smutnem nazad je do pustej składać skrzyni.

— Pozostało nam choć świadectwo, żeśmy ongi przywileje i prawa mieli — rzekł smutnie. — Przepadną one teraz wszystkie i my z niemi!

Jęczeli wszyscy.

Wieczór nadchodził. Nikt nie myślał o zaprowadzeniu ładu i bezpieczeństwa w mieście. Veit zniknął, wiertelnicy się rozproszyli i pochowali. Wójtów nie było, władzy i rządów nie było... Ślężacy plondrowali. Kto czeladź miał, uzbroiwszy ją, trzymał we wrotach ku obronie, aby napaść odeprzeć.

Széluta i inni browary zawczasu pozamykali, ale żołnierze zawczasu poodbijali wrota. Beczki wytoczono i pito nie płacąc...

Na zamku, dokąd Musza już dał znać o wszystkim, radość panowała wielka; Marcik czekał tylko, by Ślężacy wyciągnęli.

Nocą Muskata w szarej oponczy, przebrany chciał się z miasta wydobyć, ale mu dano znać, że oddziały Łoktka wpobliżu się włóczą. Musiał powrócić, a nad ranem, pieszo, przemknąwszy się do dominikanów, znikł w ich klasztorze.

Ledwie na brzask się brało, gdy Ślężacy cicho, choraławie pozwijawszy, z miasta się wysuwać poczęli, a za nimi wozy ładowne i konie poobjuczane. Księcia Bolesława wschodzące słońce już tu nie zastało. Najlicniejszy oddział wyciągnął Florjańską bramą, prowadząc z sobą pod silną strażą uwięzionego wójta Alberta.

## X.

Słowiki śpiewały w wierzbach i zaroślach na Powiślu, po miejskich ogrodach i po gajach, nie wiedząc i nie troszcząc się o to, że jęki i narzekania wtórowały im w grodzie całym. Ranek wschodził wesół, wiosenny, okryty rosą, zielony.

Marcik stał na wałach, trzymając się w boki, a serce mu biło żywo. Czekał tylko na to, by mógł bramy otworzyć bezpiecznie, a ludzi wygłodzonych i znękanych puścić, aby się na Okolu przewietrzyli. Mieli mu dać znać, gdy ostatni Ślżak będzie za bramami.

Tymczasem Paweł z Brzega sam, nie czekając na innych, śpieszył na zamek, pot ocierając, bo mu przy jego tuszy i to ranne ciepło już było ciężkiem do zniesienia.

Marcik, postrzegłszy go zdala — poznał uradowany, nim on go zobaczył.

— Oho! Idzie koza do woza! — rzekł, śmiejąc się, do Pawła, — jak w dym do mnie!

Po wałach pobiegł przeciw niemu, wołając:

— Paweł bywaj! Co u was słychać?

— Trupami, trupami u nas czuć! — westchnął, rękę ku niemu wyciągając, mieszczanin. — Marciku, stary druhu! ratuj!

— Ja — rozśmiał się Suła, — albo to w mocy mojej ratować tych, co pana zdradzili? Ja mizerny człeczyna, miałbym się naco przydać?

— Każno mnie wpuścić furta, na rany Chrystusowe — począł Paweł, — w mieście nikogo niema. Musimy pomówić z sobą.

We wrotach ludzie wpogotowiu już stali, rychło-li otwierać każą, gdy Paweł zapukał. Puszczono go zaraz. Łzy miał na oczach rzeźnik i razem je z potem ocierał.

— Marciku! przyjacielu! Byłeś nam druhem — bądź nam obrońcą! Ratuj miasto! — jęczeć począł.

— Pana Boga proście, nie mnie — rzekł smutnie Suła, — On chyba jeden ratować was może. Nie wiem,

czy gdyby sam święty Stanisław, z grobu wystąpiwszy, rzekł panu naszemu: Przebacz im — nie wiem, czy jegoby posłuchał. Ci, co go widzieli i słyszeli, powiadają, że nigdy w życiu tak gniewnym nie był, jak dziś. Poprzysiągł, że zdrajcom nie pofolguje.

Paweł, oczy sobie zakrywwszy, zajączał. — Milczeli. Marcik patrzył wdał.

— Słuchaj, Suła — odezwał się rzeźnik. — Czy my co potrafimy, czy nie, to Bóg wie, ale próbować potrzeba. My, cośmy z wójtem nie trzymali, — bo za nami to poświadczyć możecie, — chcemy z błaganiem jechać przeciw niemu. Jedź ty z nami!

Marcik się strząśł.

— Dajcie mi pokój, ani mogę, ani chcę! On, jak jest teraz w gniewie, mnieby razem z wami gotów dać obwiesić...

Przerwał i spytał żywo:

— A z wójtem co się stało?

— Uwięził go Bolesław i zabrał z sobą. Będą go trzymali w lochu, ale głowę ocali i wykupi się może: nie on, to brat znajdzie na to. My choćbyśmy uchodzić chcieli, nie mamy dokąd. Domy — ludzie — żony — dzieci... zajączał.. Suła! człowiecze, coś serce miał, jedź z nami... Miasto ci się...

Nie dokończył, gdy Marcik mu przerwał:

— Co? Miasto mi zapłaci? — wy mnie kupować myślicie?

Fartuchem twarz ocierając i wzdychając, jak miechy, Paweł słowa nie znalazł na uniewinnienie.

— Marciku — zawołał, — miałem cię za druha! Chleba i soli z sobą zjedliśmy dużo, a teraz, gdy burza nadchodzi, ty...

— Tak ci jest — przerwał Marcik, — jadłem chleb i sól waszą, ale mi one żółcią były zaprawne. Jedyne rzecz, której od was pragnąłem, ta niepoczciwa Greta, drwiła ze mnie, popychała, wodziła nadaremnie... Życie dla niej zmarnowałem.

— A cóż ja na to mogę! — westchnął Paweł. — Wiecie, wyjechała znowu do Wrocławia... tam pewnie

gachów ma i jak mnie, jak was, tak ich wodzi. Co wam po niej?

— Co po niej? — odezwał się Marcik gorąco. — Dajcie mi ją tylko, a ja sobie z nią poradzę.

— Jakże ja ci ją mam dać, kiedy jej niema — odparł tęsknie Paweł, — a gdyby i była, ona ze mną, jak z wami, robi, co chce.

Zamyślił się rzeźnik, oczy w ziemię utopił i podnosząc je z wolna na Marcika, odezwał się cicho:

— Wiecie co? hm! wiecie co? Ja ją znam. Jak się tylko dowie, że wójta nie stało, powróci pewnie do Krakowa. Ja, prawdę rzekłszy, jestem jej opiekunem, choć nie wiem, kto nad kim z nas ma opiekę — klnę się na Boga, wezmę się do niej ostro... zmuszę — uproszę, weźmiesz ją. Będziesz ją miał.

Marcik, posłyszawszy to, cały rozradowany skoczył go ściskać.

— Przysiąż — zawołał.

— Gotowem — ale pojedziesz z nami do księcia?

— Kat bierz! pojedę! — krzyknął Marcik, — ale Greta moja.

Paweł głową kiwnął — czynił ofiarę niemałą, bo — bo miał może nadzieję, że sam ją weźmie.

— Stójże tu — mówił śpiesznie Marcik. — Biegnę do kasztelana Pakosława opowiedzieć mu się. Pomogę wam, ile zmożę. Bóg jeden wie! Ale Gretę choćby przyszło gwałtem brać — pomożecie mi?

— Bierz, bierz! — zamruczał Paweł — choć stanie ci ona kością w gardle.

— Gardła ja swego dopilnuję — rzekł Marcik wesoło — byłem ją miał.

Okolo południa gromadka, z kilkunastu koni złożona, z Marcikiem Sułą na przedzie, z miasta wyciągnęła. Miano języka o księciu, że już w drodze do Krakowa był, bo Trepka wprost doń jechał, oznajmując, że miasto otworem stoi.

Trzeba było tylko Ślązaków przepuścić, nie spotykając się z nimi — bo gdyby się zetknęły dwa wojska,

Łoktek za swoich nie ręczył, — do utarczki przyjść mogło.

Z Marcikiem jechali do księcia: Paweł Hanusz z Muchowa, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichosta i Amylej z Muchowa. Czeladzi z sobą wiele nie brali; chędogo lecz ubogo; od miasta w żałobie wybrali się posłowie.

W drodze ledwo kto przemówił słowo; patrzali z trwogą przed się, a u każdego krzyża żegnali się i wzdychali, czapki zdejmowali pokornie, Pana Boga prosząc, aby cało powrócili.

Marcik nic nie obiecywał, za nic nie ręczył, tylko za to, że pana będzie się starał złagodzić — i za dobrymi ludźmi wstawić się gorąco.

Paweł coraz to w drodze mu do ucha podszeptował. — Ja w tem — Greta twoja!

Śmieszna to, dzika była miłość człowieka tego dla płochej niewiasty. Kochał ją lat kilkanaście, a im gorzej mu z nią szło, tem się więcej upierał. Było z nią, jak z zamkiem obleżonym, który, gdy się żołnierzowi mocniej broni — tem on zajadlej doń szturmuje. Teraz już pewnym będąc, że ją mieć będzie, choć po niewoli — roił sobie szczęśliwość taką, jakby posiadał królestwo.

Po drodze mieszczanie pilno się starali dostać języka o Łoktku, aby niespodzianie się z nim nie spotkali.

Ci, których pytali, opowiadali różnie, jedni, że jeszcze w Sandomierzu był, drudzy, że w Wiślicy, inni, że w Sączu. Nikt na pewno nie wiedział, gdzie się obracał. Książę obyczaj taki miał, że o sobie umyślnie fałszywe puszczał wieści, a najczęściej się tam znalazł, gdzie go się wcale nie spodziewano.

Paweł włosy sobie rwał na głowie, bo mogło się to stać, że gdy oni przeciwko niemu jechali, on tymczasem na Kraków wpaść mógł i miasto zburzyć.

Dnia trzeciego około południa, gdy zostawszy trochę w lesie, aby burza przeciągnęła, dalej ruszali nie-dobrze wiedząc, kędy ciągnąć, Jurga, który przodem

pobiegł za językiem, nadskoczył, wołając, że o pół mili księżę obozem leży.

Mieszczanie, choć do niego jechali, dowiedziawszy się, że go mają tak blisko, struchleli.

Po drodze, na noclegach, Marcik im opowiadał, jak czasem, gdy przykładu potrzeba była, Łoktek srogim a nieubłagany bywał. Wszystko to im teraz napamięć przychodziło. Marcik, choć mu do pana serce biło, strwożył się w sumieniu, że dla jednej baby, której mu się zachciało, zaprzedałszy się, mieszczan miał bronić.

— Zostańcie wy tu — rzekł po namyśle do Pawła — ja pojedę przodem, będę się starał serce mu dla was naprawić. Co będzie można, uczynię, kogo zdołam — ocale.

Zostali więc mieszczanie, a Marcik z Jurgą pojechał. Lecz nim do tego obozu w pół mili się dostał, obóz zwinięto i księżę już był w drodze.

W lesie, goniąc za nim, postrzegł wreszcie Suła pana swego, jadącego z Toporem, Żegotą i Trepką. Za nim tuż orszak ogromny, chorągwie i wojsko liczne.

Z konia skoczywszy, począł iść ku panu, który stanął i ręką go witał.

— Suła! Żyweś? — wołał wesoło.

Spojrzał mu w oczy Marcik i uląkł się. Widywał on go w boju, w ucieczce, na tułactwie i w gniewie i w utrapieniu wszelkiem, lecz takim, jak teraz, nie pamiętał go nigdy. Błady był, zestarzały, chmurny, straszny, jakby w sobie pełen gniewu, którego wybuch wstrzymywał.

Zapytał naprzód o księżnę i dzieci; rzekł mu Marcik, że zdrowi, a z utęsknieniem oczekiwali na niego. — Ja też do nich śpieszę — odezwał się Łoktek ponuro — śpieszę — ale dla wielu straszny i krwawy powrót mój będzie. Ze zdrajcami zrobię rachunek, którego pokolenia nie zapomną! Nie zostanie ni jeden Niemiec w mieście. Wybije to plemię zdradzieckie. Lepiej żadnego miasta, niż to gniazdo plugawe!



Suła odpowiadać mu nie śmiał. Dopiero wyczekawszy nieco, odważył się szepnąć zcicha:

— Miłościwy panie! Nie wszyscy w mieście winni, a pięknego miasta naprawdę — żal.

— Wszyscy winni — zakrzyczał, bijąc o siodło księżę, tak, że koń się pod nim rzucił. — Wszyscy ci, co zdradzać nie chcieli, powinni byli wójta pilnować, a bodaj go ubić, nim niepoczciwe dzieło dokonał! Myślałem, że już spokojnie panować będę, gdy te łotry znowu zachwiały wszystkim... Gdybym się nie pomścił, Bóg by mnie karał. — Pocznę jutro toż samo!

Mówił z takim uniesieniem, a ci, co dokoła stali, potakiwali mu tak, że Marcik zmilczeć musiał. Ale po chwili, w nogę pocałowawszy księcia, rzekł znowu:

— Miłościwy panie, jam świadkiem żywym, że nie wszyscy są winni. Dużo Polaków w mieście i takich, co trzymali zawsze z nami. Żydzi też nam pomagali. Znam i wymieniłbym mógł takich, co się Albertowi niepoczciwemu opierali, choć im groził i znęcał się nad nimi. Za mną jadą ci, co byli wam wierni, aby za miastem prosić.

Łoktek się rzucił, — oglądając.

— Gdzie oni? Natychmiast na gałąź z nimi. Chcą-li być cali, niech mi się nie pokazują i w świat uciekają. Nie daruję żadnemu.

Marcik patrzył mu w oczy błagając. Księżę mruzczał niezrozumiale, wzrokiem sięgając w głąb lasu, jakby w nim ofiar szukał.

Raz począwszy, Suła nie mógł już ustąpić, nie nie sprawiwszy, i począł po chwili.

— Miłościwy księżę, znacie mnie za wiernego sługę waszego, moja poręka może zaważy coś, a za tych ja ręczę, którzy są ze mną, że z Albertem walczyli i nigdy nie byli z nim.

Kapelan, który na koniu stał niedaleko i słuchał, zdał się to nakłanianie do łaskawości pochwalać, odezwał się, popierając Sułę:

— Pan Bóg dla kilku sprawiedliwych miastom grzesznym chciał przebaczyć.

— Pan Bóg! — odparł książę. — Jemu to wolno. Ale człowiek sprawiedliwy musi być bez litości. — Nie przebaczę nikomu!

Wtem, jakby mu duchowny przypomniał biskupa, zapytał książę:

— Albert uszedł... a Muskata?

— O tym nie wiem, zdaje się, że w mieście być musi — rzekł Marcik.

Loktek zwrócił się do ziemian, którzy stali za nim.

— Nim ja do Krakowa nadążę — odezwał się — kto z was ochotę ma, niech mi jedzie przodem, aby Muskata wziąć. Zdradzi mnie znowu dla Czecha, lub Ślązaka — wolę go pod kluczem mieć.

Usłyszawszy to, Toporczykowie, którzy się zalecieć chcieli, a najlepiej Kraków znali, poczęli się zaraz naradzać z sobą.

Loktek, nie pytając więcej, groźby miotał i żale rozwodził. Marcik z przed konia nie odstępował, a w oczy patrzył, aby chwilę szczęśliwą pochwycić.

Wytrzymawszy nieco, odezwał się z wyliczaniem tych, co z nim przybywali, chwalił Pawła, zalecał Hinczę, podnosił Niklasza. Za każdym z tych nazwisk książę się rzucał i przerwał.

— Idźże ty mi precz z prośbami swemi — krzyknął — a chcesz z nimi, nie ze mną trzymać, ruszaj gdzie oni! Wszyscy jednego stryczka warci.

— Nie, miłościwy panie — rzekł śmiało Marcik — jesteś sprawiedliwym — będziesz nim!

— Zły jestem! — zawrzał książę i umilkł nagle.

Nie było sposobu go rozbroić.

Ziemianie, ztyłu stojący, dawali znaki Marcikowi, aby go nie rozjątrzał bardziej niewczesnemi prośbami — Suła musiał ustąpić wkońcu, sięść na koń i w bok zjechawszy, wrócić do oczekujących nań mieszczan.

Patrzali nań błagająco, niespokojnie i poznali z lica, że im nic nie przyniósł dobrego.

— Nie zrobiłem nic dotąd — odezwał się do nich, — ale pierwsze kotki za płotki — nie myślę poprzestać na

tem. Pojedziemy za obozem, na oczy mu się nie nastreczając.

Strwożyli się posłowie krakowscy bardzo. — W milczeniu przygotowywali się do ciągnięcia i gdy wojsko i dwór pominęło ich, jak Marcik obliczył — jechali wtył za obozem.

Gdy nierychło potem stanęli na nocleg w lesie, bo Łoktek nigdy dworca i chat ani dla siebie, ani dla ludzi swych nie szukał, nadbiegł pacholik od księcia do Marcika, aby się do niego stawił.

Obóz rozłożony był w dębinie, bez namiotów nawet i szałasów, gęsto strażami obstawiony, bo się zdrady od Ślązaków lękano. Mało kto nawet zrzucił całkiem zbroję, rzemyków tylko popuszczano i hełmy zdjęto ze skroni.

Kilka ognisk rozłożonych oświecało obozowisko to, któremu ziemianie dodawali świetności, bo się wybrali okazale z domów, cześć panu czyniąc.

W prawdziwie królewskim też orszaku jechał Łoktek, nie nawykły do niego, a bogate rycerstwo daleko świetniej, niż on sam się stawiało. Wśród postrojonych ziemian swoich on jeden miał szarą, szerniałą, wierną swą zbroję, noszącą na sobie ślady włóczni i mieczów, które się o nią rozbiły i ów płaszcz stary, na którym krew nieprzyjaciół poprząsychała.

Powracał znowu do gniazda — zwycięzcą, ale bez bitwy, smutny, jakby nie był pewnym, czy los go raz jeszcze wygna. Ziemianie patrzali nań zdala z poszanowaniem i obawą.

Straszny był, a groźny. — Ciążyły na nim niepowodzenia lat wielu, walki od początku życia, gorycze wygnania, upokorzenia, niedostatku. Czoło się fałdowało troskami przeszłości i przecuciami przyszłości. Już pół wieku miał za sobą wspomnień czarnych.

Zawołany Marcik stał przed nim. Książę, dawszy mu chwilę czekać, rozpytywał jął o zamek, o obronę jego, o księżnę, jak te dni trwogi przeżyła. Sula opowiadał, że Ślązacy prawie się o zdobywanie go nie kusili, że głodu wielkiego nie doznali, bo z miasta ich

posiłkowano potajemnie. Uderzyło to księcia, spojrzał i nie rzekł nic.

Marcik, korzystając z tego, że mu mówić było wolno, rozwodzić się zaczął nad Albertem i sprawami jego, nad samowolą i tyranją, którą on gnębił mieszczan. Dowodził mocno, że oprócz garści jego zauszników, nikt w mieście nie lubił go, obawiali się wszyscy, niektórzy jawnie się opierając życia nie byli pewni. Przy tej sposobności wymienił znowu tych, których prowadził z sobą, i innych wielu, jako łaski pańskiej godnych.

Suła wpogotowiu kazał być posłom, aby, gdy Łoktka przygotowuje, mógł mu ich do nóg przyprowadzić, ale księżę przekonać się nie dawał, groził i w gniew wpadał.

— To osie gniazdo całe wytłuc potrzeba — mówił, — jeżeli jeden winny ujdzie bezkarnie, ja nigdy spokojnie i bezpiecznie na zamku nie będę mógł siedzieć. Wójtą zażądają, coby jak ten panem był i własnych rządów! Nie! nie! — ja z zamku nimi żelazną ręką rządzić będę, z mego ramienia posadzę urzędników, co ich w kluby wezmą. Swobód im nie dam żadnych... zdradą je stracili!

Ziemiańskie, którzy kołem stali, potakując panu, miasto oskarżali. Suła, wysłuchawszy tego, pokłonił się, wysunął i wrócił do mieszczan, mówiąc z westchnieniem.

— Nie pora jeszcze!

Nazajutrz rano, jak dzień, kapelan mszę odprawiał pod dębem, na darniowym, naprędce wystawionym ołtarzu. Pan, dwór i czeladź stali z odkrytymi głowami, słuchając jej. Msza się odprawiała cicho, pieśni nie było komu zanucić, a i w piersiach nie na pieśń się zbierało. Już przeżegnał ksiądz i Łoktek odstąpić miał, gdy spostrzegł u nóg swych leżących kilku ludzi, z głowami aż na ziemię pochylonemi.

Zbladł i, cofając się, zadrżał.

Twarzy ich nie widząc, przeczuł kto byli, groźnie okiem tocząc i szukając winowajcy, co ich tu śmiało przyprowadzić.

Mieszczanie, płacząc, błagali litości. Tu ołtarz stał i krzyż na nim z Chrystusem.

Hincza Keczera pierwszy odważył się podnieść głowę.

— Miłościwy panie! W imię Chrystusowe, nie karz niewinnych za przestępstwo tych, co zawinili. Ulituj się! ulituj dzieciom naszym!

Nic nie odpowiadając, książę głową potrząsnął — dał znak, aby szli precz.

Spodziewano się jakiegoś wyroku — stał niemy — spojrzał na krzyż Chrystusa i odwrócił się, aby winowajców nie widzieć.

Jechali tedy za obozem, kryjąc się wśród niego, do Krakowa.

Męczeński to był pochód dla nich, bo słuchać musieli, jak się wszystka gawiedź zmawiała, iż z miasta żywcem nikogo nie wypuści, co polskich słów czysto wymówić nie potrafi.

Żartownisie dobierali już najtrudniejsze wyrazy, które Niemcy pod gardłem wymawiać będą musieli. Jeden chciał dać na próbę — *Soczewicę* — drugi *trzcinę* i *mielący młyn*; tak i zawczasu zmawiali się, jakby Niemców udręczyć mogli.

Cieszyła się gawiedź wojskowa i ciury, że im wolno będzie puścić sobie cugle i poswawolić krwawo.

Ukazały się wieże kościołów i bram mury. Łoktek, który jechał niemy, stanął.

— Nie tknę stopą miasta... na zamek wprost.

Zwrócił się do dowódców, poczynając wybierać tych do zajęcia, co najmniej nad nim okazywali litości. Wskazał im miasto, jakby je na łup oddawał, a sam, okrążając je, puścił się na Wawel przez Okole.

Nazajutrz aż na zamek dochodziły jęki, płacz i krzyki nieszczęśliwych.

Książę siedział w izbach z żoną i dziećmi, nie pytając o nic, nie chcąc wiedzieć o niczem.

Rozkazy były wydane — miłosierdzia mieć nie chciał.

Głuchy tętent rozlegał się w ulicach, konie wywlekały nawpół żywych zauszniaków i pomocników wójta Alberta ku szubienicom, za wrotami stojącym.

W mieście trupy leżały po ulicach, stały przy ścianach, w rynku kat i oprawcy ścinali.

Trzeciego dnia cicho było, jak w grobie.

Wójtowski dom cieśle i murarze przerobili na zamek wśród miasta, mający strzec tego, co w niem pozostało.

Na ratuszu zasiadali radni, ale nie z wyborów, tylko z ramienia pańskiego. Wola księcia była prawem. Kasztelan miał rządzić miastem i już pacholankowie jego kamienicę i dworzyszczą winnych na skarb zajmowali.

Wymarłe stały ulice — martwy był rynek — pogrzeby ciche szły, bez śpiewów ku cmentarzom, a za niemi kobiety zapłakane.

---

Marcik dobijał się do wrót Pawła, które mu nie rychło otworzono. Paweł z Brzega wyznaczony był burmistrzem na ratuszu. Boczną furtką szedł Suła do dworu Greta. I tu cisza była i pustki, choć wóz świeżo wyprzężony kazał się domyślać, że wdowa powróciła.

Zwolna wszedł do izby jej Marcik. Siedziała w istocie pod oknem, jak posąg błąda. Spojrzała na przybyłego, który się zatrzymał w progu. Mierzył ją oczyma tylko.

— Przychodzisz po zapłatę — odezwała się do niego Greta — za to, żeś Pawłowi i jeszcze kilku głowę na karku zostawił?

— Choćby i tak było — rzekł Suła spokojnie. — Nastawiałem ja swoją dla was, a za długie służby wierne coś mi się należy. Nie chciałem zapłaty innej... tylko was... bom sobie dawno rzekł — moją musicie być!

Wdowa wlepiła w niego wzrok i długo, długo tak siedziała, patrząc na Marcika.

— Pilno ci — rzekła — biedę sobie kupić?

— Komu co przeznaczone — odparł spokojnie — moja dola, sprawa moja!



Siadł na ławie, jakby już u siebie w domu, hełm zdjął i złożył na stole.

— A Kurćwurst? — zapytał.

Greta wskazała wdał ku Pannie Marji.

— Na mogiłkach — odparła. — Zachorzał ze strachu, a umarł z żalości po mnie.

— Dobrze zrobił — z szyderstwem jakimś odezwał się Marcik — opróżnił miejsce dla mnie w samą porę.

Wdowa się uśmiechnęła. Bąkając do siebie po słówku, Pawła się doczekali. Ten wszedł zbladły i dobrze przychudzony, i na dany znak przez Marcika odezwał się do synowicy:

— No, Gretchen — chcesz, nie chcesz, musisz mu rękę dać! Słowo za ciebie i za siebie dałem, musimy strzymać. Oni tu teraz wszechmocni.

I żał mu się jej zrobiło, aż, kryjąc smutną twarz, odwrócić się musiał. Greta nic nie odpowiedziała. Siedzieli z Marcikiem, patrząc jedno na drugie, a żołnierz przysunął się i za rękę chciał ją ująć, ale mu ją wyrwała. Więc gwałtem pochwycił ją i trzymał, że mu już nie mogła jej odebrać.

— Moją musisz być — zawołał, ściągając jej pierścień z palca, a wkładając już gotowy, który księżę ze skarbcza mu wydać kazał.

Osobliwa rzecz, Greta, jakby o oporze zapominając, ciekawie się zaczęła pierścieniowi temu przyglądać. Nie byłaby niewiastą. Nie zrzuciła go, przysunęła do oczów, na oczko przeciw światłu popatrzyła i obie ręce zasunęła w rękawy.

— Kiedyż wesele? — pytał Suła uparty.

— Jakeście beze mnie postanowili zaręczyny, tak sobie i o weselu stanówcie beze mnie — odparła wdowa, patrząc w okno.

Paweł głową poruszał, Marcik ku niemu się zawrócił.

— Niedzielę jedną poczekam, dalej nie! — rzekł krótko.

Nie odpowiadano. Znowu za rękę próbował wziąć, nie dała mu jej nadąsana.

Marcik pomimo to był dobrej myśli, mrugali na siebie z Pawłem. Nie mogąc się ręki doprosić — śmiało objął ją wpół, a choć mu się wyrywała, krzyczała, w czoło pocałował. Żymnęła się, rumieniec ją okrył, ale go nie połajala.

Rzecz tedy była już skończona.

Siedli za stołem z Pawłem. Wdowa z początku nie mieszała się do ich rozmowy, aż gdy Alberta wspomnieli — drgnęła i gniewnie oczy ku nim zwróciła.

— Tego trzeba było na najwyższą szubienicę dać — zawołała, — a wyście mu ująć dali!

— Czekajcie mało, może go ten los spotka, co innych — rzekł Marcik — jeżeli nie gorszy. Szubienica krótka chwila, a on będzie wisiał lata długie, umrzeć nie mogąc.

Nadeszła niedziela na ślub przeznaczona.

Greta tak samo, milcząc, nadąsana, dała się do ołtarza zaprowadzić; dopiero, gdy do dworu powrócili, gdzie mała garstka gości zebrała się na ucztę weselną, nagle swą wesołość i swobodę odzyskała, panią się poczynając. Usta się jej rozwiązały za wszystkie czasy. Za stołem żartowano i śmiano się do rozpuku, a najęty od Szeluty Czelustka bawił gości, jakby o świeżo rozlanej krwi zapomniiał.

Tylko Marcik siedział chmurny i cichy — zukosa spoglądając ku urodziwej żonie.

Po trzech dniach wesela, gdy Paweł do nowożeńców zaszedł rano — zdziwił się, doma ich nie zastawszy. Radą nieradą małżonek Gretę swą na wóz wsadził i do Wieruszyc z nią pojechał.

Stryj otarł pot z czoła, stanął w progu i zamruczał:

— Niechże go Święci strzegą, bo pocziwiec nie-malej biedy sobie napytał — a mnie po niej — wieczny żal!

K O N I E C



+ Ido  
d



